

WYMIANA CIOSÓW MIĘDZY USA A IRANEM

Świat w strachu przed nową wojną na Bliskim Wschodzie



Jaki był prawdziwy cel ataku Putina na Polskę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT)

NR 2/355 7-12 STYCZNIA 2020

RZECZY

CO SIĘ KRYJE
ZA ZMIANĄ
W TVN I TVN24?



Warzecha miażdży książkę Tuska



Dyktat Brukseli

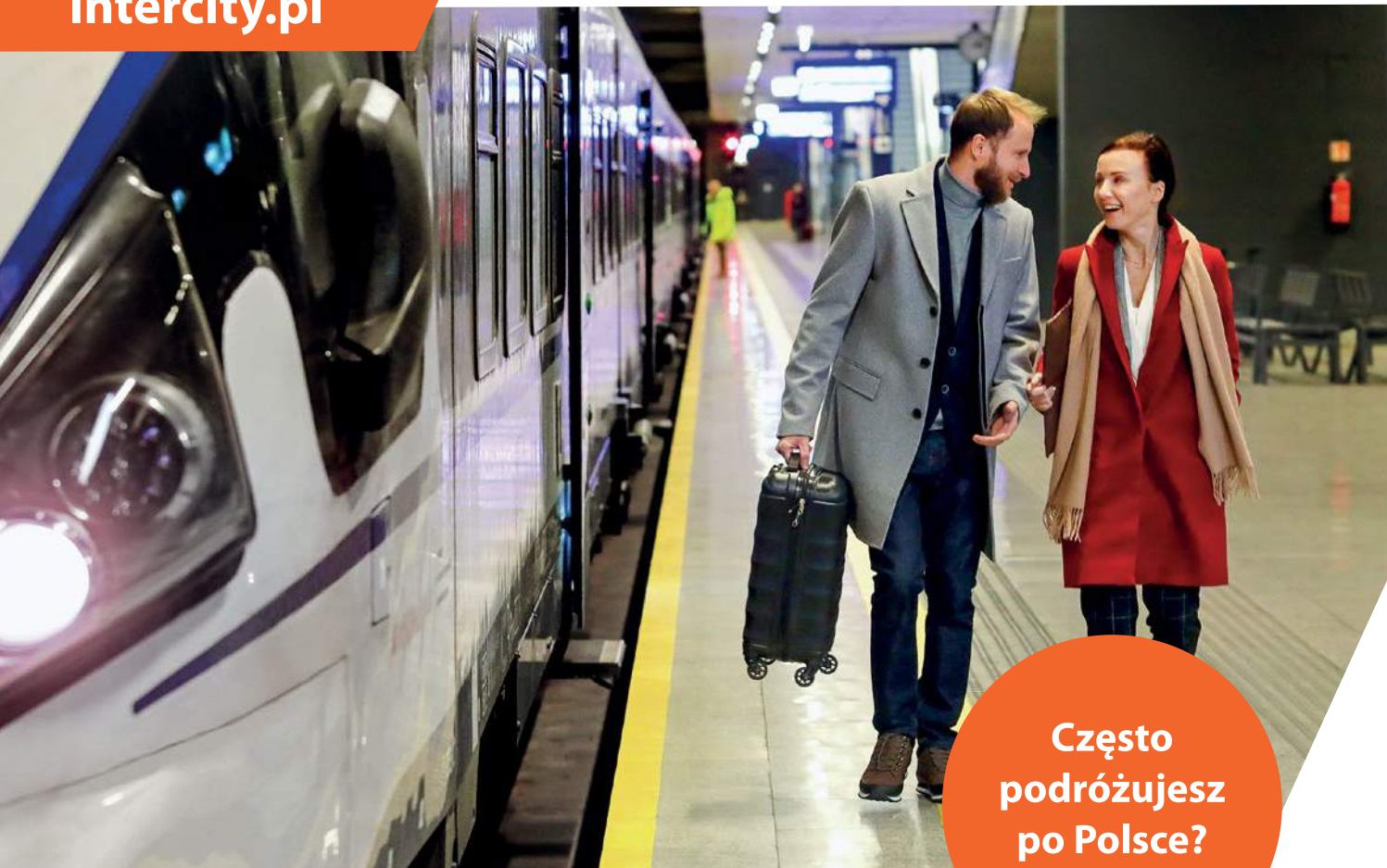
KOMISJA EUROPEJSKA I TSUE PRÓBUJĄ OGRANICZYĆ SUWERENNOŚĆ POLSKI



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 71 tys. egzemplarzy



**Często
podróżujesz
po Polsce?**

**Wybierz
PKP Intercity!**

POZNAJ OFERTĘ KOLOROWYCH KART INTERCITY NA NIELIMITOWANE PODRÓŻE

- skorzystaj z karty rocznej, półrocznej, kwartalnej lub miesięcznej w wersji imiennej lub na okaziciela
- podróżuj po kraju wszystkimi pociągami PKP Intercity bez dodatkowych opłat*
- zyskaj w cenie karty przejazdu pociągami wielu przewoźników regionalnych

PKP INTERCITY. TYSIĄCE POWODÓW DO PODRÓŻOWANIA.

* Nie dotyczy przejazdów w Strefie Wygody, wagonach sypialnych i z miejscami do leżenia. Szczegóły i regulamin oferty na intercity.pl/kk

iccc
PKP INTERCITY



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Murem za krakowskim arcybiskupem

Jednym z warunków powodzenia rewolucji obyczajowej na Zachodzie był praktyczny paraliż przedstawicieli Kościoła. Zwiedzeni wizją budowy nowego, wspólnego, dialogicznego świata albo milczeli, albo używali języka na tyle ogólnego i gładkiego, że nie byli w stanie potępić dokonującego się na ich oczach przewrotu. Tym samym lewacka rewolta przez lata zdobywała kolejne punkty oporu.

Najpierw zostały opanowane uniwersytety, głównie wielkie wydziały humanistyczne. Następnie przyszła pora na politykę.

wartości osoby ludzkiej, podziału na płeć męską i żeńską, wreszcie jakościowej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem. Zachodni prawodawcy coraz częściej próbują też zmusić do milczenia swoich krytyków. Takim nowym kagańcem mają być ustawy antydyskryminacyjne, zakazujące krytyki wszelkich realnych bądź wydułanych mniejszości i orientacji. Dlatego właśnie seria wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego z ostatnich miesięcy ma tak wielkie znaczenie. Wreszcie pojawił się ktoś, kto nie waha się nazywać rzeczy po imieniu, kto ma odwagę wskazać zagrożenie i nie ulega miękkiej politycznej poprawności. Arcybiskup z Krakowa, zamiast tak jak tyłu innych hierarchów nabrać wody w usta i uprawiać mimikrę, postanowił powiedzieć prawdę. Jego przeciwników boli nie tylko to, co mówi, lecz także że za krytyką kryje się tak wysoki autorytet.

Pierwszą falę wściekłych ataków wywołały słowa arcybiskupa na temat zagrożenia „tęczową zarazą”, równie groźną jak wcześniej „czerwona zaraza”. Nic dziwnego. Aktywiści LGBT przywykli do tego, że propagowane przez nich zmiany wszyscy chwalą. Głaskają ich, pochlebiają im, do nóg się ścielą. Wielkie media biją im brawo, politycy na wyścigi okazują swoje poparcie, dziennikarze i celebryci nadskałują, drżąc ze strachu, że ktoś nazwie ich homofobami. Nawet ludzie Kościoła, czego przykładem jest żałosne zachowanie niemieckich biskupów, łaszą się i przymilają. Dlatego krytyka abp. Jędraszewskiego spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Zamiast siedzieć cicho lub zachwycać się propagandą homoseksu-

alną, polski hierarcha przemówił całkiem innym głosem.

Określenie „zaraza”, którego użył, jest w tym przypadku wyjątkowo trafne. Nie chodzi tu przecież o poniżanie homoseksualistów, ale o precyzyjne określenie sposobu szerzenia się ideologii LGBT, która niczym zaraza podbija świadomość kolejnych grup społecznych. Nagle okazuje się, że ludzie tracą zdrowy rozsądek, gubią sumienie. Nagle zaczynają nazywać związki dwóch mężczyzn lub kobiet małżeństwem i nagle domagają się, by ludzie pozostający w tych jałowych z natury relacjach zostali uznani za uprawnionych do opieki nad dziećmi. Tak jakby ludzką świadomość opanował jakiś wirus.

Podobna przemiana dokonuje się wśród radykalnych ekologów. Krytykując ekologizm, arcybiskup nie potępił przecież, co oczywiste, troski o środowisko naturalne, o zdrowie, o czystość. Nie. Wskazał na pojawiający się coraz częściej wśród ekologów ekstremizm, prowadzący do zrównania człowieka ze zwierzętami albo, co też się zdarza, głoszący potrzebę eliminacji ludzkiego gatunku. Inną formą tego ruchu jest radykalny weganizm, czyli pogląd, że człowiek nie ma prawa jeść mięsa. Ludzie, którzy dają się zwieść tym ideologicznym miazmatom, rzeczywiście zachowują się, jakby zostali zarażeni: tracą zdolność rozumowania, myślenia, wnioskowania. Znajdują się w stanie ciągłego emocjonalnego pobudzenia. W skrajnej postaci może to prowadzić do uzasadnienia dla gwałtu i przemocy wobec hodowców bydła i, szerzej, rolników.

Za tę odwagę należy być abp. Jędraszewskiemu wdzięcznym. Zasłużył na najwyższe słowa uznania! ©

RYSUNEK TYGODNIA



Kolejne parlamenty unijne zaczęły wprowadzać ustawy pod dyktando coraz bardziej krzykliwych, pewnych siebie, beczelnych wręcz aktywistów LGBT, organizacji feministycznych i, ostatnio, ruchów ekologicznych. Ich głównym celem było doprowadzenie do przewrotu w rozumieniu tożsamości człowieka, przekreślenie wszystkiego, co naturalne i obiektywne: nienaruszalnej



TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POD BUT BRUKSELI – MARSZ!

Wielkie interesy i mali ludzie

21 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
NADCHODZI NOWY DESPOTYZM

KRAJ

24 ROZMOWA Z DR. KRZYSZTOFEM RAKIEM
PUTIN MIJA SIĘ Z PRAWDĄ
Propaganda historyczna Rosji

28 PIOTR SEMKA
KONFEDERACJA TOTALNA

31 ŁUKASZ WARZECHA
NUDY NA BIAŁYM KONIU

34 KAMILA BARANOWSKA
NOWY-STARY TVN?

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
STAROŚĆ TO RADOŚĆ

KULTURA

40 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM ABRAMOWEM-
-NEWERLYM
ZNAŁEM WSZYSTKICH!
Pisarz o swojej „alei zasłużonych”

44 PIOTR GOCIEK
WIEDZMIN WRACA DO DOMU

NIE PRZEGAP

47 NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI,
PŁYTY, GRA**

OPINIE

52 MAREK JUREK
POZA DOBREM I ZŁEM
Seksualizacja dzieci na forum europejskim

54 ANDRZEJ TALAGA
ODBUDUJMY DROGI ŻYCIA

58 JAN PARYS
SUMIENIE EUROPEJSKIEGO LIBERAŁA

HISTORIA

60 TOMASZ LENCEWSKI
SZALONY KSIĄŻĘ
Michał ks. Radziwiłł „Rudy” (1870–1954)

63 ŁUKASZ CZARNECKI
OPIUM I KREW

66 MONIKA ODRÓBIŃSKA
**KAWAŁEK MAZUR
NA UKRAINIE**

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z JEANEM-FRÉDÉRIKIEM
POISSONEM

POWINNIŚMY WALCZYĆ
Przewodniczący francuskiej Partii
Chrześcijańsko-Demokratycznej:
islam przeżywa głęboki kryzys

74 PIOTR KOŚCIŃSKI
**ROSJA I BIAŁORUŚ – INTEGRACJA
CZY POZÓR?**

76 PIOTR WŁOCZYK
**SKUTKI LEGALIZACJI MARIHUANY
W KALIFORNII**

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
UCIECZKA PREZESA
Kłopoty motoryzacyjnych tuzów

82 JAKUB WOZIŃSKI
BEZGOTÓWKOWA OFENSywa

84 TOMASZ CUKIERNIK
(NIE)JEDNOLITY RYNEK

86 JACEK PRZYBYLSKI
BAT NA DŁUŻNIKÓW

SPORT

88 ŁUKASZ ZBORALSKI
WIELKA USTAWKA
Afera na szczytach tenisa

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
SUKCESY POLSKIEJ MEDYCYNy

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (68), WARZECHA (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (81), KOMUDA (92), JĄSTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), NOWAK (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
 Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyr, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
 Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk,
Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk
(Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,
Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,
Błażej Torasiński, Matthew Tymrand, Szwach Weiss, Piotr Włoczek,
Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
 z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio
 Maryja) **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac,**
Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP
 Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
 Współpraca: **Młosz A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski,**
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**
Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska
 Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
 Okładka: **Adobe Stock, Oprac. graf: JAN**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
 Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
 (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
 i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
 www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów
 oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
 wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
 opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
 Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
 za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
 prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa listy w sprawie podniesionej niedawno przez Łukasza Warzechę. Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

**„Anarchia ocala”,
 Łukasz Warzecha, „DRz” 51/2019**

Szanowny Panie Redaktorze!
 [...] uważam, że ma rację [Łukasz Warzecha – przyp. red.] i nie możemy zgodzić się na bezsensowne regulacje, a taką jest tzw. ustawa śmieciowa. Nie wiem, kto personalnie jest jej twórcą, ale niewątpliwie miał duszę urzędnika, ustawa bowiem jest napisana strasznym językiem, lecz może w tym szaleństwie jest metoda. Cechuje ją urzędnicze przekonywanie, że jak już przepisy są, to będą stosowane, oraz porażający brak wyobraźni. Jak można wierzyć, że ludzie mający kilkumetrowe kuchnie (tak jest

rzędom na niczym nieuzasadnione, drastyczne podwyżki cen wywozu śmieci. Ustawa nie wymaga konsultacji społecznych ani nie nakłada na stosowne organy kontroli obowiązku uzasadnienia podwyżek cen.

Kolejny raz państwo i samorządy przerzucają na obywateli swoje obowiązki. Jeżeli rzeczywiście ze względów gospodarczych (bo z ochroną środowiska nie ma to nic wspólnego) należy segregować śmieci, to powinny to robić samorządy poprzez wyspecjalizowane firmy. Jeżeli rząd nie wycofa się z tej ustawy, to jestem przekonana, że efekt będzie odwrotny do zamierzonego.

Z poważaniem
Krystyna Markowska, Łódź

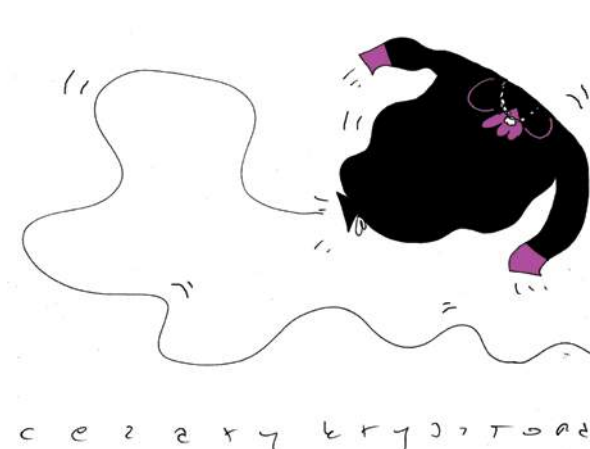
Wolność z moją ciotką

Zgadzam się z Łukaszem Warzechą, że coraz bardziej biurokracja ogranicza wolność obywatelom. Od lat prowadzę dzienniki. Dzięki nim powróciłam we wspomnieniach do ciepłego, letniego dnia w czerwcu 1993 r. Siedziałam z moją ciotką, emerytowaną nauczycielką, na ławce w parku. Ciotka (osoba niekonwencjonalna i pełna fantazji), by uświetnić spotkanie, przyniosła piersiówkę koniaku i turystyczne kieliszki. Raczeliśmy się dobrym trunkiem, rozmawialiśmy o książkach, a w tym czasie mój sześciolatek syn biegał po parku. Zachowałam w pamięci ten piękny dzień.

Wyobraźmy sobie tę sytuację dziś. Mandat za picie w miejscu publicz-

nym z dzieckiem pod opieką, puszczanie dziecka samopas bez nadzoru. Skończyłoby się w komisariacie i na realnej groźbie odebrania dziecka. Ileż wolności nam odebrano w drobnych, codziennych sprawach. Coraz częściej mam wrażenie, że urzędnicy traktują mnie jak nieodpowiedzialną idiotkę. Utwierdziłam się w tym (po raz kolejny), kupując drabinę. W kilkunastopunktowej instrukcji naklezionej na towarze przeczytałam się m.in., że na drabinę nie należy wchodzić tyłem.

Pozdrawiam Redakcję
Barbara Kęcińska-Lempka



w większości bloków mieszkalnych) będą trzymać pięć kubłów, żeby gromadzić w nich posegregowane śmieci, które następnie, zamiast wyrzucić do zsypu, będą nosić do pojemników stojących gdzieś na osiedlu. Przez okno zaś zobaczę, że przyjeżdżająca raz w tygodniu śmieciara wrzuci posegregowane przez nich śmieci do jednego pojemnika i je miele.

Jak można stosować zbiorową odpowiedzialność? Tak jest w przypadku wszystkich domów wielorodzinnych, a w takich domach mieszka większość mieszkańców miast. Pozwolono samo-



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Świńska sprawa

Moja babcia jeździ motocyklem w kurniku. To tysiąc litrów benzyny super każdego miesiąca. Moja babcia to stara świnia ekologiczna!

Moja babcia mówi: „Jazda na motocyklu jest naprawdę fajna”. Używa go w domu opieki jako wózek inwalidzki. Moja babcia to stara świnia ekologiczna!

Moja babcia podjeżdża do lekarza w SUV-ie, przejeżdżając po drodze dwoje dziadków z chodzikiem. Moja babcia to stara świnia ekologiczna!

Moja babcia codziennie smaży kotlet schabowy, ponieważ mięso z przeceny kosztuje tyle co nic. Moja babcia to stara świnia ekologiczna!

Moja babcia już nie lata samolotem, zrozumiała swoje błędy. Zamiast tego pływa teraz rejsem dziesięć razy w roku. Moja babcia nie jest świnia ekologiczną!

Taką oto piosenkę na melodię znaną w Polsce jako „Zbudujemy naszej babci domek mały” zaśpiewał dziecięcy chór niemieckiej stacji Westdeutsche Rundfunk 2. Na koniec klipu pięcioletnie dzieci wygłaszają chórem ostrzeżenie wobec dorosłych, używając słów Greta Thunberg wypowiedzianych na forum ekologicznym ONZ: „Nie darujemy wam tego”.

Takie niesmaczne pomieszczenie wulgaryzmów z chórem pięcioletków wywołało lawinę oburzonych protestów i piosenkę usunięto z witryny WDR 2 Dortmund. Jednak początkowo stacja nie widziała żadnego problemu. Na stronie facebookowej WDR ukazała się informacja, że była to „Satire-Video”, czyli piosenka satyryczna. „Nie chodziło o dziennikarski komentarz, lecz o wyostrenie tematu” – broniła się WDR. I dodawała: „Założenie, że WDR 2 instrumentalizowało dzieci z chóru, jest nie do zniesienia dla redakcji”. Kilka godzin później, gdy takie tłumaczenia wywoływały jeszcze więcej oburzonych wpisów, Tom Buhrow dyrektor WDR, przeszedł na bardziej pojednawczy ton: „Film był pomyłką. Przepraszam bez żadnych ale”.

Oliwy do ognia dodał jeszcze wpis na Twitterze. Współpracownik WDR Danny Hollek błysnął uwagą, że babcia z piosenki nie powinna być nazywana świnia ekologiczną, ale „świnia nazistowska”. Zespół redakcyjny WDR aktuell w odpowiedzi wyjaśnił, że Danny Hollek „usunął tweet ze swojego prywatnego

konta na Twitterze. Zdecydowanie dystansujemy się od formy i treści”.

Incydent czy zwiastun szerszej tendencji? Ktoś przecież napisał tę niby-zabawną dziecięcą wyliczankę. Ktoś podsunął ją dzieciom. Ironia? Przerysowanie? Być może, ale dlaczego tę niby-ironię aż tylu Niemców uznało w sieci za początek indoktrynowania dzieci przeciw starszym pokoleniom?

Cała sprawa jest doskonałym komentarzem do dyskusji wokół ostrzeżeń abp. Marka Jędraszewskiego przed ideologią ekologizmu. Niemcy wyczuli w tej satyrze stary klimat ideologicznej ortodoksji, który niekiedy wyziera zza – na razie – dobrotliwych wezwań ekologów i polityków lewicy do wprowadzenia ekotalonów na loty samolotem, dodatków do cen mięsa na rzecz ochrony klimatu czy wezwań do rezygnacji z używania SUV-ów.

To niski próg przechodzenia od troski o klimat do urządzania komuś życia na siłę, z pozycji ideologii – powoduje wszystkie te lęki. I to jest realny problem. Spór o piosenkę dziecięcego chóru z WDR 2 to kwestia drugorzędna. © ©



SCHETYNA ZREZYGNOWAŁ Z KANDYDOWANIA

– Zamykam ten etap, w którym PO jest w dużo lepszym stanie niż ta z lat 2015 i 2016. Przychodzi czas na nowe wyzwania, nowych ludzi, nowy początek, nowy rozdział – oznajmił w piątek dotychczasowy lider PO Grzegorz Schetyna, informując o tym, że nie będzie się ubiegał o stanowisko przewodniczącego partii. Schetyna na szefa PO rekomendował Tomasza Siemoniaka. Poza nim start w wyborach zapowiedziało czterech innych polityków PO. (jap) © ©

Więcej energii na to, co ważne



Energa

Partner Główny
Strażnika Pamięci





Cios Trumpa



Witold Repetowicz

Po zabiciu przez USA irańskiego generała Kasema Sulejmaniego i lidera szyickich oddziałów Haszed Szaabi Abu Mahdiego al-Muhandisa Bliski Wschód nie będzie już taki sam

Prezzydent USA Donald Trump, zarządzając atak dronem na kolumnę, w której jechali obaj dowódcy, zakładał zapewne, że osłabi to zdolności sił proirańskich w Iraku do ataków na cele amerykańskie. W chwili pisania tego tekstu, kilka godzin po ataku, który nastąpił z 2 na 3 stycznia, trudno do końca przewidzieć jego konsekwencje. Bardzo prawdopodobna jest totalna konfrontacja.

Generał Kasem Sulejmani był jedną z najważniejszych osób (o ile nie najważniejszą) w strukturach militarnych Iranu. Dowodził elitarnymi jednostkami Al-Quds i odpowiadał za wszystkie zagraniczne operacje militarne irańskiej Gwardii Rewolucyjnej. Był autorem całej irańskiej strategii tzw. szyickiego pół-

księżycy, czyli geopolitycznej ekspansji Iranu w oparciu o takich sojuszników jak jemeński Houthis, irackie Haszed Szaabi czy libański Hezbollah, a także działań irańskich na terenie Syrii. Była to strategia niezwykle skuteczna. Największe sukcesy miał Sulejmani w Iraku, gdzie po wybuchu wojny z Państwem Islamskim powstała licząca 150 tys. bojowników koalicja milicji szyickich o nazwie Haszed Szaabi. Dzięki irańskiemu wsparciu odegrała ona kluczową rolę w powstrzymaniu Państwa Islamskiego przed atakiem na Bagdad w lipcu 2014 r., a następnie w wyparciu tej terrorystycznej organizacji z zajętych przez nią terytoriów. Na czele Haszed Szaabi stał Abu Mahdi al-Muhandis,



Samochód, którym jechał Sulejmani, tuż po ataku FOT. EPA/PAP

którego zresztą łączyły bardzo bliskie osobiste relacje z Sulejmanim.

Nie ulega wątpliwości, że obaj dowódcy byli zaprzysięgłymi wrogami USA, które uznawały ich za terrorystów, obarczając odpowiedzialnością za ataki na amerykańskie cele. Mieli również wielu przeciwników w Iraku, niezadowolonych z rosnących wpływów irańskich w tym kraju.

Od listopada 2016 r. Haszed Szaabi jest częścią irackich sił zbrojnych. A po irackich wyborach parlamentarnych w maju 2018 r. Kasem Sulejmani okazał się skuteczniejszym negocjatorem od amerykańskich dyplomatów i zapewnił ogromny wpływ Iranu na nowe władze Iraku. Irański generał miał również świetne relacje z władzami irackiego



Protesty w Iranie po zabiciu gen. Sulejmaniego
FOT. WANA NEWS AGENCY/REUTERS/FORUM



FOT. ANARAKA/ISTOCK

Generał Kasem Sulejmani – iracki bohater narodowy

Urodzony w 1957 r. Sulejmani był pracownikiem miejskiego wydziału wodociągów w Kermanie, gdy w 1978 r. rozpoczęła się irańska rewolucja islamska. Sam zgłosił się do Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i piął się w jego strukturach. W 1988 r. został szefem jednostki specjalnej Al-Kuds, o której mówi się, że przypomina połączenie komandosów i agentów wywiadu. To Al-Kuds wspierała Amerykanów i Irakijczyków po tym, jak obalono reżim Saddama Husajna. Działała także w Syrii, pomagając wyprzeć Państwo Islamskie. Jako dowódca

Al-Kuds Sulejmani wspierał Hezbollah, Hamas, szczytne organizacje w Iraku, Arabii Saudyjskiej i Bahrajnie. Od 2007 r. Sulejmani był na liście osób objętych przez USA sankcjami. Al-Kuds odpowiadała tylko przed najwyższymi władzami Iranu, a Sulejmani uważany był w swoim kraju za bohatera narodowego.



FOT. ADRIAS/ISTOCK

Regionu Kurdystanu, postrzeganymi jako najbardziej proamerykańskie w Iraku. Wynikało to z korzystnej umowy dotyczącej wzajemnych rozliczeń między rządem w Bagdadzie a Kurdystanem, której patronował właśnie Sulejmani.

Do 2018 r., mimo wzajemnej wrogości, Haszed Szaabi i oddziały amerykańskie stacjonujące w Iraku unikały konfrontacji. A jeszcze w 2009 r. pojawiła się niepotwierdzona informacja o spotkaniu Sulejmaniego z przedstawicielami USA w Iraku. Wszystko zmieniło się jednak, gdy Donald Trump postanowił jednostronnie wypowiedzieć zawartą w 2015 r. umowę z Iranem w sprawie programu nuklearnego tego kraju i przywrócił sankcje gospodarcze. W drugiej połowie 2018 r. zaczęła się seria ataków na amerykańskie pozycje w Iraku. Ich kulminacją był atak na bazę K1 koło Kirkuku, w której zginął jeden Amerykanin. Odpowiedzią USA był nalot na pięć baz Haszed Szaabi, w którym zabitych zostało 25 członków tej formacji. W sylwestra zwolennicy Haszed Szaabi zaatakowali ambasadę USA w Bagdadzie, a Donald Trump zapowiedział, że Iran za to odpowie.

Już po nalocie z 27 grudnia władze Iraku uznały to za pogwałcenie suwerenności i zapowiedziały rewizję relacji z USA. Zabicie Abu Mahdiego i Sulejmaniego oznacza, że najprawdopodobniej Irak zażąda od wojsk USA opuszczenia swojego terytorium. Celem obecności wojskowej Amerykanów było bowiem wspieranie walki z ISIS, a nie prowadzenie działań przeciwko Iranowi, a tym bardziej uderzanie w formację będącą częścią irackich sił zbrojnych. Amerykanie mogą jednak spróbować dokonać przewrotu wojskowego w oparciu o wyszkolone przez siebie siły antyterrorystyczne, ale byłby to bardzo ryzykowny krok. Zważywszy na liczebność Haszed Szaabi, nawet jakby pucz się powiódł, oznaczałoby to wojnę domową. A to zmusi USA do znacznego wzmocnienia swojego pięciotysięcznego kontyngentu w Iraku i przejścia do działań bojowych przypominających to, co się działo tam kilkanaście lat temu.

Faktem jest, że po wydarzeniach z 27 i 31 grudnia USA mogły się spodziewać ataków ze strony Haszed Szaabi. Trump zapewne założył, że usuwając dwóch kluczowych dowódców, sparaliżuje

15 mld dol.

TYLE WYDAJE IRAN NA CELE WOJSKOWE, TO PONAD 2,5 PROC. PKB TEGO KRAJU

zdolność tej formacji do uderzenia, a także ograniczy możliwości Iranu budowania „szyckiego półksiężyca”. Pozycja Sulejmaniego w Iranie była jednak ogromna i sam Najwyższy Przywódca Ali Chamenei nazywał go już „żywym męczennikiem”. Trump zagrał va banque, dokonując demonstracji siły i zakładając, że Iran się cofnie. Dotychczasowe doświadczenia pokazują jednak, że bardziej prawdopodobna jest reakcja odwrotna, czyli zmasowane uderzenie sojuszników Iranu w bazy amerykańskie i sojuszników USA w regionie. W tym kontekście warto pamiętać, że w Iraku są również polscy żołnierze. Iran oczywiście ryzykuje, że odpowiedzią USA będzie atak na jego terytorium, ale to oznaczałoby wojnę, przy której interwencja w Iraku w 2003 r. będzie wyglądała na zabawę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Słabosilność Putina

Nie trzeba studiować starożytnego stratega Sun Zi, by wiedzieć, że podnoszenie głosu i używanie obelg nie znamionują siły. Wręcz przeciwnie: silni tego robić nie muszą. Tyleż gwałtowny, ile brutalny atak słowny prezydenta Rosji na nasz kraj ma swe przyczyny w pogłębiającej się słabości mocarstwa, które rozpaczliwie podtrzymuje pozory

Wielu mieszkańców Zachodu dowiedziało się, że było coś takiego jak pakt Hitlera ze Stalinem

potęgi, interweniuje w Syrii, projektuje nowe superrakiety, ale, coraz bardziej zacofane gospodarczo, definitywnie utraciło Ukrainę, a teraz – oby – traci Białoruś.

Trochę przypomina to upadek cesarstwa osmańskiego w wieku

XVII – im mniej kolejni jego władcy mogli, tym bardziej byli agresywni na zewnątrz. Nazywanie zasłużonych Polaków „bydlakami” i „swołoczą” nie ma, wbrew pozorom, przekonąć świata, że to przez Polskę wybuchła druga wojna światowa. Ma przekonać Rosjan, że car, mimo widocznego braku sukcesów, wciąż jest silny i że „świat wciąż się z nami musi liczyć”. Summa summarum mamy z tego propagandowy zysk, bo dzięki reakcji światowych mediów na rosyjskie poryki wielu mieszkańców Zachodu dowiedziało się, że było coś takiego jak pakt Hitlera ze Stalinem i że ten drugi nie był, jak go przez pół wieku na Zachodzie malowano, poczciwym „wujkiem Joe”, który ocalił świat przed najgorszym zbrodniarzem w dziejach.

Szczególnym aspektem sprawy jest pobudzenie do kompromitujących zachowań naszych współczesnych targowiczów. Chociaż wśród

przywódców pojawiły się głosy, że wobec ataku Putina musimy mówić jednym głosem, utonęły one w żywiołowych reakcjach, dyktowanych politykom i celebrytom opozycji przez obsesijną nienawiść do PiS – w tonie „to przez Kaczyńskiego” i „dobrze tak pisowcom”.

Na szczyty absurdu wspięli się komentatorzy „Gazety Wyborczej”, z których jeden (Wielński) ogłosił, że Putin swym atakiem pokazał osamotnienie „pisowskiej” Polski w świecie, a drugi (Wroński) odkrył, że cała sprawa była ustawką między Putinem a Kaczyńskim, by wzmocnić rząd PiS w Polsce. Dawidowi Wildsteinowi ten drugi komentarz skojarzył się z wywodami oszalałych antysemitów, którzy we wszystkim zawsze znajdują dowód działania żydowskiego spisku. Cóż, wszyscy obsesjonaci są do siebie podobni – ale na to już zachowanie Putina nie ma żadnego wpływu. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Słodko-gorzko

Wojna rządu Donalda Tuska z kibicami piłkarskimi, która wybuchła w 2012 r., zintegrowała w antyrządowych akcjach młodych, politycznie dotąd obojętnych ludzi i przeciwników „partii miłości”. A zaczęła się od akcji państwa wobec kibiców, którzy na stadionie w Poznaniu wywiesili krytyczny transparent: „Miały być drogi, a jest drogi cukier”. Drogo znów będzie, bo już rząd ustami minister Jadwigi Emilewicz zapowiada wprowadzenie kolejnego podatku: „sugar tax” na dosładzane napoje. Czyli miały być ułatwienia dla przedsiębiorców i innowacje, a będzie drogi cukier.

O ile jednak wyborcy „dobrej zmiany” podwyżki z goryczą, ale przełkną, tłumacząc je sobie koniecznością realizacji programów społecznych, o tyle nie pozostaną obojętni na próby traktowania ich jak idiotów, czyli wmawiania, że nie chodzi o skok na kasę, ale o zdrowie.

Suweren jest też szczególnie wrażliwy na niesprawiedliwość, czyli coś, co dość jednoznacznie kojarzy się dziś w Polsce z wymiarem sprawiedliwości. W nowy rok wchodzimy z buntem sędziów, wśród których akurat ci o najbardziej głośnych nazwiskach zazwyczaj nie kojarzą się Polakom

z wysokiej rzetelności orzecznictwem. A miało być inaczej. Miała być też rozliczona afera repywatyzacyjna, a tymczasem jedynym skazanym w całej sprawie okazuje się Jan Śpiewak, czyli de facto człowiek, który jako pierwszy przejmowanie spadkowych kamienic nazwał wprost aferą repywatyzacyjną. Coraz bardziej przegrywa też nadzieja na rozliczenie: prywatyzacji „Rzeczpospolitej”, inwigilacji dziennikarzy, winnych katastrofie smoleńskiej i kilku innych afer, które miały być „wyjaśniane priorytetowo”, a o których priorytetowo, jak się wydaje, zapomniano. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O ignorancji porażającej

Niewiedza bywa śmieszna. Gdy jednak występuje w nadmiarze, a zwłaszcza gdy jest z siebie bardzo zadowolona, żenuje i irytuje tak dotkliwie, że policzki palą ze wstydu i człowiek ma ochotę sam zapaść się pod ziemię. Takie właśnie bolesne przedstawienie wystawili dzień przed Wigilią włoscy wybrańcy narodu przed wejściem do Izby Deputowanych i Senatu.

Wysłanniczka popularnego programu TV „Hieny” najpierw niewinnie pytała parlamentarzystów, czy po-

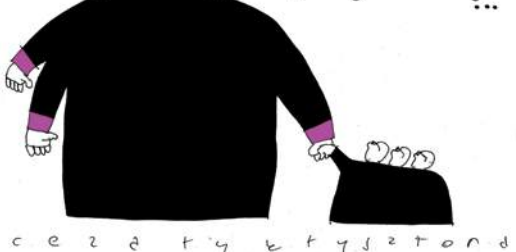
Pan Jezus?”. Odpowiedzi były różne, ale żadna trafna. Błędym: „W Nazarecie”, „Gdzieś na wschodzie Afryki” etc. towarzyszyły wykrętne: „W stajence”, „W sercach ludzi”, „W Ziemi Świętej”, „A czy na pewno się narodził?”.

Od jednej pani senator można było się dowiedzieć, że Pan Jezus uciekł z Nazaretu do Egiptu, bo „w Nazarecie nie chcieli go dopuścić do głosu”. Kto? Głucha cisza. Imiona trzech królów też były dla wybrańców narodu niezgłębioną tajemnicą. Jeden z senatorów, skonfrontowany z własną ignorancją, perorował, że nie jest ważne, gdzie się Pan Jezus urodził i jak się nazywali trzej królowie, bo istotne jest, by przestrzegać dziesięciorga przykazań bożych. Poproszony, by je wymienił, zamilkł i oddalił się z godnością. Czworo innych parlamentarzystów, w tym minister sprawiedliwości, salwowało się ucieczką już po pierwszym pytaniu o Betlejem. Natomiast jedna z deputowanych śmiała się ze swojej niewiedzy do rozpuku, pytając, czemu musi teraz zdawać egzamin z katechizmu.

Biedna (duchem) niewiasta nie zdaje sobie nawet sprawy, że oblała egzamin nie z katechizmu, a z elementarnych podstaw wiedzy o kulturze, bez których nie sposób zrozumieć historii i sztuki. Za to, mimo tego dość poważnego deficytu wiedzy, można śmiało zasiadać we włoskim parlamencie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

W wyniku dziesięciu lat rozważań we włoskim grocie u spokojnej części sędziów zajął zwyczaj, które powodują, że są wzdrejsi od innych...



stawili w domu bożonarodzeniowe szopki, które w Italii są od wieków nieodłącznym atrybutem i symbolem świąt Bożego Narodzenia. Naturalnie wszyscy odpowiadali twierdząco. Zaraz potem padało pytanie równie banalne: „A gdzie się urodził



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pochyłe drzewo

Władimir Putin zdążył już przyzwyczać do tego, że gdy w Rosji się nie układa, jego myśli skręcają w kierunku prowokacji. Tym razem dostało się Polsce za... wywołanie drugiej wojny światowej. Na szczęście nasi politycy zareagowali jednością. „Przewodniczący rosyjskiej Dumy żąda od Polski przeprosin za współpracę z Hitlerem. O pakcie Ribbentrop-Mołotow ani słowa. Oto skutki PiS-owskiego wstawania z kolan w polityce zagranicznej. Trzeba szybko odsunąć od władzy tych zakompleksionych nieudaczników. Zanim będzie za późno” – napisał Dariusz Rosati.

Również kandydatka PO na prezydenta

argumentowała w duchu wspólnoty. „W ostatnich dniach jesteśmy świadkami rosyjskiej ofensywy propagandowej, która szkaluje Polskę i próbuje zmienić jej rolę w historii. Ze zdumieniem obserwuję bierność i bezradność rządu. Wzywam prezydenta Andrzeja Dudę do podjęcia pilnych działań. Gdzie Pan jest, Panie prezydencie?” – pytała Małgorzata Kidawa-Błońska.

Janusz Lewandowski nie szczędził z kolei cierpkich słów

Moskwie. „Polska PiS jest jak pochyłe drzewo, na które nie tylko Putin wskoczy. Polityka uwięziona w obsesjach Kaczyńskiego to fatalne osamotnienie niegdysiejszego partnera Berlina i Paryża w Trójkącie Weimarskim”. Inny europarlamentarzysta natomiast stanowczo potępił Władimira Putina. „Kiedyś prezydent Putin honorował Polskę na Westerplatte i w Katyniu, teraz wyzywa od kolaborantów. Strach pomyśleć, jaki będzie kolejny pisowski sukces” – zastanawiał się Radosław Sikorski.

Bez niuansowania w obliczu wspólnej sprawy

wypowiedział się również Grzegorz Schetyna: „Słowa Putina wobec Polski są niegodne i fałszywe. Braku reakcji prezydenta nie można zaakceptować. Chaotyczne działania MSZ pokazują słabość polityki zagranicznej tej ekipy” – stwierdził. I tylko Donald Tusk się z tego chóru wsparcia wyłamał. „Wobec beczelnych kłamstw prezydenta Putina i rosyjskiej propagandy potrzebne jest wspólne stanowisko polskich władz i opozycji. Tu nie ma miejsca i czasu na wewnętrzny spór”. Nie do pomyślenia. ©©

NIE CHCEMY NUROWSKIEJ

Pisarka Maria Nurowska postanowiła zakończyć rok 2019 z przytupem i zawałczyć o podium w konkursie na najbardziej idiotyczną wypowiedź roku.

A może i dekady. Pani Nurowska zupełnie serio wyznała, że wołałaby żyć pod okupacją rosyjską niż PiS-owską. „60 proc. Polaków chce głosować na Dudę. Oto maluje się obraz Polski 2020. W Pałacu Prezydenckim nieodpowiedzialny człowiek, w filharmonii pan Zenek... w Sejmie większość to cynicy, chciwi stanowisk i kasy posłowie... W rządzie podobnie. Nie chcę Cię takiej, Polsko! Już wołałam Cię pod protektorem Rosji... Byliśmy wszyscy raczej niebogaci materialnie, ale za to duchowo. Czytaliśmy Gombrowicza, wiersze Barańczaka, do teatru chodziliśmy na »Dziady«. Kościół był dla nas wsparciem. Nie chcę Cię takiej, Polsko” – napisała na Facebooku. I vice versa chciałoby się rzec. W imieniu Polski.

„SYLWESTER MARZEŃ” HANNY LIS

Z równie mocnym przytupem w nowy rok postanowiła z kolei wejść Hanna Lis, wyrażając swoje oburzenie „Sylwestrem Marzeń” w TVP2 i tym, że grano tam disco polo. A jak wiadomo, Hanna Lis jako samowarząca inteligentka tym gatunkiem muzyki stanowczo pogardza. I tak pani Lis napisała, że oto Jacek Kurski jest prawie jak, nie przymierzając, Hitler i Stalin. „Sowieci i hitlerowcy wymordowali lwią część polskiej inteligencji. Ciąg dalszy nastąpił za komuny. Dzieło domyka towarzysz Kurski. Bez jednego wystrzału” – stwierdziła, zamieszczając na Twitterze zdjęcia telewizora z kadrami z „Sylwestra Marzeń”. I tym samym przyznając się, że go oglądała. Pewnie było tak, że oglądała, ale się nie cieszyła. Jak na prawdziwą inteligencję przystało.

PAMIĘTNIKI Z WAKACJI

W Wigilię media obiegała wieść, że oto celebrytka Ilona Felicjańska wraz z nowym mężem Paulem Montaną zostali zatrzymani w jednym z hoteli w Key West na Florydzie, gdzie przebywali na urlopie. Jak doniosły plotkarskie media, para miała dopuścić się „naruszenia nietykalności cielesnej”, za co ma odpowiadać przed sądem. Ostatecznie dzięki pomocy przyjaciół państwu Montana udało się opuścić areszt jeszcze przed Nowym Rokiem i podzielić swoimi refleksjami po całym zdarzeniu. Ilona Felicjańska w rozmowie z portalem Pudelek zapowiedziała, że wraz z małżonkiem zamierzają pozwać policję z Key West. To nie koniec rewelacji! Otóż była modelka, autorka bestsellerowego thrill-

lera erotycznego, który napisała, przebywając na alkoholowym odwyku w Tworach, mówi, że dzięki aresztowaniu ma już materiał na nową książkę! – Nie chciałabym zabić tej historii, więc w celi pisałam pamiętnik. To może być hit – zapowiada. A my jej wierzymy. Niestety.

CUDU NIE BĘDZIE

Celebrytka Maja Bohosiewicz, istniejąca głównie dzięki Instagramowi i temu, co tam zamieszcza, oburzyła się srogo na to, że ktoś ośmielił się skrytykować jakieś jej zdjęcie. A dokładnie „nieestetyczne eksponowanie dekoltu”. Maja postanowiła dać odpór i zrobiła wykład na temat tego, co wolno, a czego nie wolno robić i pisać na jej profilu. „Chciałam wam powiedzieć, że to konto to jest mój dom, do którego was zapraszam! Bardzo serdecznie. Będę was tu gościła, będzie kawka i ciasteczko, będzie i wesoło, i smutno, ale w moim domu panują moje zasady i ja stawiam granice. Nie wchodzi na stół i nie s...aj mi swoim smutkiem, głupotą, zazdrością, nie komentuj moich mebli, nie pluj na mojego męża ani, do cholery, nie mów mi, czy mam ściąć grzywkę. Też zauważam, że

masz okropny blond, fatalne nogi, twój mąż to jełop i źle układasz sztucze (naucz się w końcu, że brzuszki noży kierujemy w stronę talerza), ale powiem ci to dopiero, kiedy zapytasz: Maja, a co myślisz o... I taką też do ciebie mam prośbę. Przychodź, wpadaj, pogadajmy, pośmiejmy się i, proszę, nie układaj mi w półkach w łazience” – napisała. Łudziły się, że Maja w końcu nie wytrzyma i skasuje konto na Instagramie. No co? Cuda się zdarzają.



FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/ST. NEWS

blond, fatalne nogi, twój mąż to jełop i źle układasz sztucze (naucz się w końcu, że brzuszki noży kierujemy w stronę talerza), ale powiem ci to dopiero, kiedy zapytasz: Maja, a co myślisz o... I taką też do ciebie mam prośbę. Przychodź, wpadaj, pogadajmy, pośmiejmy się i, proszę, nie układaj mi w półkach w łazience” – napisała. Łudziły się, że Maja w końcu nie wytrzyma i skasuje konto na Instagramie. No co? Cuda się zdarzają.

BÓL UBRANIA

Joanna Horodyńska, modelka i stylistka, uchodząca za eksperta w dziedzinie mody, udzieliła wywiadu „Wysokim Obcasom”, w którym przez kilka stron opowiadała o swoich ciuchach i szafie. – To zabrzmiało dziwnie, ale w dobrych ubraniach czuję się jak wśród przyjaciół: pewniejsza siebie, bardziej wolna, bardziej odważna – wyznała. Dodała też, że nie lubi patrzeć na brzydkie ubrania i na źle ubranych ludzi. Dlatego nie patrzy. – Gdy widzę kogoś fatalnie ubranego, to odwracam się, żeby nie patrzeć. Boli mnie ten widok – mówi. A kiedyś nam wmawiano, że głupota nie boli. A tu proszę! ©

FOT. PIWEL GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak tam po Winter Holidays? Nie utonęliście w sałatce jarzynowej? Badaście stężenie majonezu we krwi?

Swoją drogą to całkiem zabawne, iż najbardziej polska potrawa na zimowe wakacje jest wegetariańska, zamierzamy w tym względzie uświadomić Nowego z Tarnowa, jak w nowym roku wrócimy do korpo xD

A właśnie: nowy rok. Macie jakieś personalne targety na 2020? My chcemy odsunąć pis od władzy, dogonić Europę i uświadomić społeczności międzynarodowej rolę tego kraju w wybuchu drugiej wojny światowej.

Tak, wiemy – są to plany ambitne. I w sumie takie jak co roku, ale do wytrwałych ten świat należy.

Znaleźliśmy dane, iż Polskie Linie Lotnicze przewożą coraz więcej pasażerów, a w 2019 r. ich liczba wyniosła 10 mln.

Sami więc widzicie, jaki ślad węglowy zostawia w powietrzu ten kraj (swoją drogą, nie wiedzieliśmy, iż w Polsce nawet samoloty są na węgiel). Trujemy i smrodzimy światu, taka prawda.

A pomyślcie sobie tylko, że jeszcze parę lat temu możliwa była upadłość LOT, a pan Tusk mówił, że nie jest zwolennikiem jego ratowania za wszelką cenę.

Szczególnie uważajcie na tych z PO. Raz chcą nas bronić, a za chwilę wybić do uogi. Nie normalni jacyś...



Było to wtedy dalekowzroczne planowanie związane z walką przeciwko zmianom klimatycznym. I niech ktoś zaprzeczy, iż Donald Tusk to wielki wizjoner i osoba stanu.

Jak pewnie wiecie, rząd podwyższył od 2020 r. płacę minimalną, która teraz wynosi ok. 2,6 tys. zł brutto, czyli 1920 zł netto.

Jak widzicie, rząd niby podwyższa, ale jednocześnie kombinuje, jak tu jeszcze zabrać coś dla siebie, aby było na wypłaty „500+” i innych świadczeń dla podkarpackich bąbelków.

Jak wiecie, my jesteśmy gorącymi zwolennikami płacy minimalnej, od lat postulujemy, iżby jej wysokość była równa średniej krajowej.

Nie możemy jednak jednoznacznie pochwalić podwyżki w sytuacji, kiedy jest ona naszym zdaniem wciąż zbyt niska i kiedy widzimy, jak rząd cichaczem próbuje tym samym zarobić sam na siebie. Na takie ekonomiczne malwersacje mówimy stanowczo: NIE DLA i czekamy na prawdziwą, porządną reformę. ☹☹

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

W służbie postępu

Cześć, Grzesiu. Co taki smutny jesteś?

Czołem, Włodek. A tak się zastanawiam, czy nie rzucić tego wszystkiego i w Bieszczady nie wyjechać. Każdy mnie chce pograć.

Tak jakbyś ty nigdy nikogo nie pograżył.

To jest jednak co innego. Ja się na tym znam, specjalizuję się w tym. A taki Borys, na ten przykład, nawet próbuje, ale tak nieudolnie, że się płakać chce. O Musze nie mówię, bo to już w ogóle farsa.

No to o co ci chodzi? Obronisz się. Ale mnie się już przestaje chcieć. Człowiek sobie flaki wypruwa, intryguje tygodniami, Tuska skutecznie uziemiłem, a potem wychodzi taka Kidawa i zdania jednego po polsku nie umie skleić. Na Jamajce się z niej nawet śmieją.

No, fakt. A wszystko na twoje konto idzie, he, he.

No i czego się cieszysz? Kandydata na prezydenta już macie?

Oj tam, jeszcze dużo czasu jest.

Zobaczysz, zejdzie ci ten uśmiešek, jak się okaże, że sam musisz startować.

Ja?! Bój się Boga, co ty gadasz!

No proszę, jak trwoga, to do Boga, nawet jak się jest z lewicy. I jak w tym kraju ma zapanować postęp? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jedzenie należy kończyć o 20, a przed snem czytać książki Tokarczuk albo kochać się”.

KAZIMIERZ MARCINKIEWICZ dla „Faktu”, udzielając rad na rok 2020

Wielu roni łzy nad czarną przyszłością Grzegorza Skorpiona Schetyna. My nie. Wiemy bowiem, jaki jest plan. I nie ma on wiele wspólnego z Tomkiem Siemoniakem, którego – rezygnując z kandydowania – namaścił Schetyna. Szanse Siemoniaka są bowiem skromne. A naprawdę chodzi Grzegorzowi o to, by szefem PeŁo został Bartosz Arłukowicz, który ma same zalety. Bardzo chce, jest walczykiem, no i przede wszystkim zawarł deal ze Schetyną.

Oto szczegóły dealu. Jak mówią wiewiórki, gdy europoseł Arłukowicz będzie tytułarnym szefem PeŁo zasiadającym na co dzień w Brukseli – bardzo to lubi, a i pieniądze niegorsze – w Polsce o sprawy codzienne dbać będzie pierwszy wiceprzewodniczący. Ma się on nazywać, cóż za przypadek, Grzegorz Schetyna.

Ze szczególną uwagą przebieg wydarzeń obserwuje Zły Donald z Zagrzebia (dawniej z Brukseli), który uważa, że niezależnie od tego, kto zostanie nowym szefem PeŁo, skończy się rozpierducha i odejściem części partii do Koalicji Polskiej. Dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem Peezelu.

Na zatłoczonej polskiej scenie politycznej trzeciego wielkości Sikorskiego oraz Arłukowicza już się nie zmieści, zwłaszcza że balony te ugniata od góry sterowiec Donald Tusk

Ciekawostka. Rozmawialiśmy ostatnio z wiewiórką, która zna Donalda wyjątkowo dobrze. Opowiada ona, że Donald ma kompleks Kaczyńskiego i chciałby być taki jak on. To znaczy ani premier, ani prezydent, a i tak wszystkim rządzi. Rozumiemy doskonale. Przez pięć lat kierowania Radą Europejską Zły Donald oficjalnie był kimś, a tak naprawdę nikim. Nic dziwnego, że teraz chciałby, aby było odwrotnie.

Skoro już poujawialiśmy sekrety PeŁo, czas na tajemnice Peezelu. Niektórzy śmieją się z zapowiedzi Władka Kosiniaka-Kamysza, że będzie

w drugiej turze. Udało nam się poznać rachuby, wedle których to czyni. Otóż w Peezelu panuje przekonanie, że Kidawa-Błońska jest fatalną kandydaticą na prezydencję (feminatywy na specjalne życzenie lewicy) i w związku z tym jej szczyt możliwości to 20 proc. w pierwszej turze. „Ale to było przed pojawieniem się Hołowni” – tłumaczą wiewiórki z Peezelu.

Dlaczego Hołownia coś tu zmienia? W Peezelu uważają, że teraz w pierwszej turze Kidawa dostanie

maks. 15 proc., a reszta się rozłoży. Co oznaczać będzie w sondażach obecność sporej grupy kandydatów z poparciem średnio-małym. W takiej sytuacji walka Kosiniaka-Kamysza o to, by być jednookim królem wśród ślepców i chapnąć 15–16 proc. dające drugą turę, może mieć szanse powodzenia. Tak przynajmniej kalkulują zielone wiewiórki.

Àpropos Kidawy. W PeŁo rośnie znecierpliwienie tym, że kandydaticą na prezydencję niewiele

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

komentuje, a jeśli już, to niezbyt bojowo i w ogóle jest jakaś wycofana, zamiast szarżować na PiS-owską czern. Jako przykład przeciwstawny przedstawiany jest marszałek Senatu Tomasz Grodzki, który w odróżnieniu od Kidawy nie ma żadnych hamulców i szarżuje bez opamiętania. Niektórzy marzą nawet: ech, to byłby dopiero kandydat na prezydenta...

My mamy skromniejsze marzenia. Na początek obejrzelśmy na spokojnie ośrodek marszałka Tomasza Grodzkiego i marzymy o tym, by więcej już ich nie wygłaszał. Tak się bowiem składa, że na zatłoczonej polskiej scenie politycznej trzecie ego wielkości Sikorskiego oraz Arłukowicza już się nie zmieści, zwłaszcza że balony te ugniata od góry sterowiec Donald Tusk. A gdybyśmy chcieli posłuchać Smerfa Ważniaka, to włączylibyśmy sobie oryginalną kreskówkę.

Swoją drogą, media Eine Totalopposition z lubością tytułują Tomasza Grodzkiego „profesorem doktorem marszałkiem”. Cóż, nie przypominamy sobie, by tytułowały Staszka Karczewskiego „doktorem marszałkiem”, a śp. Lecha Kaczyńskiego „profesorem prezydentem”. Tak czy inaczej my Grodzkiego tytułować będziemy „Smerf Ważniak”.

Smerf Ważniak Grodzki jest także wyjątkowym dżentelmenem i dba o wysoką etykę pracy oraz przyjazne otoczenie. W efekcie w Senacie wszyscy pielgrzymują w różne miejsca w poszukiwaniu miejsca pracy z dala od tego uprzejmego człowieka. Trochę żałujemy, że nie pracujemy w Senacie. Obaj panowie G. cieszą się bowiem zasłużoną reputacją osobników doprowadzających swoich szefów do szału.

Apropos ważniaków. Jest wśród zielonych wiewiórek ktoś, czyje kalkulacje cieszą się tam szczególną estymą. To Teofil. A dokładnie Władysław Teofil Bartoszewski, który został głównym specem od polityki zagranicznej Peezeli i Koalicji Polskiej. Co okrutnie irytuje Misia Kamińskiego. Cóż, Misiowi Władek ufa średnio, Teofilowi – bardziej. W dodatku Teofil jest przedmiotem powszechnego podziwu w partii, gdyż jego studentem w Anglii był niejaki Boris Johnson.

Skoro o sprawach zagranicznych. Jacek Czapa-Czaputowicz, który stoi na czele polskiej dyplomacji, niedługo

będzie mógł przyjąć przydomek Jacek bez Ziemi. Chodzi o to, że trwają już intensywne prace nad tzw. ustawą o działach. Na tym etapie prac planuje się wyrwanie spraw europejskich z MSZ i przekazanie ich kancelarii premiera, wraz z Kondziem Szymańskim. To jednak nie koniec.

Już tłumaczmy: jest grubo, bo kancelaria premiera chce mieć wpływ nie tylko na to, o czym Kondzio będzie rozmawiał z kolegami w Europie, lecz także na powoływanie dyplomatów – nie tylko w stałym przedstawicielstwie w Brukseli. Także w innych krajach. Chodzi o tzw. dyplomatów od spraw europejskich. To w istocie oznacza, że dyplomacja będzie dwugłową hydrą.

Tymczasem trwają poszukiwania pracy dla byłego już szefa Służby Wywiadu Wojskowego gen. Andrzeja Kowalskiego. Pierwotnie miał trafić na bardzo interesującą placówkę w Islamabadzie. Jednak obecnie przeważa opinia, że mogłoby to być uznane za zsyłkę. Rozważany jest więc jeden z krajów europejskich. Kłopot w tym, że Europa składa się z bardzo różnych krajów.

Ciekawe ruchy kadrowe szykują się też na krajowym podwórku. I wcale nie mamy na myśli MSZ. Oto w prokuraturze nadchodzi czas intensywnej rotacji. A jeśli coś się kręci, to wiadomo, że niektórym wyślizgują się spod pupy krzeselka i wylatują. Dożynki zaczęły się od Suwałk, gdzie poleciała zaufana prokurator Jarosława Zielińskiego, tamtejszego barona PiS i do niedawna wiceministra. To jednak nie koniec. Spodziewane ruchy kadrowe u niektórych wywołują zrozumiałą niepokoj, ale u wielu innych nadzieję. Chyba na wszystkich szczeblach tej firmy.

Zadowoleniem odnotowujemy, że ciemnogród nie tylko powrócił, lecz także czyni postępy. Podsumowaliśmy obfitą korespondencję świąteczną. Wyraźnie widać, że państwowe instytucje stosują w coraz większym stopniu dyskurs wykluczający, patriarchalny, homofobiczny, klerykalny, by nie powiedzieć – faszystowski. Wnoskujemy to po liczbie nadesłanych kartek z Jezusem, Marią, Józefem, częstokroć w formie reprodukcji konserwatywnych, katolickich, a zatem wykluczających, dzieł malarstwa białego człowieka.

Na tym tle zgola inaczej prezentuje się kartka świąteczna z BPKPKOPONIPZ, który to skrót rozwija się jako: Biuro Prasowe Klubu Parlamentarnego Koalicja Obywatelska Platforma Obywatelska Nowoczesna Inicjatywa Polska Zieloni. Widać, że kartka jest owocem daleko idącego kompromisu. A kompromis jest wtedy, kiedy wszyscy zgrzytają zębami.

Rozmawialiśmy ostatnio z wiewiórką, która zna Donalda wyjątkowo dobrze. Opowiada ona, że Donald ma kompleks Kaczyńskiego i chciałby być taki jak on. To znaczy ani premier, ani prezydent, a i tak wszystkim rządzi. Rozumiemy doskonale

No bo proszę popatrzeć: na obrazku są obcięte gałęzie choinki, co musi doprowadzać do wściekłości Zielonych. Użyto PiS-owskich słów: „święta Bożego Narodzenia”, co musiało rozszedzić lewicę liberalną, czyli Nowoczesną, i lewicę postkomunistyczną, czyli Inicjatywę Polską. Mamy nadzieję, że chociaż pięć czerwonych gwiazd pięcioramiennych oraz trzy Dawidowe zostały przyjęte przez wszystkich równie entuzjastycznie.

Na koniec prasa. Żadne miejsce nie jest nieodpowiednie, by pomóc Eine Totalopposition. Należący do szpringer-opposition „Przegląd Sportowy” dał np. taki początek wywiadu z tymczasowym trenerem Jagiellonii Białystok: „DZIENNIKARZ: Gratulacje za wygraną z Lechią Gdańsk, ale żeby nie było miło, muszę pana zganić za drastyczne podwyżki cen biletów białostockiej komunikacji miejskiej. Jestem jej użytkownikiem, a pan radnym rządzącej Koalicji Obywatelskiej. RAFAŁ GRZYB: Za gratulacje dziękuję, a informację o »drastycznych« cenach biletów muszę sprostować. Wzrosną, ale nie drastycznie, jak straszy opozycja z PiS”. ©©





AUSTRALIA: PIEKŁO NA ZIEMI

Co najmniej 18 osób zginęło, a tysiące mieszkańców i turystów musiało opuścić swoje domy i hotele. Katastrofalne pożary, które szaleją w Australii od września ubiegłego roku, pochłonęły już ponad 1,3 tys. domów. W ogniu żywcem spłonęło również pół miliarda zwierząt, w tym duża część populacji koali oraz wiele kangurów. Żywiół strawił w sumie ponad 4 mln ha buszu.

Chmury dymu nad Australią przekroczyły łącznie wielkość ponad 5,4 mln km kw., czyli więcej, niż wynosi powierzchnia wszystkich państw Unii Europejskiej. Chmury dymu są tak wielkie, że wytwarzają własną pogodę. Pożary powodują burze, a te kolejne pożary. Katastrofa ekologiczna nie ogranicza się jedynie do Australii. Część wielkiej chmury dymu kieruje się do sąsiedniej Nowej Zelandii, gdzie zabarwia niebo i lodowce. Dla ludzi niebezpieczne jest też bardzo wysokie stężenie pyłów zawieszonych.

Dramatyczną walkę z siejącymi spustoszenie pożarami utrudnia wiatr, a także susza. Wiele miejscowości pozbawionych jest energii elektrycznej, dostępu do sieci telefonii komórkowej czy Internetu. (jap) ©©

Truizmem jest już stwierdzenie, że jesteśmy dziś członkami zupełnie innej Unii Europejskiej niż ta, do której przed bez mała 15 laty wstąpiliśmy. Wszystkie ówczesne obietnice – że Unia nie będzie się mieszać w kwestie światopoglądowe, kwestionować suwerenności państw ani narzucać niczego, co nie zostało jasno sformułowane w traktatach – zostały dawno zapomniane.

Jeszcze kilka lat temu byłoby nie do pomyślenia, aby wiceszefowa Komisji Europejskiej oficjalnym listem ingerowała w proces legislacyjny jednego z krajów członkowskich. Tym bardziej nie do pomyślenia byłoby rezolucje Parlamentu Europejskiego, potępiające kraj członkowski za to, że jego obywatele złożyli społeczny projekt ustawy – którego, nawiasem mówiąc, polski parlament (bo chodzi tu oczywiście o projekt ustawy antypedofilskiej, przez PE przedstawiany fałszywie jako „zakaz edukacji seksualnej”) wręcz nie może nie przyjąć do procedowania. Tymczasem takie ingerencje Komisji Europejskiej i rezolucje Parlamentu Europejskiego nabrały już charakteru seryjnego. I doskonale wiadomo, że stanowią one tylko medialne przygotowanie do zapowiadanego „dyscyplinowania” krajów naszego regionu poprzez obcinanie wspólnotowych funduszy. Wszyscy wiedzą, że traktaty nie dają takiej możliwości, ale grunt pod odejście od nich na mocy decyzji unijnych liderów praktycznie jest już stworzony, pozostaje kwestia pretekstu i odwagi do przekroczenia unijnego Rubikonu.

Gwoli uczciwości – jeszcze kilka lat temu nie wyobrażano też sobie, żeby do działania przeciw państwu członkowskiemu inspirowała instytucje Unii polityczna opozycja z tegoż państwa, przedstawiając gotowe do procedowania projekty i niezadko – tak jak w przypadku rzekomego zakazu edukacji seksualnej – posługując się wobec własnego kraju oczywistymi oszczerstwami. I o ile z początku to, że np. antypolskie rezolucje dla PE pisali europosłowie PO, było ukrywane, o tyle obecnie Robert Biedroń wręcz chwali się swoją rolą w „załatwieniu” kolejnych antypolskich rezolucji, a zbuntowani sędziowie ślą do Komisji Europejskiej otwarte apele o wprowadzenie przez nią „środków

Pod but Brukseli – marsz!



Rafał A. Ziemkiewicz

Sąd Najwyższy przekroczył granicę określającą, czy Polska może uważać się za kraj suwerenny, czy powróci do statusu, który miała PRL – obcego protektoratu



zapobiegawczych”, czyli po prostu o wymuszenie na polskich władzach odstąpienia od godzącej w ich interesy reformy.

PRZEKROCZONA GRANICA

Gorliwość opozycji totalnej w mobilizowaniu Brukseli przeciwko Warszawie, jak również skwapliwość, z jaką Bruksela podchwytuje następcę jej przez opozycję okazję, nie jest niczym nowym. A jednak to, do czego doprowadził u schyłku minionego roku Sąd Najwyższy, broniąc się za wszelką cenę przed uznaniem wybranej w poprzedniej kadencji Krajowej Rady Sądownictwa i przed poddaniem się decyzjom nowo utworzonej Izby Dyscyplinarnej, stanowi przekroczenie istotnej granicy. Granicy, bez żadnej przesady można tak to ująć, określającej, czy Polska może uważać się za kraj suwerenny, czy powróci do statusu, który miała PRL – obcego protektora, o kompetencjach sprowadzonych do administrowania lokalnymi sprawami według otrzymanych wytycznych.

Trudno powiedzieć, jaka część uczestników i kibiców sędziowskiego rokoszu zdaje sobie z tego sprawę. W propagandzie obozu liberalno-lewicowego wsparcie udzielane mu przez organa unijne przedstawiane jest analogicznie do wsparcia, które podziemna Solidarność dostawała w latach 80. z Zachodu. Sędziowski rokosz, choć dotyczy wyłącznie przywilejów środowiska, które samo niefortunnie nazwało się nadzwyczajną kastą, ma w tej wizji konfliktu być elementem walki o wolność i prawa człowieka, rzekomo zagrożone przez „łamiącą konstytucję” władzę.

Jest to czyste kłamstwo, i to na wielu poziomach. Począwszy od tego, że, odwrotnie niż w latach 80., kontestowana władza pochodzi z wolnych wyborów i niedawno, po czterech latach formułowania przez opozycję oskarżeń o „nisz-

czenie wolności”, po raz kolejny otrzymała do tego „niszczenia” mocny społeczny mandat, znacznie silniejszy niż cztery lata wcześniej. Ponadto kłamstwem było i pozostaje mające uzasadniać nadzwyczajne działania opozycji oskarżenie jej o „łamanie konstytucji”. Nazwane tak w propagandzie starego układu działania można uznać za wykorzystanie luk w prawie, za naginanie go lub posłużenie się dyskusyjną interpretacją – ale nie za jego łamanie. Na dodatek dotyczyło to kwestii proceduralnych, a nie, jak sugerowała opozycja, praw obywatelskich.

Największym jednak kłamstwem opozycji jest kreowanie się na obrońców polskiej konstytucji. Mimo wypisywania tego słowa na transparentach, koszulkach, a w czasie świąt nawet na bombkach po czterech latach lewicowo-liberalna opozycja zabrnęła w działanie będące właśnie odrzuceniem polskiej konstytucji

Sędziowski rokosz, choć dotyczy wyłącznie przywilejów środowiska, ma być elementem walki o wolność i prawa człowieka

i postawieniem ponad nią subiektywnych orzeczeń grupy sędziów, mianowanych przez unijnych polityków i orzekających na podstawie precedensów z własnych wcześniejszych orzeczeń, a nie podpisanych i ratyfikowanych przez państwa członkowskie traktatów.

Nie pozwólmy krzykaczom zakłamywać tej sprawy. Powodem, dla którego prawnicy establishment, z pierwszą prezes Sądu Najwyższego na czele, zwrócił się przeciwko suwerenności państwa polskiego, jest wyłącznie chęć zachowania niespotykane go w cywilizowanych krajach przywileju, którym cieszyło się postpeerelowskie sądownictwo na mocy ustaleń w Magdalence. Sędziowie (nie wszyscy, tylko ci pełniący wysokie funkcje) sami wybierali swoje władze, które mianowały ich na te funkcje, i odpowiadali wyłącznie przed samymi sobą. Nie miejsce tu na udowadnianie, że w każdym cywilizowanym kraju, przy całej należytej trosce o sędziowską niezawisłość, istnieje taka lub inna forma demokratycznej kontroli nad sądownic-

twem. Krajowa Rada Sądownictwa, wybierana przez prezesów sądów, których sama wybiera, plus brak odpowiedzialności dyscyplinarnej za najbardziej nawet bezprawne działania, były zabezpieczeniem, które otrzymali komuniści w Magdalence na wypadek, gdyby partnerzy historycznego układu nie dotrzymali umowy o bezkarności. Nie tylko wolne od jakichkolwiek zmian, ale zamienione w państwo w państwie PRL-owskie sądy – kto pamięta jeszcze wciskany u zarania RP przez michnikowszczyznę propagandowy przekaz, że ich wyroków „się nie komentuje?” – miały w takim wypadku stanowić ostatnią linię obrony. Kto obserwował wieloletnią farsę „procesu” sprawców grudniowej masakry w 1970 r. i inne podobne, przyznać musi, że przewidzianą rolę sądy odegrały, co więcej, odegrały ją także wobec nowej władzy – by wspomnieć choćby kuriozalne uniewinnienie złapaną z łapówką w ręku postanki Sawickiej.

Zagrożone reformą środowisko, przywołując w sukurs TSUE, a zwłaszcza wykorzystując jego orzeczenie dla otwartego buntu przeciwko konstytucji, wpisało się w najgorszą polską tradycję – Hieronima Radziejowskiego i magnatów, którzy w obronie traconych wpływów zawiązali konfederację w Targowicy i zwrócili się o ratunek do formalnej gwarantki „złotej wolności”, carycy Rosji.

TSUE, wbrew wcześniejszej zapowiedzi swego rzecznika, nie odważył się jednak wydać orzeczenia oczekiwanego przez Sąd Najwyższy i bezpośrednio zdelegalizować KRS oraz Izby Dyscyplinarnej SN. Zachował się sprytniej: zachęcił do tego polski Sąd Najwyższy, który według owej wypisywanej na sztandarach, bombkach i brzuchu Wałęsy Konstytucji RP takich kompetencji nie ma. Na gruncie prawa krajowego rozstrzygnięcie o prawomocności KRS i ID SN jest bowiem wyłączną kompetencją Trybunału Konstytucyjnego.

Tutaj jest więc istota sprawy: korzystając z nieopartego na żadnym traktacie, a tylko na jego własnym orzecznictwie upoważnienia TSUE, Izba Pracy Sądu Najwyższego postawiła to ciało ponad wyraźnym i jasnym w tej kwestii polskim porządkiem konstytucyjnym. To coś więcej niż anarchizowanie sądów i coś jakościowo innego niż realizowana od czterech lat strategia „ulica i zagranica”, w której załatwione przez opozycję w UE potępienia dla Polski miały służyć tylko postraszeniu Polaków „wyrzuceniem nas z UE” i zmobilizowaniu ich w ten sposób przeciw-

ko rządowi PiS. Tym razem mamy do czynienia, bez przesady, z otwarciem drogi do pozbawienia Polski orzeczeniem TSUE prawa do samodzielnej decyzji praktycznie w każdej sprawie i w każdym sporze. Czyli do faktycznej utraty suwerenności.

Mocno wspiera sędziów w tym dziele opozycja totalna, m.in. marszałek Senatu Tomasz Grodzki, który zapowiedział, że spotka się w Brukseli z wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej ds. praworządności Věrou Jourovou.

POMRUKI Z BERLINA

Bardzo ważnym wątkiem jest to, dlaczego TSUE nie odważył się wprost zakwestionować polskiego prawa, zrzucając brudną robotę na sędziowską targowicę. Janusz Lewandowski, były prominentny działacz PO i komisarz europejski za czasów Tuska, powiedział w programie Tomasza Lisa z rozbrajającą szczerością, że Trybunał ustąpił przed „pomrukami, które odezwały się w niemieckim Sądzie Konstytucyjnym”, gdzie działania TSUE „bardzo się nie podobają”.

Kto zada sobie trud sprawdzenia, jak traktowane są orzeczenia TSUE, stwierdzi – być może ze zdumieniem – że prawie wszystkie kraje „starej Unii” zignorowały któreś z nich, a rekordzistą w ich niewykonaniu są właśnie Niemcy. Są one zresztą jedynym państwem w Unii, które otwarcie sformułowało zasadę, że na swoim terenie uznaje własne, krajowe prawo za nadrzędne wobec unijnego.

Z Niemcami TSUE ani Komisja Europejska wejść w spór na tym tle się nie odważają – tym chętniej więc korzystają z okazji, by przeforować zasadę nadrzędności prawa UE nad krajowym (żeby było jasne – nie mówimy tu o prawie, które zostało bezpośrednio zapisane w podpisanych i ratyfikowanych przez państwa członkowskie traktatach, ale o ich daleko idących interpretacjach dokonywanych przez eurokratów) w przypadku Polski. Tak jak kiedyś król Szwecji, a półtora wieku później caryca Rosji wykorzystali błagania o pomoc polskich magnatów do załatwienia swoich imperialnych ambicji, tak samo i dziś traktują eurokraci przywołując ich, w imię „ochrony praworządności”, lewicowo-liberalną opozycję.

W UE ścierają się bowiem przeróżne interesy, rozmaite dążenia, których ogarnięta antypisowską zajądlnością opozycja zwyczajnie nie ogarnia, co sprowadza ją do roli „pożytecznych idiotów”. Komisja Europejska, w traktatach będąca jedynie swego

rodzaju sekretariatem wykonawczym, koordynującym wspólne polityki, usurpuje sobie uprawnienia europejskiego nadzoru. Parlament Europejski, pomyślany jako bizantyjska skarbnica synekur i latyfundiów, przyciągająca i korumpująca dla UE elity krajów członkowskich, również próbuje ustawić się ponad legislatywami państw. A TSUE, metodą kolejnych wykładni i interpretacji, próbuje narzucić się jako ponadpaństwowa „czwarta władza” całego kontynentu.

Te dążenia, kryptonimowane jako „pogłębianie integracji”, mają silne oparcie w wielkim biznesie, w lobby i korporacjach, dla których scentralizowana Unia jest łatwym do kontrolowania i skutecznym narzędziem redystrybuowania bilionów i maksymalizowania zysków (np. przez rozmaite antyrynkowe dyrektywy, szczególnie „ekologiczne”). Wywołują natomiast niepokój dużych państw członkowskich, które raczej chcą poddawać swojej kontroli mniejsze kraje, niż wraz z nimi ulegać dyktatowi wytworzonej przez siebie eurooligarchii. W Paryżu, Berlinie i innych stolicach modna jest raczej koncepcja „Europy dwóch prędkości”, czyli podporządkowania „gorszej”, nowej Unii tej „starej”, lepszej,

W UE ścierają się przeróżne interesy, których opozycja zwyczajnie nie ogarnia, co sprowadza ją do roli „pożytecznych idiotów”

jako obszaru postkolonialnego, rezerwuaru zasobów i rynku zbytu. Nie jest więc tak, że unijne stolicy całkowicie odrzucają w swych „pomrukach” roszczenia Brukseli – raczej liczą, że odpowiednio ukierunkują ambicje KE i TSUE oraz wykorzystają je do swoich celów. Skuteczność tej taktyki zdaje się potwierdzać hipokryzja eurokratów, których zapał do pilnowania „praworządności” i obcinania funduszy ogranicza się tylko do państw „nowej” Unii, jak ognia unikają zaś krytyki postępowania rządów unijnych mocarstw.

POLAK MĄDRZEJSZY OD SWYCH ELIT

Niestety, wygląda na to, że tego wszystkiego nie rozumie nie tylko opozycja, lecz także obecna władza. Podobnie jak w sporze o mienie pożydowskie czy

politykę historyczną PiS zdaje się niezdolny pojąć, że hybrydowy atak na Polskę, z wykorzystaniem sędziowskiego rokoszu i politycznej targowicy, wynika z chęci zrealizowania naszym kosztem konkretnych, imperialnych interesów liderów UE. Dominuje naiwna wiara, że wszystko jest wynikiem „nieporozumień”, które wystarczy wyjaśnić, bo przecież strona przeciwna pełna jest dobrej woli i tylko została zdezinformowana.

Ta naiwna bezradność wobec brukselskiego podboju po części wynika z niezdolności przyznania się do błędu, popełnionego przez śp. Lecha Kaczyńskiego w sprawie traktatu z Lizbony, który otworzył drogę do obecnego „rozpychania się” eurokracji. Dzisiaj nie ma wątpliwości, że wycofując polskie weto pod pretekstem nic niewartego „mechanizmu z Joaniny”, prezydent RP i jego brat zwyczajnie dali się oszukać. Powiedzenie tego jest jednak w obrębie PiS z oczywistych względów niemożliwe. Bardzo źle to wróży w kontekście zbliżającego się konfliktu, potencjalnie znacznie groźniejszego od sporu o „praworządność” – odłożonego na „po wyborach” „zielonego ładu”, który pod pretekstem troski o klimat ma całkowicie przebudować gospodarkę Europy, wprowadzając wspomniany wyżej, trwały podział na dominującą metropolię i kolonialną „nową” Unię.

W tej sytuacji wiele nadziei daje sondaż, przeprowadzony w całej UE przez unijne biuro badawcze Eurostat. Tym razem – w związku z brexitem – zadano badanym nieco inne niż zwykle pytanie: „Czy uważasz, że twój kraj czeka lepsza przyszłość w UE czy poza nią?”. Polska, która w standardowym badaniu „Czy jesteś zadowolony z członkostwa w UE?” jest liderem euroentuzjazmu, przy takim postawieniu sprawy okazuje się najbardziej z wszystkich państw członkowskich przygotowana do opuszczenia UE: 47 proc. Polaków uważa, że lepsza przyszłość jest poza nią (przeciwnego zdania jest 45 proc.). Jest tylko jedno logiczne wyjaśnienie pozornej sprzeczności sondaży. Większość Polaków, racjonalnie, uważa, że na razie wciąż jeszcze więcej nam UE daje pożytku niż szkody – ale też ma świadomość, że to się nieuchronnie zmienia. Strasznie polexitem i prowokowanie UE do ataków na Polskę, uprawiane przez opozycję, dało efekt odwrotny do zamierzonego – oswoiło Polaków z taką perspektywą. I każdy następny list do Unii z błaganiami o sankcje oraz z Unii, z ich zapowiedziami, będzie ten efekt pogłębiać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Nadchodzi nowy despotyzm



Z prof. Ryszardem Legutką, europosem PiS rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Unijna komisarz ds. praworządności, Věra Jourová, wystosowała do polskich władz stanowczy apel o zaniechanie dalszych prac nad projektem ustawy dyscyplinującej sędziów. Jaką moc sprawczą może mieć ten dokument?

PROF. RYSZARD LEGUTKA: Nie ma żadnej mocy prawnej. Traktaty unijne nie nadają Komisji Europejskiej kompetencji do ingerowania w proces legislacyjny w krajach członkowskich. Na gruncie obowiązujących reguł racja jest po naszej stronie. To jednak nie zmienia tego, że KE próbuje wywierać na nas presję polityczną. Należy przy okazji wspomnieć, że akurat Věra Jourová jest jednym ze słabszych komisarzy...

Słabszych pod jakim względem?

Zarówno osobowościowym, jak i politycznym. Jourová została mianowana przez rząd Andreja Babiša, który przecież sam ma problemy z instytucjami unijnymi.

Komisja Europejska chyba nigdy nie była konsekwentna w potępianiu tych, którzy łamią tzw. standardy unijne.

Widać gołym okiem, że unijni komisarze stosują podwójne standardy. Jednym wybacza się wszystko, innych potępia się za wszystko. Prawo tu się nie liczy, bo KE ponad prawem stawia swoje ideologiczne i polityczne racje. Nasi krytycy powołują się na artykuł 2 Traktatu o UE. Wymienione są tam główne wartości Unii, takie jak poszanowanie wolności, demokracji, równości, państwa prawnego...

Niezbędnie konkretnie to brzmi. W taką formę można włożyć każdą treść, zależnie od politycznej potrzeby.

Z prawnego punktu widzenia to nic nie znaczy, z politycznego może znaczyć cokolwiek. Batem na nieposłusznych ma też być Trybunał Sprawiedliwości UE. To kolejna instytucja, która próbuje rozszerzyć swoje kompetencje wbrew zapisom traktatowym. Wprawdzie każdy kraj ma prawo rzucić się po swojemu w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości, niemniej TSUE wydaje opinie czy orzeczenia służące Brukseli jako amunicja w walce z władzami tych krajów.

Sam pan stwierdził, że Jourová jest jednym ze słabszych komisarzy. Czy zatem możemy ją bardziej ignorować niż poprzedników? Na ile komisarz praworządności występuje w swoim imieniu, a na ile jest jedynie narzędziem w rękach silniejszych?

Jeszcze zbyt wcześnie, by odpowiedzieć na to pytanie. Z jej poprzednikiem było od razu wszystko wiadomo. Ataki na Polskę i Węgry były dla niego narzędziem w grze o wysoką stawkę. Frans Timmermans walczył o schedę po Junckerze. Miał duże wpływy polityczne i silną osobowość. Natomiast Ursula von der Leyen na razie wypowiada się stosunkowo ostrożnie. Być może w ten sposób spłaca dług wobec polskiego rządu, który poparł ją na stanowisku szefa KE. Otrzymała stanowisko m.in. dzięki temu, że Polska zablokowała Timmermansa...

Z Komisji Weneckiej próbuje się robić wyrocznię. Podlega ona Radzie Europy, w której zasiadają m.in. Rosja, Turcja, Ukraina czy Gruzja

Nie ma jednak żadnego obowiązku nam tej wdzięczności okazywać.

To prawda, na samą wdzięczność nie należy liczyć. Wiele będzie zależeć od siły przetrwania polskiego rządu. Duża część unijnych elit dąży wprost do odsunięcia PiS od władzy. Bruksela daje polskiemu rządowi do wyboru tylko dwie opcje – albo bezwarunkowe podporządkowanie się, albo frontalny atak instytucji unijnych. Tu nie ma miejsca na kompromis. Polski rząd próbował wyciągać rękę. Bruksela dawała do zrozumienia, że w zamian za pewne ustępstwa zostawi nas w spokoju. Umowy jednak nie dotrzymała. Polska ustąpiła, Unia – nie.

Może w takim razie nie opłacało się ustępować, skoro PiS i tak był, jest i będzie na cenzurowanym, cokolwiek by zrobił?

Trzeba prowadzić grę z Brukselą, mając jednak na uwadze, że drugi gracz

nie postępuje zgodnie z zasadami fair play. Łamanie reguł stało się w Unii stałą praktyką. Europa Środkowo-Wschodnia pod rządami konserwatystów jest przez polityków zachodnioeuropejskich traktowana jak ciało obce. Rząd PO-PSL był pod tym kątem idealnym partnerem dla UE. Nie protestował, nie negocjował, nie upierał się, jeśli z kimś walczył, to z „prawicowymi populistami”.

Wracając do samego apelu unijnej komisarz, dotyczy on procedowanego jeszcze projektu. Wcześniej Komisja Europejska interweniowała w sprawie już uchwalonych ustaw. Naciski Brukseli wydają się więc coraz poważniejsze. Co się takiego wydarzyło – czy KE zaostroża kurs, czy może proponowane przez PiS zmiany są jednak aż tak kontrowersyjne?

Nic się w ostatnim czasie istotnego nie wydarzyło. W żadnym z krajów zachodnioeuropejskich nie tolerowano by takich ekscesów, jakich się dopuszczają nasi sędziowie, choć system sprawiedliwości niewiele różni się tam od naszego po reformach. Unijni politycy przegrali walkę o polski Trybunał Konstytucyjny i teraz starają się wyprzedzać wypadki.

Jourová sugeruje, że wszelkie zmiany w polskim wymiarze sprawiedliwości powinny być konsultowane z Komisją Wenecką.

To absurd. Z Komisji Weneckiej próbuje się uczynić wyrocznię. Podlega ona Radzie Europy, w której zasiadają m.in. Rosja, Turcja, Ukraina czy Gruzja, a więc kraje, których raczej nie powinniśmy naśladować pod względem praworządności. Ponadto Komisja Wenecka nie dopracowała się żadnej konsekwentnej, spójnej linii orzecniczej. Wydawane przez nią opinie to konstruowane ad hoc wypowiedzi w reakcji na konkretne wydarzenia. Jedynym ich celem jest wywieranie presji na niepokornych.

Jaki udział w atakach KE na polski rząd ma polska opozycja?

Na pewno nie ma żadnego decydującego wpływu. Gdyby nie było woli politycznej po stronie Brukseli, polska opozycja nic by nie wskórała. Jest na to zbyt słaba. A będzie jeszcze słabsza, jeśli kiedyś wróci do władzy. Po latach skargi na forum unijnym Platforma Obywatelska i jej sojusznicy byłiby niewiarygodni, gdyby nagle zaczęli czegokolwiek dla Polski żądać. Zapewne usłyszeliby wówczas: „Daliśmy wam wszystko, co chcieliście, pomogliśmy wam wrócić do

władzy, więc teraz siedźcie cicho i róbcie, co wam każemy”.

Apel upublicznił jako pierwszy marszałek Tomasz Grodzki, z dopiskiem: „Zapewniam, że Senat RP skorzysta ze wszelkich przewidzianych prawem możliwości, by stanowione w naszym kraju prawo dotyczące sędziów było zgodne z regulacjami i wartościami Unii Europejskiej”. A jak powinien zareagować polski rząd?

Trzeba nieustannie podkreślać, że wymiar sprawiedliwości jest wewnętrzną kompetencją państwa członkowskiego i że wtrącając się, Unia łamie własne zasady. Ponadto trzeba wskazywać, że stara Unia ma do Europy Wschodniej stosunek protekcyjny i władczy. Z ust doradcy niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, w jeszcze większym niż u nas stopniu wybieranego przez polityków, można było jakiś czas temu usłyszeć, że pewne rozwiązania nie mogą funkcjonować w Polsce, za to mogą sprawdzić się w Niemczech z uwagi na... wyższą „kulturę niezależności”. To kuriozum.

Brzmi wręcz jak dyskryminacja... Adam Bodnar, krytykując ustawy sądowe, stwierdził, że grozi nam „prawniczy polexit”. Jest takie niebezpieczeństwo?

Gdyby Brukseli zależało na pozbywaniu się państw członkowskich, Wielka Brytania już dawno byłaby poza UE. Elity unijne bardzo boją się ruchów odśrodkowych. Mówienie o polexicie to zgrana już karta. Dzisiaj opozycja próbuje stworzyć wrażenie, że każda próba domagania się większej samodzielności sprowadza na nas wrogość Unii. To jest granie na kompleksach i uruchamianie w nas syndromu niewolnika. Wydałoby się, że celem dobrego polityka powinno być wzmacnianie poczucia niezależności u swoich wyborców. Tymczasem opozycja zdaje się mówić do Polaków takimi oto słowami: „Nie podskakujcie, nie protestujcie, bo wasz unijny pan wymierzy wam karę i wyrzuci na bruk, a tam, samotni, zdechniecie z głodu”. Ta perwersyjna narracja jest silna w części wpływowych środowisk – w dużych miastach, w elitach akademickich...

Komisja Europejska nie pierwszy raz próbuje ingerować w spory wewnętrzne kraju członkowskiego. Zdaniem niektórych naciski KE doprowadziły do upadku rządu Silvia Berlusconi. Również obecny wicepremier Włoch Luigi di Maio twierdzi, że unijni komisarze próbują odsunąć go

od władzy. Podobnie wygląda sytuacja z Viktorom Orbánem... Czy KE może obalić polski rząd?

Nie, ale zważywszy, że KE poczyniła sobie arogancko wbrew wszelkim ustaleniom traktatowym, nie wykluczam, że niektórzy mają na to ochotę. Przykład Włoch, który pan podał, jest szczególnie skandaliczny. Pamiętajmy, że Europa Zachodnia jest ujednolicona ideologicznie, rządzona przez główny nurt zdominowany przez lewicę i fanatycznie nienawidzący konserwatystów. Nawet dla komunistów jest większa tolerancja niż dla konserwatystów. Tworzy się coś w rodzaju nowego despotyzmu, który wycisza, dyskryminuje, odsuwa na margines, a często nawet represjonuje tych, którzy myślą inaczej. Model polityczny ukształtowany w Europie Zachodniej jest modelem bezalternatywnym. Jego idealnym wcieleniem jest scena partyjna w Niemczech, gdzie od lat rządzi ta sama koalicja, a wszystkie partie praktycznie niczym się między sobą nie różnią. Różnorodność jest tępiona. Każdy, kto nie pasuje do obowiązującego modelu, jest piętnowany i nazywany faszystą. Już nie ma tradycyjnego podziału na prawicę i lewicę. Podział jest na „my” i „oni”.

Komisja Europejska jest narzędziem tego despotyzmu?

Tak. Zobaczymy jednak, co będzie dalej. W nowym składzie KE są przedstawiciele państw, które do tej pory nie cieszyły się przychylnością unijnych elit – Czech, Polski, Węgier... Ale to może niewiele znaczyć. Czeszka Jourová udaje Timmermansa. Estonia do niedawna ramię w ramię z Polską blokowała ekologiczne restrykcje, ale zmieniła zdanie, gdy trzeba było zdobyć poparcie dla estońskiego kandydata na komisarza...

KE nie jest wyłaniana w wyborach powszechnych, jest natomiast efektem gabinetowych układów. Dlaczego tak trudno sobie poradzić z tą niedemokratyczną instytucją?

Kraje słabsze, takie jak Polska, mają dwie drogi. Po pierwsze – trzymać się reguł i cały czas o nich przypominać, mimo że są one systemowo gwałcone. Reguły mają chronić słabszych. Silni reguł nie potrzebują, bo poradzą sobie również bez nich. Po drugie – trzeba szukać koalicjantów. To też nie jest łatwe z wielu względów. Weto w Radzie Europejskiej zwykle się kończy tym, że sprawa zostanie przesunięta na poziom Rady Unii Europejskiej, a tam już jednomyślność

Elity unijne bardzo boją się ruchów odśrodkowych. Mówienie o polexicie to zgrana już karta

nie obowiązuje. A system lizboński działa tak, że praktycznie niemożliwe jest skonstruowanie mniejszości blokującej. Zawsze jest więc tak, że jeśli silni chcą coś przeprowadzić, to prawem lub lewem to przeprowadzą. I to jest jeden z przejawów owego despotyzmu, o którym mówiłem. Na ostatnim posiedzeniu Rady Europejskiej udało się przeforsować polskie racje w sprawie tzw. zielonego paktu. To jednak nie koniec walki. Już słychać głosy, że tak naprawdę te ustalenia nie są wiążące, że jedynie przesunięto rozstrzygnięcie tej sprawy o pół roku. Należy się więc spodziewać, że znowu rozpoczną się sztuczki przeciw nam skierowane. A to wszystko opatrzone nieznosnie świętoszkowatym językiem.

Mamy jednak od ponad pół roku nowy Parlament Europejski, od paru miesięcy nową Komisję Europejską. Czy coś się od tego czasu zmieniło na lepsze lub na gorsze?

Parlament Europejski jest wyraźnie gorszy, niż był. Nastroje w Europie skręcają w prawo, PE jest zdominowany przez lewicę. Największa frakcja, Europejska Partia Ludowa, nominalnie chadecka, zupełnie już poddała się lewicowej retoryce. W Parlamencie Europejskim mamy do czynienia z podręcznikowym przykładem tyranii większości. Mówiłem o tym wiele razy publicznie. Gdy spotykam na korytarzach parlamentarnych polityków EPL, po cichu przyznają mi rację, ale oficjalnie trzymają się głównej linii. A co do komisji... Z racji mojej funkcji przewodniczącego EKR spotykam się dość regularnie z Ursulą von der Leyen. Zawsze są to miłe spotkania. To jednak wciąż tylko etap słów. Czekamy na działania. Nawet mowa inauguracyjna „zielony pakt” była pozbawiona konkretów. Nowa przewodnicząca KE wciąż ma nasz kredyt zaufania. Wydaje się osobą rozumiejącą złożoność sytuacji politycznej. Czy jednak będzie to uwzględniać przy podejmowaniu konkretnych decyzji – o tym się wkrótce przekonamy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Putin mija się z prawdą



Z dr. Krzysztofem Rakiem, historykiem, autorem książki „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera” rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: „Polska powinna przeprosić za popieranie polityki Hitlera” – powiedział w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia przewodniczący Dumy Państwowej Rosji Władisław Wołodin. Twierdził też, że władze II RP rozważały likwidację narodu żydowskiego poprzez wysiedlenie go do Afryki.

DR KRZYSZTOF RAK: Po pierwsze, kwestia żydowska nie weszła na polityczną agendę rozmów polsko-niemieckich na najwyższym szczeblu. Były oczywiście problemy z traktowaniem obywateli polskich pochodzenia żydowskiego przebywających

na terenie Niemiec i to w rozmowach dwustronnych władz II Rzeczypospolitej i III Rzeszy było poruszane. Natomiast nigdy kwestia jakiejś współpracy z Niemcami w dziele eksterminacji, wysiedlenia ludności żydowskiej, nie była tematem politycznych stosunków dwustronnych. A wypowiedź ambasadora Józefa Lipskiego z września 1938 r., o której chętnie teraz mówią Rosjanie, miała incydentalny charakter, była prywatną wypowiedzią wyrażoną w rozmowie z Hitlerem, bynajmniej nie oddawała ona stanowiska polskiego

rządu. Była wypowiedzią nierozsądną, ale budowanie na jej podstawie tezy, że było to oficjalne stanowisko polskiego rządu w kwestii emigracji Żydów, jest z punktu widzenia warsztatu historycznego ewidentnym nadużyciem.

Taką tezę z kolei stawiał prezydent Władimir Putin, który przywołując postać Józefa Lipskiego, nazwał go antysemitą swołoczą i również sugerował, że Polska solidaryzowała się z Hitlerem w antysemickich nastrojach.

Prezydent Putin mówił, że strona rosyjska coś odkryła, że dotarła do nowych dokumentów. Tutaj jest – nie wiem, czy tylko przypadkiem – bardzo nieprecyzyjny. To nie są żadne nowe dokumenty, które zostałyby odkryte przez rosyjskich historyków. Notatka, o której mówimy, z 20 września



z Hitlerem czy współodpowiedzialność za wywołanie drugiej wojny światowej...

Napisałem na ten temat całą książkę: „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera”, ponad 500 stron na temat relacji polsko-niemieckich. Tematem numer jeden, w którym te relacje się poruszało, i głównym dążeniem Hitlera była kwestia ataku na Związek Sowiecki. Hitler od połowy XX w. miał wielką ideę zdobycia dla narodu niemieckiego przestrzeni życiowej, którą widział na terytorium Rosji, i potrzebował do tego sojuszników. Jednym z nich, w jego planach, miała być Polska. Po zapoznaniu się z dokumentami z tamtego okresu – zarówno tymi publikowanymi, jak i niepublikowanymi, które są w archiwach – mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że nie ma ani jednej wypowiedzi polityka polskiego rządu odpowiedzialnego za politykę zagraniczną, która choćby sugerowała, że my, jako Polska, w którymkolwiek momencie byliśmy gotowi na sojusz z Niemcami. Można wręcz postawić tezę, że dla wszystkich rządów II RP ważna była doktryna dwóch wrogów sformułowana w memoriale szefa Sztabu Generalnego Władysława Sikorskiego ze stycznia 1922 r., zatytułowanym „Polityka zagraniczna z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Kluczowym elementem tej doktryny było założenie, że Polska będzie prowadziła politykę utrzymania status quo w Europie i nie wejdzie w sojusz z Niemcami przeciwko Rosji ani w sojusz z sowiecką Rosją przeciwko Niemcom. Właśnie dlatego, by utrzymać porządek wersalski w Europie. Polityka II Rzeczypospolitej była ukierunkowana na utrzymanie postanowień traktatu wersalskiego i tę też politykę kontynuował po 1926 r. Józef Piłsudski. Dlatego też wszystkie awanse Hitlera, które miały służyć stworzeniu sojuszu antysowieckiego, Polska za każdym razem bardzo wyraźnie odrzucała. Tak naprawdę to przecież Niemcy i sowiecka Rosja były tymi dwoma krajami, które chciały porządek wersalski zniszczyć: Hitler, proponując nam sojusz przeciw Stalinowi, ale też – o czym u nas się mało mówi – jeszcze wcześniej, w lipcu 1933 r., militarny sojusz antyniemiecki zaproponował nam Józef Stalin. Polska tego rodzaju propozycję zawsze i mocno jednoznacznie odrzucała.

W takim razie jaki był sens podpisania przez Polskę z III Rzeszą Adolfa Hitlera deklaracji o nieagresji?

Nie podpisaliśmy jej po to, by razem iść przeciwko Związkowi Sowieckiemu czy

burzyć porządek w Europie, tylko żeby ten porządek utrzymać. Na początku lat 30. nasi sojusznicy byli gotowi nas zdradzić – mówię tutaj przede wszystkim o Francji, a także Wielkiej Brytanii – i zgodzić się na rewizję terytorialną w naszej części Europy na niekorzyść Polski. Chodziło głównie o włączenie Gdańska do Rzeszy i tzw. korytarz gdański, a także część Górnego Śląska. Francja w owym okresie już prowadziła z Niemcami rozmowy, na przełomie lat 1932 i 1933 wręcz zaś namawiała Niemców, by ci silniej artykułowali na arenie międzynarodowej postulat rewizji granic. Polska znalazła się wówczas w bardzo trudnej sytuacji i możliwość podpisania z Hitlerem deklaracji o nieagresji wydawała się dobrym rozwiązaniem. Tak naprawdę dzięki temu nie doszło wówczas do kolejnego rozbioru Polski. A trzeba też pamiętać, że była to tylko deklaracja, to nie był pakt z Hitlerem. Nie miała ona charakteru prawnie wiążącego, za to dla nas była pewnego rodzaju defensywą wobec planów mocarstw zachodnich sprzeczania Polski w zamian za normalizację stosunków między Berlinem a Paryżem. Co ciekawe, Stalin dostrzegał, że państwa zachodnie będą chciały zdradzić Polskę, co stanowiło zagrożenie także dla niego, i właśnie wtedy zaproponował nam pakt antyniemiecki.

Powiedział pan, że Wielka Brytania i Francja były gotowe nas zdradzić. Niedawno Jarosław Kurski, wicenaczelnny „Gazety Wyborczej”, napisał, że Polska jest zadufanym w sobie dziwadłem na peryferiach Europy i tak jak w latach 30. nikt nie chciał za nas umierać, tak nikt nie będzie za Polskę w Europie ginął i teraz...

Trudno tego typu niewyważone opinie komentować. O ile wiem, pan Kurski nie jest specjalistą od historii i za wiele wiedzy na ten temat nie ma. Niestety, my dzisiaj sami nie doceniamy roli, którą w latach 30. Polska odgrywała. Oczywiście nie byliśmy mocarstwem, choć byliśmy stosunkowo dużym krajem pod względem ludności. Jednak Polska, dzięki swojemu położeniu geopolitycznemu, odgrywała rolę niebywale istotną dla sytuacji w Europie. Nie była bynajmniej krajem marginalnym oraz peryferyjnym i ani Stalin, ani Hitler tak jej nie traktowali. Obaj ci dyktatorzy dążyli do tego, by uczynić Polskę swoim sojusznikiem, a więc Polska liczyła się na arenie europejskiej, była ważnym czynnikiem. Postawiłbym też tezę, że Polska, nie godząc się na sojusz z Niemcami lub

Prezydent Rosji stwierdził ostatnio m.in., że Polska ponosi współodpowiedzialność za wybuch drugiej wojny światowej. FOT. YURI KOCHETKOV/EPA/PAP

1938 r., była już dawno wielokrotnie publikowana, nie jest żadną tajemnicą, historycy na całym świecie mieli do niej dostęp, nie ma w niej nic sensacyjnego. Jednak wypowiedź prezydenta Putina pokazuje pewną metodę, którą przyjęła strona rosyjska; takie notatki pozostają najczęściej wyłącznie w zainteresowaniu zawodowych historyków, zajmujących się danym okresem, zwykli ludzie, a także prezydenci państw, nie mają czasu ich czytać, więc można mieć podejrzenia – biorąc pod uwagę kontekst, w jakim słowa z tej notatki zostały umiejscowione – że chodziło o celową manipulację w grze polityką historyczną.

W ostatnim czasie ze strony rosyjskiej, także prezydenta Putina, padło jednak wiele podobnych stwierdzeń oskarżających Polskę o współpracę

Rosją, spowodowała, że traktat wersalski w Europie obowiązywał tak długo.

Wracając jeszcze do Putina. Stwierdził m.in., że Związek Sowiecki niczego Polsce nie odebrał, że przyczyną wojny nie był pakt Ribbentrop-Mołotow, tylko pakt monachijski, a Polska ponosi współodpowiedzialność za wybuch drugiej wojny światowej.

W zasadzie nawet nie ma sensu takich enuncjacji komentować, ale zwróćmy uwagę na jedną rzecz: tak się uprawia politykę historyczną czy raczej propagandę historyczną. Jeśli popatrzymy na lata 30., to główną odpowiedzialność za zniszczenie porządku wersalskiego ponoszą Adolf Hitler i Niemcy. Putin mija się z prawdą, nie tylko oskarżając Polskę o współodpowiedzialność za wybuch drugiej wojny światowej. Myli się także w sprawie paktu monachijskiego, który zalegalizował przyłączenie części Czechosłowacji do Niemiec, jednak w pewnym sensie powstrzymał Hitlera, który już od 1938 r. parł do wojny europejskiej. Przywódca Niemiec nie był zadowolony z tego, co się stało w Monachium, bo on przecież szukał pretekstu do wojny i był – jak wynika ze źródeł historycznych – bardzo niezadowolony, że musiał dać się „przekonać” Brytyjczykom i Francuzom. Pytanie, jaki stopień odpowiedzialności za wojnę, która wybuchła w 1939 r., ponoszą inne mocarstwa, bo współodpowiedzialne za nią są również kraje zachodnie, a szczególnie Francja, która od połowy XX w. pozwalała Niemcom na coraz więcej. Rolą Francji po pierwszej wojnie światowej miało być właśnie kontrolowanie potencjału mocarstwowego Niemiec.

Jednak w głośnej wypowiedzi Putina nie ma mowy o Francji, jest oskarżenie pod adresem Polski...

To nie jest tak, że teza prezydenta Putina jest jakąś aberracją, tezę wymyśloną na poczekaniu na Kremlu. W historiografii niemieckiej i francuskiej, a także brytyjskiej popularna jest narracja o współodpowiedzialności Polski. Prezydent Putin sieje na gruncie dawno zaorany. To historycy mocarstw najbardziej odpowiedzialnych za dopuszczenie do wybuchu drugiej wojny światowej zrzucają winę na Polskę, twierdząc, że poprzez polsko-niemiecką deklarację o nieagresji wzmocnili reżim Hitlera. To teza absolutnie nieprawdziwa. Problem jednak polega na tym, że w Polsce nie prowadzimy na ten temat badań i dlatego historycy brytyjscy czy francuscy mogą pisać wszystko, czego tylko zapragną.

U nas w kraju w ciągu ostatnich 30 lat z jakiegoś względu badania okresu lat 20.–30. XX w. zostały zahamowane. Odpowiedzialność za to ponosi nie tylko państwo polskie, które ich nie stymuluje, lecz także uniwersytety.

Czy nie jest to zasadniczy element słabości polskiej polityki historycznej?

Jestem przeciwnikiem robienia polityki historycznej, bo albo badamy prawdę, albo robimy politykę. Rosyjskiej polityce historycznej przyglądam się od kilkunastu lat i jeśli ktoś w Polsce wierzy, że jesteśmy w stanie robić lepszą politykę historyczną niż Rosjanie, to nie wie, co mówi. Na tym polu z Rosjanami przegramy; jeśli chcemy wygrać, to na polu badań naukowych. Powinniśmy szukać prawdy historycznej, a nie uprawiać politykę historyczną. W polityce historycznej Rosjanie są bowiem mistrzami, praktykując ją od setek lat, zaangażowane jest w nią całe państwo, całe społeczeństwo, uniwersytety. My jesteśmy w takiej batalii w stanie wystawić jedną kompanię, a przeciwko sobie będziemy mieć całą propagandową armię pancerną. Róbnym badania historyczne i mówmy, jaka jest prawda, a jest taka, że nie mamy się czego wstydzić. Natomiast nowością w polityce historycznej Kremla jest – co obserwuję w ostatnich kilku miesiącach – obciążanie Polski współodpowiedzialnością za Holokaust. Do tej pory mówiono, że Polska ponosi współwinę za drugą wojnę światową, dzisiaj do tego dochodzi także zarzut współwiny za zagładę Żydów. Mam wrażenie, że w tym celu prezydent Putin wywołał całą aferę z ambasadorem Lipskim, dlatego wyciągnął ten, a nie inny fragment jego notatek. I Rosjanie dobrze wiedzą, co robią, świetnie znają naszą słabość. U nas badań na temat Holokaustu też się bowiem nie prowadzi. Jednym z nielicznych historyków, którzy badają ten temat – a wiem, jaki miał problem, żeby ktoś go wsparł – był prof. Bogdan Musiał, który niedawno opublikował książkę na temat ustawodawstwa niemieckiego w okresie drugiej wojny światowej.

„Kto dopomoże Żydowi...” rozbijającą mity o polskim współudziale w Zagładzie...

A prof. Musiał jest przecież jednym z najlepszych badaczy Holokaustu. To



KRZYSZTOF RAK
„POLSKA – NIESPEŁNIONY SOJUSZNIK HITLERA”
BELLONA 2019

bardzo przykre, bo państwo polskie wspiera np. prof. Grabowskiego i panią prof. Engelking, sugerujących współudział Polaków w Holokauście.

Jak Polska powinna zareagować na ahistoryczne enuncjacje Putina? MSZ wezwało na dywanik ambasadora Federacji Rosyjskiej.

Taka jest praktyka dyplomatyczna. Muszę powiedzieć, że dla mnie polityka rosyjska jest dziwna, bo ten sam ambasador kilka miesięcy wcześniej udzielił

wywiadu Onetowi, w którym prezentował wrogi, nieprzejdany stosunek do Polski. Jedną z podstaw dyplomacji jest to, że bez powodu, na siłę, nie należy robić sobie wrogów. Rozumiał to Stalin, tego nie rozumie Rosja Putina.

Jak powinniśmy reagować? Spokojnie. Nie powinniśmy ulegać emocjom, na Kremlu jest taki, a nie inny polityk, ten polityk najwyraźniej nie radzi sobie z sytuacją wewnątrz jego kraju i chwytą się różnych metod. Powinniśmy przestać wierzyć, że nakręcimy jakiś przełomowy film, który pokazując prawdę historyczną, podbije świat, że w historycznej narracji będziemy skuteczniejsi od Rosjan, nie podejmować walki na ich terytorium, czyli polityki historycznej, za to stymulować badania i wygrywać batalie na polu rzetelnych badań naukowych. Z nimi trzeba docierać do opinii publicznej, odkrywając prawdę, która często jest nieznana, zachowana w polskich dokumentach dyplomatycznych. Dyplomatyczne dokumenty polskie są oczywiście pisane w języku polskim, a na Zachodzie w naszym języku naukowcy nie czytają i tu się koło zamyka. A nasze uniwersytety niestety są w kryzysie, zajmują się różnymi pseudonaukami, zamiast inwestować w badania i publikacje historyczne oraz je wspierać. Państwo polskie jest dziś w tak dobrej kondycji finansowej, że bez problemu mogłoby pozwolić sobie na wsparcie badań naukowych dotyczących okresu międzywojennego i popularyzując ich na Zachodzie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Krzysztof Rak – historyk, filozof, dyrektor Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej w Warszawie.

Wielu nowych dróg z Rentis w 2020 roku!



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RentIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

Burzliwy dzień głosowania w Sejmie nad ustawą dyscyplinującą sędziów – 19 grudnia 2019 r. Rano odbywa się głosowanie nad wnioskiem opozycji o zdjęcie ustawy z obrad. Gdyby opozycja stawiała się w komplecie – mając 213 głosów – mogłaby utracić ustawę PiS. Jednak na poranne głosowanie nie przychodzi aż 30 posłów opozycji. Najwięcej nieobecnych było z Lewicy – 12 osób, potem z Koalicji Obywatelskiej – 11 osób i siedem z PSL.

Na tym tle Konfederacja błyszczą determinacją w woli odrzucenia ustawy. W debacie nie zostawia suchej nitki na projekcie resortu Zbigniewa Ziobry. Konrad Berkowicz nazywa projekt ustawy „gniotem prawnym”. „Konfederacja w tym sporze nie staje po żadnej stronie dlatego, że przedmiot tego sporu jest wysoce niewłaściwy” – ogłasza z trybuny sejmowej. Wskazuje: „Nie chodzi bowiem o to, kto będzie dzierżył władzę nad sądami w Polsce, ale chodzi o to, żeby sądownictwo w Polsce było prawdziwie niezależne”. Poseł Artur Dziambor ogłasza, że „widzimy gigantyczny skok na sądownictwo”, choć jednocześnie zaznacza, że Konfederacja nie zgadza się również na to, „co serwuje »opozycja totalna«, która mówi o słuchaniu się sądu unijnego”.

Kropkę nad i stawia Janusz Korwin-Mikke, który podkreśla, że to Konfederacja, a nie KO czy Lewica, jest „opozycją totalną”. Tłumaczy to tak: „Bo tamci to chcą, żeby sądy były pod tym albo tamtym. A my chcemy mieć sądy naprawdę niezależne, również od nas i również od Unii Europejskiej”.

Prezes partii KORWiN podkreśla, że Konfederacja chce „opcji zerowej” w sądownictwie. „Trzeba zrobić nowe rozdanie i od nowa zrobić nabór sędziów”. Jak to przeprowadzić i jak uzyskać większość sejmową do takiej operacji – J.K.M. już nie wyjaśnia. W głosowaniu nad ustawą cała dziesiątka obecnych w Sejmie konfederatów wstrzymuje się od głosu (cały klub Konfederacji liczy 11 posłów).

WYRZUTY I PRETENSJE

W ciągu kolejnych paru dni polem wyrzutów i ripost między politykami PiS a Konfederacją stają się programy publicystyczne. W „Studiu Polska” poseł Przemysław Czarnek z PiS zwraca się do posła Konfederacji Artura Dziambora: „Mam wielki zawód. Przecież z jednej strony od mównicy sejmowej mówiliście o skandalicznych sytuacjach w wymiarze sprawie-



Spotkanie oplatkowe w Sejmie. Na zdjęciu marszałek Sejmu Elżbieta Witek (PiS) oraz posłowie Konfederacji – Artur Dziambor (w środku) i Grzegorz Braun
FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA/FORUM

Konfederacja



Piotr Semka

Jeśli PiS miał nadzieję na szorstką współpracę lub choćby okazyjne sojusze z Konfederacją, to już teraz jest jasne, że widoki na to są dość blade. Nowa parlamentarna siła po prawej stronie stawia sprawę jasno – w konflikcie PiS kontra PO nie bierzemy udziału. Konfederaci lubią za to snuć wizje przyszłego zwycięstwa. Czy trafnie czują koniunkturę, czy mogą się przeliczyć?

dliwości. A z drugiej strony nie poparliście ustawy, która ratuje praworządność [...]. Jesteście za, a nawet przeciw”.

Inny poseł Zjednoczonej Prawicy Jacek Ozdoba zwraca uwagę, że w przepisach, które zaproponował rząd, są rozwiązania

systemowe, a nie personalne. „Nie ma prawa sędzia w sądzie rejonowym w sprawie rozwodowej decydować o tym, kto jest sędzią. Togę sędziowską przekazuje prezydent RP i to on zamyka drogę, kto jest sędzią, a kto nie”.



totalna

Poseł Dziambor ripostuje, że Konfederacja jest za zmianami w sądach, ale przedstawiony projekt jest pełen wad. „A zgłosiliście własny projekt?” – pyta Ozdoba. Dziambor odbija piłkę dość słabo. „Mamy tylko 11 posłów. Do inicjatywy ustawodawczej trzeba 15 posłów”.

Podobne rozliczenie odbywa się w innym programie na antenie TVP Info. Tutaj PiS-owską ustawę niezwykle ostro krytykował konfederat Dobromir Sośnierz. „Reforma sądownictwa PiS to brudny plaster na ropiejącą ranę. Łatamy kolejne braki poprzednich reform, a dla Polaków nic się nie zmienia. Operetka, gdzie dwa chóry stoją na scenie [...] Jak sądy działały źle, tak działają źle. Jedni robią z siebie obrońców tej patologii, której się bronić przecież nie da, a PiS zamiast świętować po czterech latach sukces reformy wymiaru

sprawiedliwości, ma przeciwko KE ludzi na ulicach i rozdrapaną sprawę, w której nic nie postąpił do przodu. Jak można schrząnić taką sprawę?” – krytykował Dobromir Sośnierz. Ripostował mu poseł PiS Robert Telus: „Dlaczego (naprawa wymiaru sprawiedliwości) trwa tyle lat? Bo mamy posłów PO, którzy jeżdżą do Brukseli na skargę! [...] My tę reformę zrobimy”.

Przytoczone tu wymiany retorycznych ciosów to klasyczny przykład różnicy dwóch optyk. Inne jest spojrzenie dużego ugrupowania, które podejmuje wielką reformę i styka się z najprzeróżniejszymi oponentami od Brukseli do stowarzyszenia Iustitia, a inne ugrupowania mniejszego, które brak siły nadrabia radykalizmem i pryncypializmem.

Konfederacja nie uczestniczyła w próbie przeprowadzenia zmian w sądach, więc

bez trudu przychodzą jej oskarżenia w stylu: „Przez cztery lata nic nie zrobiliście”. Tyle że to nie konfederaci, ale PiS musiał zmagać się z oporem upolitycznionych prawników pewnych wsparcia Komisji Europejskiej, wykorzystujących niezdecydowanie Andrzeja Dudy z lipca 2017 r. Jednak koalicja narodowców i liberałów Janusza Korwina-Mikkego, odwracając się od prób zmian w sądach, zderzać się musi z niewygodnymi dla niej pytaniami: o to, jaka inna reforma jest realna w przewidywalnym czasie, oraz o stanięcie w jednym szeregu z partiami, które żadnych reform nie chcą.

Powtarza się syndrom znany z poprzedniej kadencji Sejmu. Wtedy też, mimo teoretycznej zbieżności haseł kompleksowej odnowy państwa, PiS i Kukiz'15 nie potrafiły się dogadać. A gdy Kukizowi zdarzało

■ się poprzeć PiS, tak jak np. w przypadku utworzenia Rady Mediów Narodowych, potem słynny muzyk wstydził się swojego poparcia.

W przypadku Konfederacji dochodzi jeszcze czynnik wewnętrznego podziału na narodowców i zwolenników Janusza Korwin-Mikkego. Dla pierwszych nadrzędne jest dobro wspólnoty narodowej, dla drugich – pryncypialna wolność jednostki. Na dodatek nieprzewidywalne wypowiedzi Korwin-Mikkego potrafią zniszczyć z dnia na dzień każdą taktykę.

Gdy Bosak i Winnicki, jak mogą, starają się osłabić wizerunek Konfederacji jako ugrupowania prorosyjskiego, Korwin-Mikke nie ma żadnych zahamowań, by potwierdzać te stereotypy. Co pewien czas zachęca do ułożenia się z państwem Putina na zasadzie jakichś specjalnych relacji. Ostatnio zdarzyło mu się to 3 października, gdy zaproponował, żeby Polska rozważyła sojusz z Rosją. Na dodatek Korwin-Mikke zaatakował stacjonowanie wojsk USA w Polsce, uznając je za złamanie obietnic udzielonych w 1996 r. Kremlowi na szczycie NATO – Rosja w Madrycie.

Gdy w listopadzie po wypowiedzi Włodzimierza Czarzastego o wyzwoleniu Polski przez Armię Czerwoną posłowie Konfederacji zaatakowali PiS za oddanie postkomunistom jednego z foteli wice-marszałków, J.K.M. szybko przebił balon tego antykomunizmu. „Mamy kilka spraw, w których jesteśmy [z PiS – przyp. P.S.] zgodni, natomiast w sprawach gospodarczych uważamy, że PiS jest partią komunistyczną i, szczerze mówiąc, wolimy rozmawiać z SLD”.

DEJÀ VU

Relacje Konfederacji z PiS przypominają początek lat 90., gdy obóz prawicy niepodległościowej z Janem Olszewskim i Jarosławem Kaczyńskim zetknął się w 1991 r. w Sejmie I kadencji z Konfederacją Polski Niepodległej pod wodzą Leszka Moczulskiego. KPN, choć zdobył wtedy tylko 7,5 proc., założył, że z czasem obejmie prymat wśród obozu antykrągłostołowego. Liczył na atrakcyjność swego prospołecznego programu i rozczarowanie elitami solidarnościowymi. KPN, choć w teorii powinien wspierać linię rządu Jana Olszewskiego, zarzucał mu brak radykalnych zmian i zwleknięcie z ustrojowym odcięciem się od PRL. Taki charakter miał mieć wniesiony przez KPN 31 stycznia 1992 r. pod obrady Sejmu projekt ustawy o restytucji

Ostrzeżeniem powinna być krótkowzroczność taktyki stania na uboczu i czekania, aż wszyscy inni osłabną. Bez silnego PiS konfederaci staną się bowiem wrogiem numer jeden obozu europejskiego

niepodległości, przewidujący rozliczenie z dziedzictwem komunistycznej przeszłości, w tym dekomunizację i lustrację. Rząd Olszewskiego chciał lustracji, ale nie poparł projektu konfederatów, uważając, że jest na niego za wcześnie. Urażony Moczulski odwrócił się plecami do Olszewskiego i dla odmiany zaczął flirt z ówczesnym prezydentem Lechem Wałęsą, który zaczął czynić ambitnemu Moczulskiemu nadzieje na premierostwo. Podczas nocy teczki lider KPN głównie z powodu znalezienia się jego nazwiska na liście Macierewicza z zapalą włączył się w obalenie rządu Olszewskiego.

Tyle że gdy już rząd „Olsza” obalono, KPN nie był już nikomu potrzebny. W 1993 r., gdy do władzy doszedł SLD, konfederaci zacierali ręce, głosząc, że po „solidaruchach” i „postkomuchach” społeczeństwo w końcu odda władzę im. Tak się nie stało. KPN powoli się marginalizował. W 1993 r. dostał się jeszcze do Sejmu, ale już ze słabszym wynikiem 5,77 proc. W 1996 r. Konfederacja Polski Niepodległej uległa rozłamowi, po którym straciła wszelkie wpływy.

Czy tak samo może stać się z Konfederacją? Na pewno ostrzeżeniem powinna być krótkowzroczność taktyki stania na uboczu i czekania, aż wszyscy inni osłabną. Bez silnego PiS konfederaci staną się bowiem wrogiem numer jeden obozu europejskiego.

Konfederaci liczą na to, że w najbliższych latach skorzystają na wzroście poparcia wśród młodych. Zakładają, że w ciągu paru lat Jarosław Kaczyński odejdzie z polityki z powodów zdrowotnych. Bez „naczelnika” PiS szybko się podzieli. Im silniejsza będzie w tym momencie Konfederacja, tym większą będzie miała szansę stać się rozgrywającym po prawej stronie.

Jednak może być inaczej. Konfederaci mogą utknąć na poziomie 7–8 proc., a po latach może czekać ich los niegdysiejszej Unii Polityki Realnej. Przyciągała ona do siebie w latach 80. i 90. młode roczniki,

ale te z czasem odchodziły znużone nieprzewidywalnością Janusza Korwin-Mikkego. Teraz Grzegorz Braun ze swoimi pomysłami na budowę Fortu Xi, czyli baz dla Chin zamiast dla Amerykanów, czy teoriami o budowie centrali izraelskiego wywiadu w okolicach przyszłego CPK już goni Korwin-Mikkego w konkursie na dziwactwa.

ZIMNA WOJNA POTRWA

Najbliższe miesiące aż do wyborów prezydenckich nie zładują stanu napięcia na linii Konfederacja – PiS. Tym bardziej że konfederaci mają swoje nadzieje na kampanię prezydencką, w której – jak się zdaje – reprezentować będzie ich Krzysztof Bosak. W styczniu, a najpóźniej w marcu 2020 r. sekretarz stanu USA ogłosić ma doroczny raport o prawach człowieka na świecie, którego częścią ma być informacja o losie polityckiego mienia w Polsce. To idealny temat dla konfederatów, a kłopotliwy dla PiS. I znów widać, jak różna jest optyka kogoś u władzy i kogoś, kto może ścigać się w radykalizmie. Konfederacja nie musi ścierać się z Waszyngtonem, więc nie ma kłopotów z wzywaniem do twardej linii wobec Izraela.

Ma to plusy i minusy. Taki styl chłoną młodzi wyborcy, ale starsi częściej widzą w nim rys niedojrzałości i braku wyobraźni.

W analizie „Wybory prezydenckie są do wygrania” (dla opozycji) dwaj analitycy lewicy – Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura – uznali za coś oczywistego, że Konfederacja nie wezwie w drugiej turze do poparcia Andrzeja Dudy. Bliski konfederatom Tomasz Sommer skomentował te tezy na Twitterze tak: „Założenie słuszne. No, chyba że Duda coś konkretnego zaproponuje. Bardzo konkretnego i w sensie personalnym. Za darmo umarło”.

Tyle że zasadę „za darmo umarło” może też przyjąć PiS. Jeśli obóz rządzący uzna, że prezydent wygra bez gestów wobec opozycji z prawa, to Konfederacja może zostać zignorowana. Sondaże pokazują, że aż 70 proc. wyborców Konfederacji jest przekonane o zwycięstwie Andrzeja Dudy. Pytanie, w jakim stopniu ten wynik przełoży się na pójście (lub nie) wyborców Janusza Korwin-Mikkego i Bosaka na wybory w drugiej turze i wsparcie Dudy. Od tego zależą szanse obecnego prezydenta.

Chyba że... drugiej tury nie będzie, bo Duda wygra w pierwszej. Ale to raczej zbyt różowa wizja.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Książka Tuska miała być chyba ulotką reklamową polityka. Jest jak teledysk Zenka Martyniuka

Nudy na białym koniu



Ten tekst zacznie się od dwóch coming outów (to po nowoczesnemu ujawnienie jakiejś wstydlivej sprawy). Coming out pierwszy: większość tego, co sam chciałbym napisać o książce Tuska „Szczerze”, napisał już lewicowy pisarz Ziemowit Szczerek na portalu Krytyki Politycznej. Nieczęsto mi się zdarza, żebym powoływał się na KryPolę, a jeśli już, to jako na przykład zepsucia i lewackiego zdżyczenia. Jednak tutaj warto, choć na koniec swojego tekstu Szczerek nie jest jednak w stanie wyjść poza głównonurtowy europejski schemat. Lecz cóż – taka lewicowa pańszczyzna. Przy okazji proszę o wybaczenie tych, którzy oczekiwali rzetelnego omówienia Tuskwych wynurzeń – tego, co Szczerek całkiem słusznie nazywa folderem reklamowym Tuska, nie da się potraktować całkiem poważnie.

Coming out drugi: nie przeczytałem książki Tuska w całości. Miałem już kiedyś do czynienia z ulotką wyborczą (czy też folderem reklamowym, bo Tusk akurat w żadnych wyborach teraz nie startuje), udającą książkę. I wtedy także zostałem brutalnie zmuszony do przeczytania czegoś niestrawnego przez swoją bezlitosną redakcję. To była książka „Nowy rozdział” Roberta Biedronia, o której następnie napisałem w „Do Rzeczy”. Jej również nie przeczytałem w całości, m.in. dlatego, że lektura kolejnych stron, na których autor obsesyjnie przy każdej możliwej okazji musiał obok męskiej formy rzeczownika lub przymiotnika postawić żeńską, była nieprawdopodobnie męcząca. Ale też, powiedzmy sobie szczerze, wiele nie straciłem.

Teraz jest podobnie. Lektura ponad 300 stron (tyle ma mój e-book) opowieści o tym, kto do Tuska zadzwonił, z kim się spotkał, komu podał rękę, gdzie biegał, od kogo dostał wino, z kim rozmawiał, na kogo się natknął na lotnisku – przekracza moje możliwości percepcyjne.

ANI INTELEKTUALNIE, ANI INTYMNIE

Tuskwy dziennik ma być bieżącym – choć podredagowanym, jak przyznaje sam Tusk we wstępie – zapisem pięciu lat na stanowisku szefa Rady Europejskiej, ale nie jest ani dziennikiem intelektualnym, ani intymnym. Dla porównania postawiłem go sobie – wiem, to druzgocący megaloman, ale trudno – obok dwóch

książek mojego ulubionego pisarza Witolda Gombrowicza, który w odcinkach w paryskiej „Kulturze” drukował swój „Dziennik” – dzieło wybitne absolutnie – zaś niedawno wydano jego intymne i całkowicie prywatne zapiski, zebrane pt. „Kronos”. „Szczerze” ma się do obu jak – że zacytuję klasyka, czyli samego siebie – Polonez do Porsche. Próżno szukać tam jakiegokolwiek głębszej refleksji nad czymkolwiek. Oto dla przykładu passus poświęcony marszowi, który przeszedł przez Paryż po zamachu na redakcję „Charlie Hebdo”: „Król Jordanii trzyma mocno za rękę swą piękną małżonkę Ranię, ale po chwili rozdziela ich tłum. Z daleka miga mi premier Ewa Kopacz. Patrę na nich wszystkich, na gęsty szpaler ludzi, którzy trzymają w rękach flagi francuskie, europejskie, państw całego świata. Wielu trzyma ołówki jako symbol wolności słowa, wśród ofiar byli też rysownicy »Charlie Hebdo«. Myślę sobie, że chociaż terroryzm nie da się całkiem pokonać, to nie można w żadnym wypadku ulec. W tej chwili wszyscy chcemy wierzyć, że nie przegramy tej wojny”. Proszę się wczytać w dwa ostatnie zdania. Stawiam, że Tusk ściągnął je z wypracowania szkolnego jakiegoś licealisty.

Nie jest to również oczywiście dziennik prawdziwie intymny, tak jak „Kronos”, gdzie Gombrowicz odnotowuje w lekko tylko zawałowanej formie, z jakim to przystojnym Argentyńczykiem się przespał albo ile zapłacił za nowe buty i że nie zostało mu na jedzenie. Nie znajdują tu państwo żadnych pieprzonych rewelacji ani plotek, ani naprawdę osobistych spostrzeżeń. Tuska życie wewnętrzne, gdyby je oceniać na podstawie „Szczerze”, przypomina to będące udziałem bohaterów podkolorowanychтеленowel.

Przed wszystkim zaś – nie bądzmy naiwni, to nie są robione na bieżąco notatki Tuska. Tego typu książki powstają zwykle w ten sam sposób: ekipa ghost writerów dostaje elektroniczny kalendarz polityka oraz ewentualnie jakieś jego uwagi czynione na gorąco, jeżeli takie są, po czym na tej podstawie, starając się jak najbardziej naśladować styl oficjalnego autora, tworzy rzekomy „dziennik”. Zakładam na swój prywatny użytek, że tak to wyglądało i w tym przypadku.

Jak najlepiej czytać „Szczerze” – jeśli już oczywiście ktoś koniecznie musi? Na pewno nie po kolei, bo... i tu sięgnę po

Szczerka: „Bo Tusk napisał swój pamiętnik tak, jakby starał się opowiedzieć kawał na zwale po jakimś ostro trzępiącym euforyku. Są to rzeczy potencjalnie fascynujące – przecież to kuchnia największej polityki świata – ale sam autor folderu reklamującego Donalda Tuska pt. »Szczerze« nie kwapi się do przedstawiania ich w inny sposób, niż używając rotującą kilku czasowników i rzeczowników typu »uśmiechnąłem się«, »porozmawiałem«, »wezwałem do dialogu«, »nic nie powiedziałem«, »polecałem samolotem«, »zostało mi kilka godzin, więc pobiegałem po parku, a potem poszedłem do galerii, gdzie wisiały niesamowicie piękne obrazy, które są zjawiskowe«”.

Według Szczerki najbardziej fascynującą przygodą Tuska, opisaną w książce, jest kupowanie butów do biegania i ja się z tym zgadzam. Uwaga, będzie spoiler – oto wspomniany fragment: „Wczoraj kupiłem nowe buty do biegania, cieszyłem się jak dziecko, chyba godzinę wybierałem odpowiedni rodzaj; sprzedawca, maratończyk, o bieganiu wiedział wszystko, oglądał moje stopy, pytał o wagę, wiek, dystans, jaki zazwyczaj pokonuję, i w końcu zdecydował: tel”.

PO NAZWISKACH

Wysoki poziom autentyzmu i dramatyzmu w Tuskowej opowieści o królowaniu w Europie zapowiada już pierwszy wpis. Oto Tusk z wiernym giermkim Grasiem (który w książce przewija się nieustannie) wchodzi do salonu VIP-ów na Okęciu, żeby odlecieć do Brukseli po raz pierwszy w nowej roli. A tam...

„Wielki VIP-owski salon jest jak zwykle prawie zupełnie pusty, tylko jeden fotel zajęty przez samotnego starszego pana. Podchodzimy bliżej i nie wierzymy własnym oczom: Lech Wałęsa we własnej osobie! Wracza właśnie z kolejnego zagranicznego wykładu. Ścisłamy się serdecznie, Wałęsa pyta, czy to już mój wylot do Brukseli. »Niech pan tam uważa, ja to się boję, że ta Unia to się chce podzielić, a Polaka wzięli, żeby było na kogo zwalić odpowiedzialność. I znowu będzie wina Tuska« – śmieje się serdecznie”.

Czy państwo to widzą? Tę symboliczną rozmowę Dwóch Wielkich Polaków? Doprawdy nie wiem, dlaczego nie usłyszeliśmy jeszcze od Wałęsy jego własnej wersji tej anegdoty: „I wtedy ja mu mówię: Donald, ty uważaj w tej Europie!”.

Jeśli zatem ktoś już faktycznie musi książkę Tuska przeczytać, to niech ją czyta po nazwiskach. Ale uwaga: umieszczony na końcu spis postaci pojawiających się w „Szczerze” może być mylący. Poza listą wielkich i wybitnych mężów stanu, którzy dostąpili zaszczytu podania ręki jeszcze wybitniejszemu Tuskowi, mamy też oczywiście polityków polskich: Ewa Kopacz, Jacek Kurski, Jarosław Kaczyński, Tomasz Arabski, Paweł Adamowicz, Jerzy Buzek, Beata Szydło i wielu, wielu innych. A kogo nie ma, jak państwo sądzą? Tak, dobrze państwo kombinują: próżno na tej liście szukać Grzegorza Schetyny. Jest Jacek Saryusz-Wolski, a zaraz potem Gerhard Schröder. Tak jakoś wyszło i na pewno nie jest to żadna zamierzona złośliwość.

Z tym że Schetyna jednak się w książce pojawia. 26 stycznia 2016 r.: „Schetyna zostaje przewodniczącym Platformy. Trochę wymusił rezygnację Ewy, wypłoszył potencjalnych konkurentów i dostał to wymarzone od dawna stanowisko. Jest bardzo inteligentny (choć nie błyskotliwy) i bardzo ambitny. Kocha i rozumie władzę, potrafi uwieść rozmówców szczerością, by następnego dnia ograć ich bezlitośnie. [...] Nasze relacje są trudne, nie jest łatwo zachować w polityce przyjaźń. Czy Grzegorz wyprowadzi Platformę na prostą? Bardzo mu tego życzę”.

Te życzenia są z pewnością równie szczere co cała książka. Schetyna występuje w niej sześć razy, z powyższym cytatem włącznie. Może to za mało, żeby znaleźć się w spisie postaci.

NIEZNOŚNA SCHEMATYCZNOŚĆ

Warto zerknąć, co były premier pisze o prezie PiS. Tu nie ma wątpliwości, co czytelnik ma myśleć, tak jak nie ma np. wątpliwości, że Obama jest tym dobrym, a Trump tym złym. Zresztą ta nieznośna schematyczność ocen Tuska po niedługim czasie nuży. Można by oczekiwać, że były premier, który we wstępie pisze wiele o wartości porozumienia i kompromisu, wyjdzie jednak poza najprostszy czarno-biały schemat – oni źli, my dobrzy. Ale nie. W prostej opowieści dla prostego ludu antypisowskiego nie o to chodzi.

W opowieści Tuska Kaczyński jawi się jako nawet nie Saruman, ale sam Sauron. Tak np. komentuje Tusk wystąpienie prezesa PiS w sprawie zagrożeń, które stwarzają imigranci: „Obawiam się, że dobrze wie, co mówi i co robi, po-

dobnych do niego amoralnych cyników pełno jest w europejskiej polityce. Ich żywiołem jest ludzki lęk”.

A tak Tusk pisze o Beacie Szydło: „Okazuje się dobrą uczennicą Kaczyńskiego, mistrza insynuacji i oskarżeń bez pokrycia. Obydwoje nie zdają sobie sprawy, że obwiniając oponentów o wszystko, co najgorsze, rujną elementarne zaufanie między ludźmi. A także obywateli do państwa”. Chciałoby się powiedzieć, zwłaszcza po lekturze „Szczerze”: i kto to mówi?

W grudniu 2016 r. Tusk zapisuje z troską przebieg swojej rozmowy z holenderskimi intelektualistami: „Mówię, że znając Kaczyńskiego, spodziewam się eskalacji napięcia. »Ten polityk najlepiej czuje się w warunkach konfliktu, zawsze szuka wroga, jak trzeba, to go wymyśla. Nie wiem, czy czytał Carla Schmitta, ale zachowuje się jak jego najlepszy student« – tłumaczę”. Z innych zapisków dowiadujemy się również m.in., że Kaczyński jest chorobliwie podejrzliwy, że „szczuje na siebie Polaków”. Pojawia się jednak iskierka nadziei, gdy Tusk wieszczy tonem niemal kaznodziejskim, komentując wynik ostatnich wyborów: „System Kaczyńskiego zawali się pod ciężarem zła, jakie wyprodukował. Ale minie jeszcze trochę czasu, »dopóki nie dopełni się miara nieprawości«, jak mówi pewien mądry pastor”.

Ale są też u Tuska bohaterowie pozytywni, którym dobrze z oczu patrzy. Tusk w nie spogląda i ufa. Ot, choćby taki Roman Giertych: „Głównym powodem zaangażowania Giertycha jest niechęć do Kaczyńskiego i jego metod. Miał czas, żeby mu się przyjrzeć z bliska, gdy był wicepremierem w jego rządzie. Od tego czasu uważa Kaczyńskiego za wielkie zagrożenie dla polskiej demokracji. Długo rozmawialiśmy o jego motywacjach i przemianie. Brzmiał autentycznie, kiedy mówił, jak dotarło do niego, że chrześcijaństwo jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem, nie wspominając już o antysemityzmie. Niektórzy powątpiewają w szczerość jego intencji, ale nawet oni przyznają, że zrobił więcej dla obnażenia prawdy o nadużyciach pisowskiej władzy niż opozycja”.

Nie będę wystawiał cierpliwości czytelników na dalsze próby. Tego typu przypowieści tworzą praktycznie całą książkę.

„Szczerze” to książka zwyczajnie nudna. Ani szczerza, ani odkrywca, ani

inspirująca, ani zajmująca. Czytając ją, ma się wrażenie, jakby się człowiek przekopywał przez podobne do siebie zapiski rozkładu dnia nieciekawego brukselskiego urzędnika z bardzo ograniczonymi zdolnościami intelektualnymi, a nawet z ograniczonym zasobem słów.

Politycy wydawali swoje pamiętniki czy dzienniki wielokrotnie. Dla zainteresowanych są one nie tylko kopalnią wiedzy, lecz także pozwalają przyjrzeć się temu, jakie znaczenie mają osobowości, indywidualne upodobania, sympatie i antypatie. Weźmy choćby „Moje lata na Downing Street” Margaret Thatcher, nie mówiąc już o pomnikowej – aczkolwiek mocno podkoloryzowanej – „Drugiej wojnie światowej” Winstona Churchilla, za którą przede wszystkim były premier w 1953 r. dostał Literacką Nagrodę Nobla.

W zestawieniu z tymi książkami „Szczerze” Tuska jest jak teledysk Zenka Martyniuka w porównaniu z „Czasem Apokalipsy” Coppoli. Tusk dokonuje swoistej samodegradacji umysłowej. Z inteligentnego, przenikliwego, jakkolwiek całkowicie cynicznego przecież polityka zmienia się w chłopaczka, który przyjechał do rodziny i opowiada jej, kogo to na saksach nie spotkał, z kim sobie ręki nie podawał, a poza tym, jaki ten PiS straszny.

Pytanie brzmi: Po co mu to jest? Odpowiedzi mogą być dwie, choć w zasadzie sprowadzają się do tego samego. Pierwsza, że Tusk potrzebuje ulotki reklamowej, przemawiającej do najprostszego ludu antypisowskiego, bo zamierza jednak coś w Polsce konstruować, choćby jedynie jako nieco wycofany patron. Druga – że taką formę doradził mu ktoś, kto miał wpływ na publikację i kto liczy, że taka jej postać Tuska spopularyzuje na nowo, a to w celu uczynienia z niego męża opatrnościowego opozycji. Plotki mówią, że początkowy plan byłego szefa Rady Europejskiej był inny. To nie miał być dziennik, ale dłuższy esej o Europie. Być może byłoby lepiej. Esey też by kupowano, ale nikt nie próbowałby go czytać, narażając się na stratę cennych godzin życia.

Książkę Tuska kupiłem za własne pieniądze. Początkowo chciałem na to nawet machnąć ręką – to w końcu tylko ok. 30 zł. Ale po lekturze, nawet wrywkowej, jednak nie – uprzejmie proszę redakcję, żeby mi to doliczyła do honorarium. Są jakieś granice.



Nowy-stary TVN?



Kamila Baranowska

Odejście z TVN Adama Pieczyńskiego, redaktora naczelnego TVN24 i „Faktów”, to koniec pewnej epoki. I początek zadawania pytań, czy za tą zmianą nie kryją się powody inne niż tylko te oficjalnie podawane



FOT. RAFAŁ GUT / FORUM

Newsy w TVN są miejscem, które współtworzyłem i kocham. Będzie mi ich brak, tak jak i współpracowników, których szanuję i podziwiam” – napisał w swoim oświadczeniu Adam Pieczyński, dodając, że z mediami żegna się po blisko 30 latach pracy na różnych stanowiskach. Swoją decyzję o odejściu uzasadnił tym, że „nadszedł moment, by oddać stery, wypocząć i poświęcić się rodzinie”.

Pieczyński przez blisko 20 lat odpowiadał w TVN i TVN24 za informacje. Był związany z Grupą TVN od 2000 r. Oprócz pełnienia funkcji redaktora naczelnego TVN24 był także członkiem zarządu TVN ds. programów informacyjnych. Wiosną 2015 r., po skandalu wokół Kamila Durczoka, zastąpił go na stanowisku szefa „Faktów”. Ostatnio pełnił funkcję wiceprezesa, odpowiedzialnego za wszystkie kanały oraz programy informacyjne. Prywatnie jest mężem prowadzącej „Fakty” Justyny Pochanke.

O jego rozstaniu z TVN mówiło się w środowisku medialnym już od pewnego czasu. Nawet jeśli po części prawdziwe są motywacje prywatne, to nie kończą one spekulacji i pytań o to, czy zmiana nie była podyktowana także innymi czynnikami, związanymi np. z kolejnym amerykańskim właścicielem.

AMERYKAŃSKIE PRZEJĘCIA

W 2015 r. Grupę TVN przejęli Amerykanie, najpierw ze Scripps Network Interactive, medialnej korporacji specjalizującej się głównie w programach lifestyle’owych, a w maju 2018 r. Scripps, a wraz z nim TVN został połączony przez Discovery Communications, giganta od programów dokumentalnych i edukacyjnych. Mimo że Scripps skupiało się głównie na programach typu home & garden, nie zdecydowało się na zamknięcie TVN24 (jedyne kanału informacyjnego w swoim całym międzynarodowym portfolio), choć spekulacji na ten temat było co niemiara. Stało się tak przede wszystkim z powodów biznesowych. Amerykanie po szczegółowej analizie polskiego rynku medialnego doszli do wniosku, że aby móc myśleć o sukcesie, nie mogą zacząć od uderzenia w wiarygodność stacji. A tym byłoby pozbycie się TVN24. Uznali więc, że niech kanał informacyjny robi swoje tak samo jak dotychczas, a sami skupili się na rozwijaniu dodatkowych kanałów tematycznych z dziedziny lifestyle. W TVN wszyscy odetchnęli z ulgą.

Po przejęciu Scripps przez Discovery znów pojawiły się te same obawy, czy Amerykanie w pewnym momencie nie uznają, że kanał informacyjny zamiast pomagać w biznesie, jednak przeszkadza. Zwłaszcza że jego polityczne zaangażowanie psuje relacje z polskim rządem, co może (choć nie musi) mieć znaczenie. Nastroje uspokoiło to, że kolejny amerykański właściciel postawił w zupełności na polską ekipę, zostawiając większość dotychczasowych menedżerów, z Adamem Pieczyńskim i Edwardem Mischczakiem, dyrektorem programowym TVN, na czele. Nowym prezesem został Piotr Korycki, dotychczasowy wiceprezes odpowiedzialny za sprawy finansowe, który zastąpił na tym stanowisku Jima Samplesa, związanego ze Scripps. Odejście Adama Pieczyńskiego to zatem pierwsza od dawna tak znacząca zmiana personalna w Grupie TVN. Przejściu na nowo rozbudzonych spekulacji miało służyć przesunięcie na stanowiska zajmowane dotąd przez Pieczyńskiego jego dotychczasowego, wieloletniego zastępcy Michała Samulę. Można to odebrać jako sygnał, że nie będzie rewolucji, lecz spokojna kontynuacja.

Argumentem za kontynuacją jest to, że TVN24 na rynku medialnym radzi sobie dobrze. Jak wynika z danych Nielsen Audience Measurement, opracowanych przez portal wirtualnemedial.pl, w pierwszym półroczu 2019 r. TVN24 było zdecydowanym liderem oglądalności wśród kanałów informacyjnych. Jego średni dobowy udział w tym okresie wyniósł 4,42 proc., drugie TVP Info zanotowało wynik 3,47 proc., i to pomimo dużo lepszej dostępności (TVP Info jest dostępne bezpłatnie w telewizji naziemnej, TVN24 tylko na kablówkach i na platformach satelitarnych). Co prawda, od kilku miesięcy to TVP Info zaczęło notować dwucyfrowe wzrosty oglądalności (względem analogicznego okresu sprzed roku), a w listopadzie TVN24 po raz pierwszy od dawna zanotowało spadek oglądalności (o blisko 7 punktów procentowych), ale w grupie komercyjnej (16–49 lat), kluczowej z punktu widzenia pozyskiwania reklamodawców, nadal stoi mocno na pozycji lidera.

Także „Fakty” TVN pozostają liderem oglądalności, choć podobnie jak TVN24 w ostatnich kilku miesiącach tracą widzów (porównując rok do roku).

PŁYTKIE MEDIUM

Za to, jak dziś funkcjonuje TVN24, za jego wszystkie mocne i słabe strony



Adam Pieczyński był związany z Grupą TVN od 2000 r. FOT. PIOTR MOŁECKI/EAST NEWS

■ w dużej mierze odpowiada właśnie Pieczyński. To on w 2001 r. stanął na czele nowo powstałej stacji informacyjnej, która wkrótce przemeblowała nie tylko sposób pozyskiwania przez widzów informacji, lecz także sposób uprawiania polityki w naszym kraju. Zanim na rynku pojawiło się TVN24, aby się czegoś dowiedzieć, trzeba było czekać do konkretnej godziny, gdy nadawano „Panoramę”, „Teleexpress” lub „Wiadomości” w TVP. Po 2001 r., by być na bieżąco, wystarczyło w dowolnym momencie włączyć TVN24.

– Jest taka teza, że dzięki TVN24 politycy zyskali trybunę, więc także telewizja publiczna zaczęła transmitować ich konferencje prasowe. Politycy na tym zyskali, ale takie było zapotrzebowanie społeczne. Emitowaliśmy te konferencje, bo ludzie chcieli oglądać pierwszą, drugą, dziesiątą – tłumaczył w 2008 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Adam Pieczyński. On sam szybko się zorientował, że ludzie chcą czegoś jeszcze – politycznych emocji. I TVN24 im je dał, zapraszając do studia najbardziej kontrowersyjnych i najgłośniej krzyczących polityków, którzy zapewniali dobry show i oglądalność.

– Zdecydowanie za często jest to bicie piany. Tylko ja nie jestem od tego, żeby polityków zmieniać. Dziennikarstwo to nie jest sztuka kształtowania świata, ale jego przedstawiania – mówił w „Wyborczej” Pieczyński. – Jeśli politycy w Polsce nie potrafią dyskutować na argumenty, tylko prowadzą dialog na poziomie karczm, to nie mój problem, tylko ich. Moim problemem byłoby, gdybym to pokazywał, a ludzie nie chcieliby tego oglądać – argumentował. Dodawał też, że oczywiście „marzy o pogłębionej debacie, którą by ludzie oglądali”. – To temat do rozmowy z kimś z telewizji publicznej. Bo nam na końcu dnia musi się opłacać – przyznawał na koniec.

Zresztą jego мнение o telewizji jako medium nigdy nie było zbyt wysokie. – Telewizja jest medium płytkim i to się nie zmieni. Schematyzm czy obrazkowość są w to medium wpisane. Jeśli tylko jest coś ciekawego, to o tym mówimy – mówił w cytowanym wywiadzie. – Ludzie deklarują, że chcą kultury, najlepiej wysokiej, a jej nie oglądają. Niech nikt nie wymaga, żebyśmy robili programy, których produkcja się nie

opłaca. To psi obowiązek telewizji publicznej – stwierdził.

Zarzutów pod adresem programów informacyjnych TVN i TVN24 na przestrzeni lat pojawiało się zresztą więcej. Jak choćby ten, że za bardzo gonią za sensacją, co niekiedy przybiera dość groteskowe formy – gdy np. na żółtym pasku TVN24 pojawiał się news o tym, że „Piłkarze zjedli śniadanie” albo „W stolicy już dwa dni nie pada”. Coraz bardziej sprofesjonalizowane studia i atrakcyjniejsza forma podawania informacji szły w parze ze zwrotem w kierunku infotainment. Były także pretensje, że stacja jest zbyt skoncentrowana na sprawach krajowych oraz – chyba najpoważniejszy – że jest stronnicza, bo wyraźnie sprzyja jednej stronie politycznego sporu, a konkretnie Platformie Obywatelskiej i kolejnym rządów Donalda Tuska. Do tego stopnia, że swego czasu internauci i politycy PiS twórczo rozwinęli skrót TVN jako Tusk Vision Network. – My nie manipulujemy. A przypinanie nam łatki propartyjnej, bo jesteśmy nazywani przez niektórych polityków Tusk Vision Network, jest po prostu niesprawiedliwe. My jesteśmy przywiązani do pewnych wartości, do wolności słowa, demokracji, wolnego rynku – tłumaczył się w jednym z wywiadów Adam Pieczyński.

ZAKŁADNICY LEMINGÓW

W pozbyciu się tej łatki stacji raczej nie pomogła wypowiedź reżysera Andrzeja Wajdy, który w maju 2015 r. jako członek komitetu honorowego Bronisława Komorowskiego, wówczas kandydata PO na prezydenta, publicznie mówił, że „mamy przyjaciół w TVN”. Podobnie jak nie pomogły słowa Edwarda Miszczaka, dyrektora programowego TVN, który opowiadając o powodach rozstania stacji z popularnym satyrykiem Szymonem Majewskim, przyznał w tygodniku „Wprost”, że „lemingi nie chcą, żeby się specjalnie śmiano z Platformy Obywatelskiej”.

I choć było to parę lat temu, to niewiele się przez ten czas zmieniło. A jeśli już – to na gorsze, bo nastroje społeczne i polityczne emocje mocno się radykalizowały, a wraz z nimi radykalizował się przekaz mediów. Dzisiaj TVN jest zakładnikiem rzeczywistości, którą latami karmił swoich widzów. Trudno byłoby to zmienić, o ile w ogóle ktokolwiek chciałby taką próbę podjąć. Na co się raczej nie zanoszą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Szokujące kulisy
katastrofy
w Czarnobylu!



Tomasz Stańczyk – **Jak AK zdobyła plany V-1 i V-2**
Władysław Bułhak – **Polski wywiad kontra III Rzesza**
Jacek Bartosiak – **Tannenberg 1914**
Piotr Zychowicz – **Strażnicy GUŁAG-u mówią**
Andrew Nagorski – **Dlaczego Hitler przegrał wojnę?**
Sławomir Koper – **Największa strzelanina II RP**
Marek Gałęzowski – **Pucz przeciwko Dowborowi**
Nikołaj Iwanow – **Obcięte uszy Stalina**
Leszek Lubicki – **Zbrodnie Konrada Mazowieckiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Siostry Jolanta, Elżbieta i Krystyna Szydłowskie wygrały pierwszą edycję programu TVP „The Voice Senior”

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

Starość to radość



Agnieszka Niewińska

Seniorzy śpiewają, szukają miłości, gotują z synowymi. W telewizjach przybywa programów z bohaterami w jesieni życia. To sposób stacji na zatrzymanie starzejącego się widza. Na razie skuteczny

Zamigotał świat, wszystko się odwróciło do góry nogami, ale to wspaniałe, cudowne uczucie – cieszyła się Jolanta Szydłowska, która na kanapie studia „Pytania na śniadanie” zasiadła z siostrami: Elżbietą i Krystyną. Siostry są dziś rozchwyty-

wane przez media, bo to one wygrały pierwszą edycję telewizyjnego talent show „The Voice Senior”.

Format nie jest nowy. TVP zadebiutowała z programem „The Voice of Poland” w 2011 r., ale w tym roku po raz pierwszy na ekranach pojawiła się edycja z seniorami. Uczestnikom zgłaszającym się do programu postawiono wymóg. Musieli mieć co najmniej 60 lat.

PRESLEY Z GŁÓWNA

Marzeniem mamy siostr Szydłowskich było, by razem śpiewały. Życie potoczyło się inaczej. Chociaż wszystkie mają estradowe doświadczenie – Jolanta występowała kiedyś z zespołem Primo Voto, z siostrą Elżbietą brała udział w festiwalach Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze czy Żołnierskiej w Kołobrzegu – to tylko Krystyna śpiewała zawodowo,

w operetce. Elżbieta była nauczycielką chemii, Jolanta prowadzi bar dla studentów Politechniki Łódzkiej. Do programu zgłosiły się za namową córek. Zgodnie przyznały, że żadna z nich tego nie chciała, ale młode pokolenie było nieustępliwe.

Wygląda jednak, że po pierwszych występach połknęły bakcyła. Dzisiaj deklarują, że na zmiany w życiu są gotowe. A na te nie trzeba było długo czekać. Zwycięzynie „The Voice Senior” od razu zostały zaproszone do występu podczas sylwestra TVP w Zakopanem. Można się spodziewać, że niebawem pojawi się też ich płyta. A program wyłansował nie tylko siostry Szydłowskie. Sympatię widzów zaskarbił sobie choćby Władek Jarecki, nazywany przez media Presleyem z Główna, czy Waldemar Wiśniewski, który już w latach 80', kiedy wielu Polaków pracowało na kontraktach w krajach arabskich, dostał od

jednego z zespołów propozycję wyjazdu na trasę koncertową do Iranu i Iraku...

Show z seniorami okazał się dużym sukcesem. Muzyczne zmagania uczestników 60+ przed telewizorami śledziło średnio 2,81 mln widzów. Najwięcej widzów – 3,16 mln – zasiadło do oglądania „The Voice Senior” 14 grudnia. TVP2 podczas emisji programu była liderem we wszystkich grupach wiekowych. Program oglądał się lepiej niż ostatnia emitowana edycja „The Voice of Poland”, która zgromadziła niespełna dwumilionową widownię (wszystkie dane według Nielsen Audience Measurement). Można się więc spodziewać, że TVP nie powiedziała ostatniego słowa i odkryje jeszcze niejednego seniorski talent.

– Program był lubiany przez seniorów, kibicowali oni jego uczestnikom, ale przecież nie oglądali go tylko seniorzy. Przed telewizorami zasiadali też młodszy widowie – zwraca uwagę Łukasz Salwarowski, prezes Stowarzyszenia MANKO, które m.in. wydaje ogólnopolski magazyn „Głos Seniora”. Dodaje, że programy z seniorami są szczerze, prawdziwe. – Seniorzy to ludzie, którzy – jak sami mówią – niczego już nie muszą, oni tylko mogą. Nie udają, nie grają, by osiągnąć sukces. Są pięknie autentyczni – podkreśla.

GOTOWANIE Z SYNOWĄ, DANCING W SANATORIUM

Programów z uczestnikami w jesieni życia przybywa. Przoduje w tym publiczny nadawca. Z początkiem stycznia na antenie zadebiutowała druga edycja „Sanatorium miłości”. To program, w którym 12 seniorów zostało zaproszonych do sanatorium w Ustroniu. Widzowie obserwują, jak się relaksują, bawią, podejmują wyzwania. Jedni nawiążą przyjaźnię, inni być może znajdą miłość.

Pierwsza edycja „Sanatorium miłości”, która była emitowana od stycznia do marca 2019 r., okazała się ramówkowym przebojem TVP. Losy seniorów śledziło średnio 3,5 mln widzów. TVP1 w paśmie emisji programu była liderem na rynku. Wiele wskazuje na to, że druga seria przyciągnie też będzie cieszyła się dużą popularnością. Niewykluczone, że sukcesy programów TVP z seniorami sprawią, że takich produkcji będzie więcej w komercyjnych stacjach. Płotkarskie portale donoszą, że rozważane są seniorskie edycje programów „Master Chef” czy „Top Model”.

Łukasz Salwarowski cieszy się z kolejnych telewizyjnych produkcji z udziałem

seniorów. – Nasze stowarzyszenie od ośmiu lat nie tylko edukuje i aktywizuje seniorów, lecz także działa na rzecz zmiany ich wizerunku. Staramy się pokazywać, że seniorzy nie są zgorzkniali i schorowani, ale w wieku dojrzałym mogą być osobami aktywnymi, potrzebnymi i wносяcymi bardzo wiele do społeczeństwa. Tacy są nasi ambasadorowie, jak np. 97-letni Dziarski Dziadek, czyli Antoni Huczyński, który w Internecie zachęca do aktywności fizycznej, czy 80-letnia DJ Wika prowadząca imprezy muzyczne – mówi.

I dodaje: – Telewizyjne produkcje z udziałem seniorów wpisują się w nasze działania. Już w tej chwili dostrzegam zmianę świadomości młodych osób, które zachęcają starszych do aktywności, cieszą się z ich sukcesów. To coraz częściej młodzi ludzie przychodzą do nas po nowy numer „Głosu Seniora” dla swoich rodziców czy dziadków, wyrabiają im Ogólnopolską Kartę Seniora upoważniającą do zniżek w całej Polsce, zachęcają do udziału w Ogólnopolskich Senioraliach czy w konkursie Stylowi Seniorzy, gdzie na pokazach mody, w paradach prezentują się elegancy i stylowi 60-, 70- czy 80-latkowie.

W ramówkach telewizyjnych nie brakuje programów, które można by uznać za takie, które łączą pokolenia. Tutaj seniorom towarzyszą młodsze generacje. „Teściowe i synowe. Kto tu rządzi?” to program TVP, w którym teściowe i synowe rywalizują ze sobą w kuchni. TVN z kolei w jesiennej ramówce zaproponował celebrycką wersję międzypokoleniowego spotkania na ekranie. „Starsza pani musi fiknąć” to program, w którym celebryci zabierają na ekstremalne wyprawy swoich rodziców.

W Polsce mamy 9,5 mln seniorów i będzie ich przybywać. To oni będą decydować, czy medialny produkt się sprzeda czy nie

Zawodniczka MMA Joanna Jędrzejczak ze swoją mamą wyruszyła do Meksyku. Na ekranie widzowie mogli oglądać np., jak wpada w panikę podczas szalonych ewolucji w łodzi-orcie. Wokalista Dawid Kwiatkowski mamę Agnieszkę „skazał” m.in. na lot parolotnią. Program TVN

realizował w RPA. – Ludzie, trzymajcie mnie, bo go zabiję – krzyczała po lądowaniu Kwiatkowska, próbując dorwać syna. Średnia oglądalność programu wyniosła niespełna 1,3 mln widzów. Największą popularnością cieszył się odcinek, w którym w roli starszej pani wystąpiła Magda Gessler (1,6 mln widzów).

SPOSÓB NA PRZETRWANIE?

– W zasadzie każdy telewizyjny format można byłoby pokazać w seniorskiej odsłonie. Do reality show „Wyspa miłości” można byłoby zaangażować szukające miłości osoby po 60. roku życia. Mógłby nawet powstać „Strongman” w wersji z paniami w wieku emerytalnym – mówi prof. Jacek Dąbała, medioznawca z KUL i UKSW. Zwraca jednak uwagę, że im więcej będzie takich programów, tym mniejszą popularnością będą się cieszyć. – Na razie odnoszą sukcesy, bo są czymś nowym na rynku medialnym. Wielu widzów śledzi je z ciekawości. Jednak przekonanie, że osoby starsze chcą nieustannie oglądać programy o starzeniu się czy z udziałem starszych osób, jest w mojej ocenie błędne. Nikt nie lubi starości, nawet do sanatorium jedzie się po to, by się trochę odmłodzić – ocenia medioznawca.

Dodaje jednak, że proponowane w tej chwili produkcje z seniorami to dla mediów sposób na przetrwanie. – Starzejemy się jako społeczeństwo, więc i wśród odbiorców jest coraz więcej osób starszych. A że dla mediów oglądalność jest warunkiem istnienia, to próbują zatrzymać przy sobie starzejącego się widza i stąd te produkcje z seniorami. Niedługo do potrzeb seniorów będzie musiała dostosować się nie tylko telewizja czy prasa, lecz także Internet. Korzystają przecież z niego coraz starsi użytkownicy. Ci, którzy w 1995 r., kiedy pojawił się u nas Internet, mieli po 40–45 lat, są już w wieku emerytalnym. Tyle że uwzględnianie potrzeb seniorów to nie rosnąca liczba programów o nich samych, ale np. większa czcionka w gazecie.

Łukasz Salwarowski przypomina, że już dziś 9,5 mln osób, czyli 24 proc. społeczeństwa, to seniorzy. – Osoby w wieku 60+ będą odgrywać coraz bardziej znaczącą rolę w gospodarce. To oni będą decydować o tym, czy usługa gastronomiczna, turystyczna czy nowy medialny produkt się sprzedadzą czy nie. Czas, żeby wszyscy to sobie uświadomili.

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Odwiedził pan stare kąty w związku z przygotowaniem do druku nowej książki?

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY: I tak, i nie. Staram się rokrocznie bywać w Warszawie, moim mieście rodzinnym. Wiążą mnie z nim liczne wspomnienia, mam tu wielu przyjaciół. Jednak ufam, że w przyszłym roku opublikuję „Moją aleję zasłużonych”.

Co kryje ów tytuł?

To proza wspomnieniowa. Zaczyna się w prima aprilis, 1 kwietnia roku 1960. Właśnie wtedy zostałem współpracownikiem redakcji literackiej Polskiego Radia mieszczącej się w rozgłośni przy ulicy Myśliwieckiej, gdzie dzieliłem pokój z poznanym tam Włodzimierzem Odojewskim. Zaczynam do mojej najnowszej książki stała się owa znajomość. Dagmara Nowakowska, opiekunka archiwum autora „Zasypie wszystko, zawieje” znajdującego się przy Uniwersytecie Poznańskim, poprosiła mnie, bym podzielił się swoim wspomnieniem o tym pisarzu. I w trakcie pisania z zakamarków pamięci wypłynęli inni redakcyjni koledzy radiowi: Janusz Krasiński, Jerzy Krzysztoń, Władysław Lech Terlecki, Ireneusz Iredyński, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś, jak również cenieni reporterzy: Jerzy Janicki, Witold Zadrowski, Andrzej Mularczyk. Ich wizerunki także zawarłem w przygotowywanym tomie.

To nie tylko radiowcy, lecz także – a może przede wszystkim – tuż naszej literatury współczesnej.

Na ogół poznani w Teatrze Polskiego Radia kierowanym przez Janusza Warneckiego, przedwojennego reżysera i aktora, niesłychanie przestrzegającego hierarchii radiowej. Na jej wierzchołku stał reżyser, niżej plasowali się jego asystenci oraz realizator dźwięku. Reżyser musiał legitymować się wykształceniem teatralnym. Taka była zasada Warneckiego, pośród którego asystentów znajdowali się późniejsi wybitni radiowcy: Juliusz Owidzki, Edward Płaczek, Wiesław Opałek. Przyczyniłem się do zmiany tej metodyki, powierzając reżyserię radiową Jerzemu Markuszewskiemu. W radiowym teatryku miniatur Zwierciadło wystawił składankę Studenckiego Teatru Satyryków, m.in. z moimi piosenkami.

À propos. Dlaczego przestał je pan pisać?

Wiąże się to z moim wyjściem z STS w roku 1969. Skoncentrowałem się



Z Jarosławem Abramowem-Newerlym, pisarzem, dramaturgiem rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

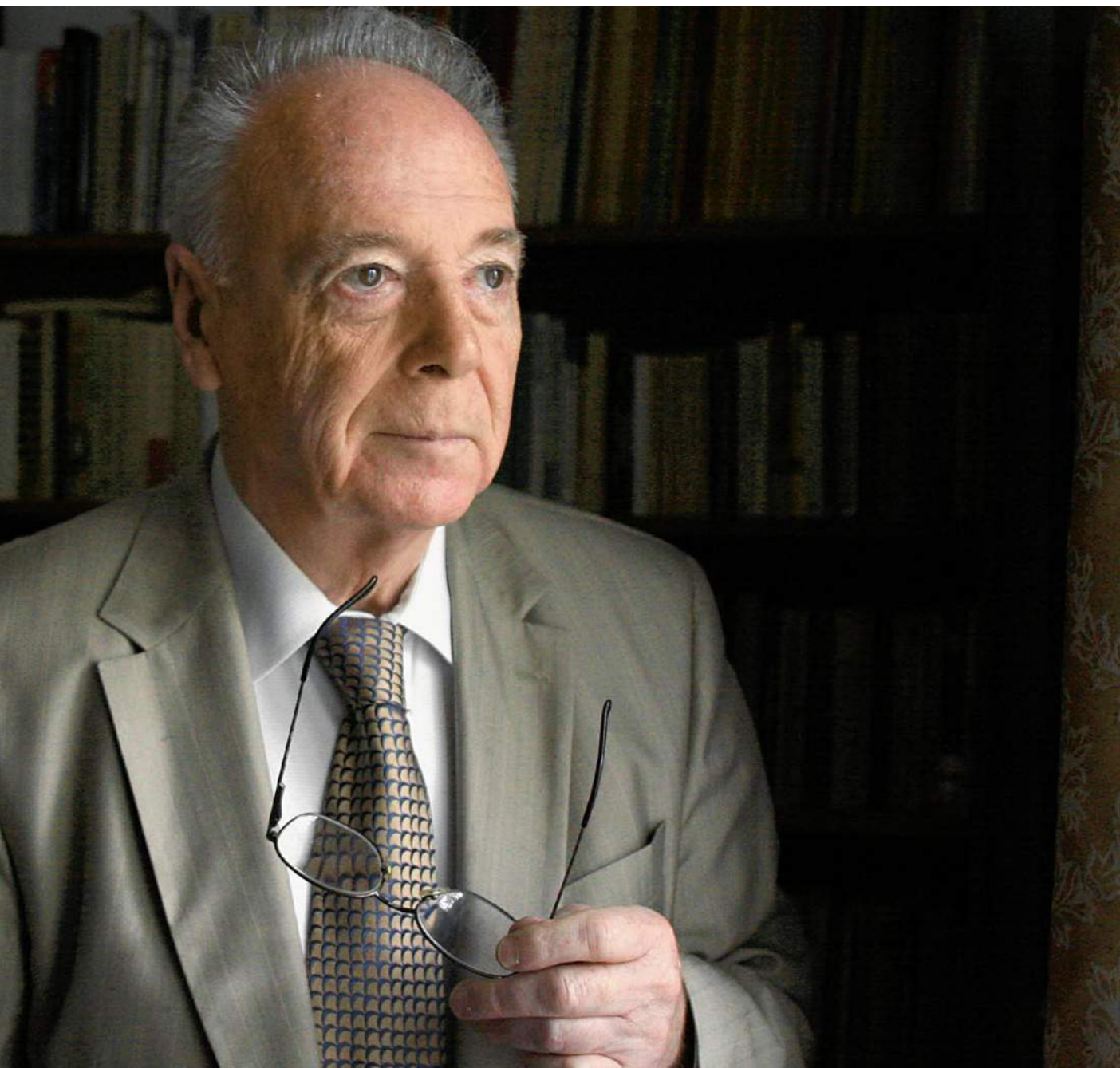
Znałem wszystkich!

FOT. KRZYSZTOF ŻULCZONSKI/EPURUM

wówczas na twórczości dramaturgicznej i straciłem kontakt z kompozytorami: Markiem Lusztigiem, Edwardem Pałłaszem, Adamem Sławińskim, Maciejem Małeckim. Wprawdzie zdarzało mi się komponować, ale aranżować nie potrafię – jestem muzycznym samoukiem. Do piosenek powróciłem po ośmiu latach, gdy Alina Janowska zaprosiła mnie do grona kilku tekściarzy mających stworzyć repertuar jej recitalu prezentowanego w nowo oddanym do użytku hotelu Victoria. Wykorzystałem swą melodię ze spektaklu Bułata Okudźawy wystawionego

w Teatrze Rozmaitości. Sztuka traktowała o carskiej Rosji, toteż napisałem nowe słowa, „Leon mieszkał na Sadybie”, które wykonawczynie się spodobały. Tu wtrącę, że za mych radiowych pierwocin o emisji piosenek na antenie decydowała specjalna komisja. Od strony muzycznej kierował nią Władysław Szpilman, ówczesny szef redakcji muzyki rozrywkowej Polskiego Radia, a od literackiej głos decydujący mieli poeci: Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Ficowski, Kazimierz Winkler i inni.

Szpilman przegrywał melodię na fortepianie, oceniając, czy jest napisana



profesjonalnie, czy też wyszła spod ręki – jak określał – „kompozytora gwizdanego”. Twórcy z niepokojem czekali na werdykt owego gremium.

Na szczęście moje piosenki wykorzystane w *Zwierciadle* nie podlegały jej ocenie. Niebawem w STS miała miejsce premiera „Oskarżonych”, głośnego w owym czasie – rok 1961 – przedstawienia z Janowską i Wojciechem Siemionem w rolach wiodących. Przybył na nią także Szpilman i pogratulował mi muzyki do spektaklu. „Panie Władysławie, ale ja należę do kompozytorów

gwizdanych” – wyjaśniłem. „Nic nie szkodzi, zdarzają się wyjątki” – odparł.

Dzięki panu w piosenkarstwie zaistniał Tadeusz Łomnicki

Bardzo mnie lubił. Chciałem napisać dla niego jakąś sztukę, ale jakoś nie wyszło. W 1984 r. – kilka miesięcy przed moją przeprowadzką do Kanady – powstał wedle mego scenariusza film pt. „Miłość z listy przebojów”. Umawiając się z aktorem w kawiarni Wilanowska, czułem się zażenowany, że mam mu do zaoferowania zaledwie epizod. Nasz

dialog wyglądał mniej więcej tak:

– Panie Tadeuszu zdaję sobie sprawę, że popełniam nietakt, proponując tak wielkiemu aktorowi zaśpiewanie „Piosenki o okularnikach”, ale razem z reżyserem filmu Markiem Nowickim uznaliśmy, że tylko pan potrafi wydobyć z niej głębię.

– Ależ to żaden nietakt. Bardzo lubię „Okularników” i chętnie tę piosenkę zaśpiewam – odparł. – A wie pan dla czego?

– Nie.

– Holoubek się wścieknie!

■ Czy talent literacki odziedziczył pan po tacie, Igorze Nowerlym – autorze m.in. powieści „Zostało z uczyty bogów” oraz „Wzgórze błękitnego snu” – przynależnych do kanonu polskiego piśmiennictwa?

Nie jestem genetykiem. Ale kto wie? Skądinąd ojciec opóźnił mój debiut pisarski. W 1951 r., jako maturzysta in spe, miałem możliwość opublikowania – w bibliotecznym ZMP – sztuki, wystawionej na zamkniętym pokazie dla ciała pedagogicznego oraz dzielnicowego aktywu młodzieżowego Żoliborza w macierzystym liceum im. Bolesława Limanowskiego. Utwór w stylu socrealistycznym zawierał elementy tak wtedy modnej krytyki konstruktywnej. Po lekturze ojciec ostudził mój zapał i nakłonił mnie, bym schował maszynopis do szuflady. Na szczęście posłuchałem jego rady. I nie żałuję.

Daje się jednak wyczuć, że niekiedy żałuje pan porzucenia krótkich form, pisania piosenek czy tekstów do kabaretu.

To się wzięło z mojej decyzji wyjścia z STS w roku 1969. Konwencją składankową czułem się znużony, miałem wrażenie, że się nie rozwijam, a publiczność przyjmuje moje teksty mniej gorąco niż w latach 50. Starsi koledzy doradzili: pisz do teatru. Moze pospieszyłem się z decyzją.

Jako dramaturg nie miał pan wcale łatwego życia. Chodzi o kłopoty z cenzurą.

Ja z cenzorami rozmawiałem i zawsze coś się uratowało. Nie bardzo lubiano mnie za to w redakcji „Dialogu”, dzwonił bowiem do mnie Konstanty Puzyna i oznajmiał: „Pańska sztuka wstrzymana”. I pytał, czy będę rozmawiał z urzędem. Ja, że owszem, i przez to wstrzymałem im druk numeru. Później było już z górki... Pamiętam, jak w 1988 r. poszedłem na Mysią w sprawie druku książki ojca „Leśne morze”. Ojciec zdążył zawrzeć z wydawnictwem KAW umowę, że wydrukują mu ją wraz z dwoma rozdziałami, które nie mogły się ukazać w latach 60., i że nie zmienią w tekście żadnego zdania. Tymczasem zaprzyjaźniona redaktorka poinformowała mnie, że jednak w pewnym miejscu komunizm porównywany z faszyzmem zastąpiono stalinizmem. Cenzor powitał mnie jak rodzzonego brata, potraktował kawą i powiedział, że jeszcze parę miesięcy temu byłby problem, ale teraz – orzekł – zmiany wręcz galopują, zatem podpisuje zgodę i nie ma sprawy. Następnie opowiedział mi, że czyta właśnie świetną



Jerzy Jurandot, Jarosław Abramow i Jarosław Iwaszkiewicz, warszawska siedziba ZLP, marzec 1963 r.

FOT. DANUTA ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

powieść, którą zamierza rekomendować Czytelnikowi do wydania, jako że jest nie tylko cenzorem, lecz także doradcą tej oficyny. Chodziło o „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Jak mało kto był pan dobrze zorientowany w relacjach między władzą a środowiskiem literackim. Wprowadził pana w te kwestie ojciec, ale i pan zdążył zapisać swoją kartę w historii Związku Literatów Polskich.

W 1978 r. zostałem wiceprezesem Oddziału Warszawskiego Zarządu ZLP i byłem nim do roku 1980. Funkcję prezeski piastowała Wanda Żółkiewska, świadek Polski Ludowej, bo ona uczestniczyła jeszcze w tym sławnym zebraniu przy Twardej, kiedy to powstała Krajowa Rada Narodowa...

... co opisał w sztuce propagandowej „Dom na Twardej” Kazimierz Korcelli...

Tak właśnie. Była to bardzo porządna komunistka, zresztą takich osób niejednoznacznych wcale w PRL nie brakowało. A nas, wiceprezesów, miała czterech: oprócz mnie Józefa Hena, Aleksandra Małachowskiego i Włodzimierza Sokorskiego. Temu ostatniemu tak bardzo zależało na tym wiceprezesostwie, jakby miał zostać wicepremierem. Potem jednak całkiem nieźle się z nim współpracowało. Przypomina mi się od razu tamta Komisja Rewizyjna ze Zdzisławem Najderem jako jej przewodniczącym. Na ogół nie zabierał głosu, milczał, w naszych dyskusjach nie brał udziału; to Małachowski gardłował przeciw

komunie, ale Najder – a skąd! Przeżyłem potem szok na wieść, że został dyrektorem Radia Wolna Europa.

To był pan ważną personą w ZLP w trakcie zjazdu tej organizacji w Katowicach, gdzie przeczołgano Andrzeja Brauna za to, że upomniał się o prawdę o Katyniu.

Przyjechał wtedy minister kultury Jan Mietkowski w charakterze mediatora. To też była ciekawa postać. Poznałem go w Polskim Radiu jako zastępcę redaktora naczelnego działu literackiego, następnie został dyrektorem nowo utworzonego Programu III, a do rządu Piotra Jaroszewicza trafił jako zaraz przed tym fatalnym Zjazdem ZLP, po którym zaraz umarł. A do PRL przyleciał, dosłownie, z Wilna w roku 1944. Samolot wysłany został po rodziców Ziemowita Feddeckiego, którzy byli zasłużeni, bo pomagali w czasie wojny komunistom. A Mietkowski był w AK i w najlepszym razie groziła mu zsyłka. Ziemek go zabrał na pokład samolotu lecącego do Lublina, a tam zaprowadził do radia i powiedział, że będzie tu pracował. No i ten tam wsiąknął.

Feddecki kojarzy się od razu z Mazurami, z którymi i pan był związany.

Mogę powiedzieć, że ja odkryłem dla swych kolegów – pisarzy i artystów Zgon i Krutynię, a Ziemek Krzyże oraz Pranie. Dzisiaj i tam, i w innych niedalekich miejscach mają swoje domy nie tyle może już oni, ile ich dzieci i wnuki, a ja w końcu swojego domu tam się nie doczekałem, choć działkę miałem jako jeden z pierw-

Jarosław Abramow-Newerly i Agnieszka Osiecka w reżyserce studia Polskiego Radia, 1965 r. FOT. ERAZM OIOLEK/PAP



szych. Kupił mi ją w latach 60. ojciec – za 400 zł. Moja pierwsza żona nie przepadała jednak za towarzystwem z STS i niebawem odstąpiłem działkę Jurkowi Sicie, który pobudował tam dom... w góralskim stylu. Jednak jeździłem do niego i na pewno nie zapomnę króla Mazur – Karola Małłka, który uwielbiał konwersować z młodymi i śpiewać z nimi pieśni i piosenki. A także leśniczego Stanisława Popowskiego, i wielu, wielu innych ludzi poznanych jeszcze dzięki ojcu.

Działal pan też w ZAiKS...

Wciągnął nas tam – mnie i Andrzeja Jareckiego – Jerzy Jurandot. Na zawodowej scenie, w teatrze Syrena, wystawił naszą operetkę o studentkach podlegających nakazowi pracy, który nie pozwala im zostać w Warszawie i tutaj wyjść za mąż. Pamiętam, że poprosił nas do siebie i zaoferował rekomendację do ZAiKS, mówiąc: – Ja też przed wojną skończyłem porządne studia, chemiczne, na Politechnice Warszawskiej, a żyję z piosenek. Jak panowie się postarają, to też będą mieli pogodną starość.

Kto był wtedy prezesem Związku Artystów i Kompozytorów, bo jeszcze nie Karol Małcużyński...

... oczywiście, że nie. Najważniejszym tam był wówczas Stanisław Ryszard Dobrowolski!

Jego ówczesna żona, Helena Kołaczowska, napisała tekst socrealistycznego szlagiera „Na prawo most, na lewo most”.

Miał piękny życiorys. Z jednej strony bowiem napisał „Głupią sprawę” i fatalnie zachował się w 1976 r., z drugiej jednak strony to on przecież napisał „Szturmówkę” i „Warszawskie dzieci”, nieśmiertelną piosenkę powstania warszawskiego.

Był porucznikiem Armii Krajowej o pseudonimie Goliard.

W końcu dekady Gierka, w 1979 r., 17 stycznia zapakowano nas – pisarzy – do autokaru, by władze mogły się pochwalić tym, co zdziały w Warszawie. Zawieziono nas do nowego wówczas Instytutu Onkologii, po którym oprowadzał nas prof. Tadeusz Koszarowski. Dobrowolski pyta się mnie: – Kto to? Odpowiedziałem, on na to: – Nie znam. Potem o kogoś następnego i znów: – Nie znam. I jeszcze o kogoś i znów: – Nie znam. W końcu westchnął: – Panie Jarku, trzeba się spieszyć, bo niedługo nie będzie komu odprowadzić mnie na cmentarz.

Nie brakowało panu w Kanadzie polskich spraw?

One i tam człowieka dopadną. Gdy w Toronto miałem spotkanie z czytelnikami po publikacji „Lwów mojego podwórka”, podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – Proszę pana, to ja jestem tą dziewczynką, której losy opowiedział pan w książce. A chodziło o żydowskie dziecko przyprowadzone podczas okupacji przez matkę do rodziny kolegi mojego ojca, stolarza Jana Kosińskiego. Przez cztery lata wycho-

wywała dziewczynkę jak córkę, a wtedy pojawiła się matka, która szczęśliwie przeżyła ten czas i zabrała dziecko. Jakaż to była rozpacz: i przybranych rodziców, i wychowawców... Jak dotarła do Kanady – nie wiem. Przyszła jednak na mój wieczór autorski.

Pańska żona pracowała w Kanadzie w swoim wyuczonym zawodzie wirusologa, pan też zarabiał piórem, redagując „Związkowca”, pisząc książki o życiu za wielką wodą i felietony obrazujące codzienność Polonusów pt. „Pan Zdych w Kanadzie”, próbując też swoich sił jako scenarzysta.

Niespecjalnie się na tym dorobiłem. Moimi „Aliantami” zainteresowali się w pewnej chwili filmowcy, ale – jak to często bywa – zabrakło środków finansowych i przedsięwzięcie nie wypaliło. Innym razem Tadeusz Jaworski, reżyser, który wyjechał z Polski po 1968 r...

... znany dokumentalista...

... zaproponował mi pracę ze swoim studentem, ponoć bardzo prymitywnym, ale zdolnym, który napisał scenariusz o strażakach, i Jaworski mógłby się zająć realizacją takiego filmu, z tym że po zasadniczych zmianach, które trzeba wymusić na tym młodym człowieku. „Ty go będziesz uczył dramaturgii – powiedział – a on ci za to zapłaci”. Kiedy doszło do płacenia, to okazało się, że nasz adept scenariopisarstwa nie ma pieniędzy, ale rzeczywiście, zdolny to on był. O Hollywood, reżyserach i aktorach wiedział wszystko, tyle że np. gdy mówiłem o Beethovenie, to pytał się, kto to. Jaworski wziął tę nową wersję scenariusza, ale nie znalazł producenta, natomiast zadzwonił po latach, że ten nasz uczeń doprowadził do postania filmu o strażakach w swojej początkowej wersji, a na dodatek sam został komentantem straży pożarnej w Toronto. I takie to mam znajomości!

Panie Jarosławie, a czy był ktoś, kogo pan nie znał?

W zasadzie znałem wszystkich. Jak się długo żyje, to się tak ma.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jarosław Abramow-Newerly (1933) – pisarz („Lwy mego podwórka”, „Lwy wyzwalone”, „Nawiała nam burzę”, „Młyn w piekarni”, „Granica sokoła”), dramaturg („Derby w pałacu”, „Anioł na dworcu”, „Maestro”, „Klik-klak”), twórca takich piosenek jak „Bogdan, trzymaj się!” czy „Mówiłam żartem”, kompozytor „Okularników”. Pierwsze pół wieku życia spędził w Warszawie. Od 1985 r. mieszka w Toronto.

Na autorskich spotkaniach w latach 90., kiedy Sapkowski był już gwiazdą w Polsce, ale nikt jeszcze nie wiedział, dokąd zmierza saga o wiedźminie, autor „Krwi elfów” opowiadał, jak bardzo denerwują go niektóre krytyki. Na przykład zdania typu: „No, ale Tolkien to to nie jest!”. „To nie jest Tolkien, bo to nigdy nie miał być Tolkien!” – grzmiał Sapkowski znany – oprócz z talentu – z braku cierpliwości, zamieniającego się często w arogancję.

Przypomniły mi się te Sapkowe jere-miady – słuszne, bo powinniśmy pisarzy oceniać za książki, które napisali, a nie za to, że nie napisali książek wymyślonych przez innych – gdy przeglądałem recenzje serialu „Wiedźmin” („The Witcher”, 2019) w zagranicznych mediach. Jedni zrozumieli, inni nie zrozumieli, jeszcze inni zrozumieli tylko trochę, ale łączyło ich wszystkich wplatanie w teksty odzywki, że „no, druga »Gra o tron« to to nie jest”.

DOBRY CZAS POLSKIEJ POPKULTURY

I wtedy szeroki uśmiech pojawiał się na mojej twarzy. Każde liczące się medium na świecie odnotowało tę premierę. Kiedy serial powstawał, spekulacjom nie było końca – kto powinien zagrać Geralta, które historie o wiedźminie zekranizować najpierw, ile będzie odcinków, czy to, co ujrzymy na ekranie, powinno bardziej przypominać to, co pamiętamy z książek, czy to, co widzieliśmy w grach komputerowych. Ech, gdybyśmy wszyscy mieli tylko takie kłopoty! Dzisiaj, kiedy wszyscy wiedzą, jak wielkim fenomenem popkulturowym stała się telewizyjna „Gra o tron”, mało kto pamięta, że kiedy HBO szykowało pierwsze odcinki, sceptycy przeważali nad entuzjastami. A aktywność fanów powieściowej sagi o Westeros w Internecie była dużo mniejsza niż dziś przy okazji premiery „Wiedźmina”. Z oczywistego powodu – jedynie czytelnicy George’a R.R. Martina wiedzieli, o co chodzi, dla wszystkich innych był to tylko jeden z wielu nowych seriali. Geralta zaś znają także setki milionów ludzi z całego świata, którzy nie sięgnęli nigdy po książki Sapkowskiego. Ten rozgłos przyniosły postaci białowłosego rębajły gry komputerowe.

I nastąpiła wielka kumulacja. Jak podaje magazyn „Forbes”, powołując się na niezależną firmę Parrot Analytics analizującą rynek video-on-demand, „Wiedźmin”



Piotr Gociek

Pierwszy sezon serialu Netflixa według prozy Andrzeja Sapkowskiego nie jest wolny od wad. Jednak ma przed sobą świetlaną przyszłość

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

okazał się w USA trzecią co do popularności premierą, ustępując jedynie serialom „Stranger Things” i „Mandalorian” (ten ostatni to seria z uniwersum „Gwiezdnych wojen” w serwisie Disney+). Netflix zresztą spodziewał się takiego sukcesu i już wcześniej ogłosił, że powstanie sezon drugi. Spodziewam się, że będą i kolejne. To wspaniałe dni dla Andrzeja Sapkowskiego, którego książki wbijają się na szczyty bestsellerów, ale nie Empiku, tylko Amazona, wspaniałe dni dla całej polskiej popkultury. Jest się z czego cieszyć, więc mój uśmiech staje się jeszcze szerszy.

Czy jednak „Wiedźmin” to serial dobry? W końcu wiemy, że rekordy oglądalności w Netflixie bije sitcom „Fuller House”, stanowiący kontynuację znanego i u nas serialu „Pełna chata”. A jest to,

zapewniam was, coś, czego nie chcielibyście dotknąć nawet, gdyby za każdy obejrany odcinek dorzucano gotówkę. Wiemy, że Apple+ dumnie jest z koszmarniej fantazji post-apo „See” i zamówiło jej drugi sezon, że całkiem sporo ludzi obejrzało słabiutki „Kroniki Shannary” na podstawie cyklu fantasy Terry’ego Brooksa, że przerażająco słaby (rzadko używam słowa „żenujący”, ale tu pasuje) serial fantasy „The Outpost” został już wydłużony do trzech serii.

Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. „Wiedźmin” to produkcja udana, choć nie wolna od wad. I przede wszystkim produkcja z najwyższej półki serialowej rozrywki, w odróżnieniu od banialuków, które wymieniałem w poprzednim akapicie. Henry Cavill sprawdza się jako Geralt, choć z początku trudno przywyknąć do maniery, z jaką mówi (obniżony, powolny głos, po którym w każdej chwili spodziewamy się, że następne zdanie

Wiedźmin wraca do domu

będzie brzmieć: „I’m Batman”, i pochrząkiwania w stylu Toma Hardy’ego). Reszta obsady też daje radę: Freya Allan jako Ciri, Anya Chalotra jako Yennefer, Lars Mikkelsen jako Stregobor, świetną kreację tworzy Jodhi May jako królowa Calanthe. W pamięć zapada Emma Appleton jako Renfri. Kostiumy, choreografia, pejzaże, efekty specjalne – wszystko to pokazuje, że Netflix potraktował „Wiedźmin” bardzo poważnie.

POSZUKIWANIE WŁAŚCIWEGO TONU

Są też błędy, na szczęście nierażące. Za często opowieść jest statyczna, pojawiają się kłopoty ze spójnością świata przedstawionego. W scenie otwierającej pierwszy odcinek, gdy Geralt walczy z kimorą, jedzie do Blaviken, a potem, gdy rozprawia się z rzezimieszkami, czujemy się jak w grze komputerowej. Bitwa sił Cintry z najeźdźcami z Nilfgaardu rozgry-

wa się w scenerii wypreparowanej z rzeczywistości i jej to szkodzi. Można się też zastanawiać nad tym, czy w przypadku niektórych wnętrz naprawdę wszystko musiało być „larger than life”, poczynając od gigantycznych zamkowych komnat, a kończąc na zadziwiająco obszernych namiotach. I nic nie szkodzi serialowi bardziej od tych momentów (na szczęście nielicznych), w których aktorzy zamiast grać, przechadzają się dostojnie po ekranie, wygłaszając napuszone frazy o przeznaczeniu niby ekipa z włoskiej opery. A przecież urok pisania Sapkowskiego tkwił i w tym, że była to antybajka, opowieść łotrzykowska, że nawet czarodzieje i królowie byli u niego postaciami na wskroś ludzkimi, bo połamany i pełnymi

wad, wszyscy zaś mówili językiem nieco plugawym.

Sami twórcy chyba szukali w pierwszym sezonie właściwego tonu, właściwego tropu. Czasem im to wychodziło (świetne sceny ze strzygą, bardzo dobry odcinek o łowach na smoka), czasem nie (sceny zamkowe w pierwszym odcinku).

Zła wiadomość jest taka, że dla części widzów próg wejścia w całą historię został ustawiony zbyt wysoko. Nie sądzę, by stało się tak celowo, raczej scenarzyści serialu mieli kłopot z tym, jak za jednym zamachem zawiązać najważniejsze dla wiedźmińskiej sagi wątki. Ich porażka w tej kwestii jest tym bardziej widoczna, że mieliśmy niedawno w HBO serial dalece bardziej skomplikowany – „Watchmen” – którego twórcom udało się płynnie przeskakiwać od wątku do wątku i zmieniać chronologię wydarzeń, cofać się o sto, o trzydzieści albo o kilka lat. Nigdy nie gubiąc uwagi widza, a dodatkowo jeszcze zamieniając słabość w siłę, bo ten pozorny chaos służył budowaniu większego napięcia i konstruowaniu kolejnych zwrotów akcji.

W pierwszym sezonie „Wiedźmina” Netflixu ta sztuka się nie udała. Kto zna opowiadania Sapkowskiego, ten orientuje się w następstwie wydarzeń i spokojnie czeka, aż kawałki układanki znajdą się na swoich miejscach. Kto nie zna, ten czuje się niekomfortowo, a w takiej sytuacji trudno smakować podane danie. Zauważmy jednak, że z odcinka na odcinek jest lepiej. Po słabym pierwszym dostajemy nieco lepszy drugi, od trzeciego serial nabiera charakteru i klimatu.

Trafnie wybrano najważniejsze dla postaci Geralta opowiadania Sapkowskiego i uczyniono z nich fundament poszczególnych odcinków. Te teksty to oczywiście debiutancki „Wiedźmin”, a także „Mniejsze zło”, „Kraniec świata”, „Kwestia ceny”, „Ostatnie życzenie”, „Granica możliwości” i „Coś więcej”.

Sam Andrzej Sapkowski o serialu wypowiedział się skąpo, lecz przychylnie, komentując Henry’ego Cavill’a jako Geralta i porównując go do Viggo Mortensena jako Aragorna w ekranizacji „Władcy Pierścieni”. Polski pisarz jest perfekcjonistą i największym miłośnikiem własnego talentu na świecie, ale musi być zadowolony.



★★★★★

SEZON 1
„WIEDŹMIN”
(„THE WITCHER”)
USA 2019

wyst. Henry Cavill,
Freya Allan, Anya
Chalotra



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

■ Osiągnął coś, przy czym błędną sukcesy wszelkich innych polskich powieściopisarzy od czasów Henryka Sienkiewicza i międzynarodowego rozgłosu (także ekranizacji) „Quo vadis”.

JĘZYK SAPKOWSKIEGO

Gdy kładę na szalę zalety i wady produkcji Netflix, przede wszystkim muszę podkreślić, że jest to wielki triumf Sapkowskiego-pisarza. To, co jest w serialu najlepsze, to dialogi z Sapkowskiego, to postacie z Sapkowskiego, to pomysły z Sapkowskiego. Nie jestem zaskoczony, bo to literatura popularna najwyższej próby i jej sukces w 20 językach świata nie wziął się znikąd. Nawet w fatalnym polskim serialu i w polskim kinowym „Wiedźminie” sprzed prawie dwóch dekad tam, gdzie scenarzyści pozwalali dobrym aktorom mówić kwestiami z Sapkowskiego, tam nagle magia zaczynała działać i nie zwracaliśmy uwagi na obciachowe efekty specjalne, dłużyzny i produkcyjną biedę.

Podobnie w serialu Netflix. Siłą Sapkowskiego zawsze były język i dialogi, słowne szermierki kapitalnie skrojonych bohaterów. Tam, gdzie twórcy „Witchera” ufają literackiemu oryginałowi, serial wspina się na wyżyny. Tam, gdzie zaczyna się kombinowanie na własną rękę, efekt jest średni. Kiedy więc słyszę zapowiedzi kreatorki serialu Lauren Schmidt Hissrich, że drugi sezon będzie bardziej skupiał się na relacjach między bohaterami, których widzowie poznali w sezonie pierwszym, to wiem, że i ona pojęła tę lekcję, patrząc na gotowy już produkt. A polskim widzom polecam prosty eksperyment. Obejrzyjcie także serial w wersji z polskim dubbingiem

(Geralt gra Michał Żebrowski) i usłyszycie różnicę. O ileż bogatsza jest opowieść, w której pojawiają się piękne polskie frazy z Sapkowskiego!

Potrójny sukces Sapkowskiego – pisarza, potem ojca postaci, która zrobiła oszałamiającą karierę w grach, aż wreszcie giganta światowej popkultury, którego adaptacje dzieł oglądają widzowie w niemal 200 krajach świata (do tyłu dociera Netflix) – ma jednak jeszcze głębsze przyczyny. Sagę o wiedźminie cechuje nagromadzenie i zręczne wykorzystanie motywów, które dziś są niezmiernie popularne w kulturze masowej. Sapkowski okazuje się tu nie tylko zręcznym storytellem, lecz także prekursorem. Co wrzucił do swej sagi fantasy? Wątki ekologiczne, nieufność do instytucjonalnych religii, zwłaszcza tych wchodzących w sojusz z tronem, przekonanie, że to człowiek jest najbardziej niebezpiecznym potworem spośród wszystkich bestii, które może napotkać na swej drodze wiedźmin. Przekonanie, że każda władza budowana jest na nieszczęściu innych, że polityka to zło, że ekspansja człowieka to najgorsza rzecz, jaka mogła się światu przytrafić, bo niszczy ekosystem. A ekspansja agresywniejszych cywilizacji kosztem mniej rozwiniętych zajmuje na liście złych rzeczy od razu drugie miejsce.

Elfy zagonione w leśne ostępy i na pustkowiach przez ludzi są u Sapkowskiego wyraźną aluzją do losów amerykańskich Indian i w ogóle wszelkich ofiar kolonizacji białego człowieka. Cóż zostaje? Camusowski ateizm, przekonanie, że przyzwoitym i uczciwym się jest, bo tak po prostu trzeba. I jest wiedźmin Geralt takim osobnikiem wywiezionym wprost z tradycji powieści Chandlera – pesymistą o wyraźnym

pionie moralnym w świecie, w którym wszystko to gnój. Królowie zajmują się kazirodstwem, czarodzieje to socjopaci i manipulatorzy, rycerze to idioci, żołnierze jedynie mordują i gwałcą, wieśniacy sprzedają własne dzieci w niewolę. Sapkowski przesycony głębokim Weltschmerzem i mizantropią równie wielką jak Stanisław Lem, przygotował idealny produkt popkultury XXI w., ale uczynił to już na przełomie lat 80. i 90. wieku XX.

A jednocześnie wypłatając swą sagę, rok po roku pożyczając, kradł i podpatrywał nie tylko z klasycznych bajek, których treść postmodernistycznie przeniecał. Gdy polscy fani (i niektórzy autorzy niestety też) zapatrzeni byli jeszcze w opowiadania o Conanie, Sapkowski-czytelnik pożerał mnogie dzieła zachodniej fantastyki – i te uznane, i całkiem współczesne – konstruując swój Never-neverland z motywów, które znalazł u innych. A że jest człowiekiem niepospolitej inteligencji i wielkiego talentu, wychodziło mu to nadspodziewanie dobrze. Pamiętam, jak podczas jednej z rozmów opowiadał mi o sytuacji, w której był wielce zadowolony z napisania pewnego dialogu – do chwili, gdy odkrył, że identyczny przeczytał kiedyś w jednej z powieści Davida Eddingsa. Nie było w tym złej woli. Sapkowski, wielki pożeracz popkultury, dzięki tej wszechkożności okazał się popkulturowym pisarzem idealnym.

Stąd tytuł tych rozważań. Wiedźmin wraca do domu. Nie jest to wbrew pozorom powrót do Polski, gdzie w bloku z wielkiej płyty na Retkini w Łodzi Sapkowski obmyślał pierwsze opowiadania o Geralcie. Nie jest to powrót do słowiańskiej Europy, krainy strzyg i innych stworów, które Sapkowski wplótł do swych historii. Nie jest to powrót do siedziby studia CD Projekt, które dało wiedźminowi drugie życie. Wiedźmin wraca do domu, wkraczając do mieszkań widzów w Niemczech, we Francji, w Anglii, Stanach Zjednoczonych. Bo stamtąd wziął się oryginalnie, z tamtejszej tradycji fantastyki i baśni. Z braci Grimm, z bajek Perraulta, z Żelaznego, Eddingsa, niezliczonych adaptacji arturiańskich mitów, irlandzkich legend, i tak, także z Tolkiena. Ale i Fritza Leibera, i wielu, wielu innych. Andrzej Sapkowski jest produktem polskim, ale wiedźmin od samego początku był obywatelem świata. I dzięki Netflixowi do tego świata powrócił.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Muzyka z szelakowych płyt

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/POLMUS

Polmuz – tak w latach 60. XX w. ochrzczono działającą do 1992 r. przedsiębiorstwo produkujące instrumenty muzyczne. Marka Polmuz została w 2018 r. reaktywowana przez pewną gdyńską firmę, a trochę wcześniej jako nazwę swojego zespołu przyjął ją kwartet, który zawiązał się w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu.

Historia tego ostatniego Polmuzu rozpoczęła się od cie-

kawego znaleziska, które trafiło w ręce saksofonisty Michała Feltera (zaangażowanego m.in. w projekty Jazz Band Młynarski-Masecki i Tsigunz Fanfara Avantura). Znalazłem tym były płyty szelakowe (szelak to naturalna żywica wykorzystywana dawniej w produkcji płyt gramofonowych) z lat 20. XX w. Na płytach wydanych przez niemieckie wytwórnie zarejestrowano nagrania kapel

z Wielkopolski, m.in. z okolic Poznania, Pleszewa, Śremu.

Felter postanowił dać tym nagraniom drugie życie i zarejestrować ich interpretacje. Do tego celu zaangażował swoich kolegów muzyków – kontrabasistę Ksawerego Wójcińskiego, perkusistę Rafała Igiela oraz Rafała Zapałę, który stanął za... radzieckim syntezatorem Polivoks. – Lubimy elementy

kurzu i rdzy w estetyce. Syntezator analogowy Polivox był radziecką odpowiedzią na syntezator Mooga. Potężnie brzmi i dźwięk można kreować nim dowolnie. Udział syntezatorów w świecie muzyki folkowej jest bardzo uzasadniony, ponieważ są to instrumenty już tradycyjne.

Tym, czym dla Polaków są gęśle, tym dla cyfrowych autochtonów elektroniki są syntezatory analogowe – mówił na antenie Polskiego Radia Rafał Zapała

Muzycy zgłosili się do wspomnianego centrum kultury, a to wsparło projekt, obejmując go rezydencją artystyczną. I tak powstał dwupłyty (płyta „biała” i „czerwona” z różnymi wersjami tych samych nagrań) album „Drzewiej”, który zdobył m.in. nagrodę główną oraz nagrodę specjalną im. Czesława Niemena na festiwalu Polskiego Radia Nowa Tradycja w 2018 r. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Obrazoburcze piękno

Polscy jazzmani z uporem interpretują Komedę, lecz tylko wrocławskiemu EASB i właśnie WMQ udało się stworzyć naprawdę nową wartość.

Wojciech Mazolewski podszedł do zadania wyjątkowo gruntownie. Przez trzy lata czytał książki o Komedzie, oglądał filmy z jego muzyką, spotykał ludzi, którzy go znali, i odwiedził miejsca, w których przebywał. Następnie wraz z kwintetem „ogrywał” materiał przez rok na żywo.

Powstał materiał niezwykle, w którym WMQ skupił się na tym czymś ulotnym, co stało za powstaniem poszczególnych utworów. „When Angels Fall” to płyta o życiu i śmierci, o przemianach i nietrwałości wszystkich

rzeczy, a jednocześnie o radości i pięknie świata” – tłumaczy Mazolewski.

Na repertuar płyty składają się zarówno utwory z filmów Polańskiego i Skolimowskiego, jak i klasyk „Astigmatic”. Kwintet gra charakterystyczny motyw danego utworu, by szybko skupić się na nastroju, a nie na zapisie nutowym. Wywraca kompozycje, nadając im nową rytmikę („Ballad for Bernt” jest zagrany w ska!), a mimo to, a może właśnie dlatego, nad całością unosi się duch Komedu. To jest obrazoburcze, ale jakie piękne!

Okładkę płyty, tak jak legendarnego albumu „Astigmatic”, zaprojektował zmarły w ubiegłym roku Rostław Szaybo. ©©



★★★★★
WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET
„WHEN ANGELS FALL”
WMQ



★★★★★
HAPPYSAD
„REKORDOWE LETNIE LATO”
MYSTIC

Wydali osiem płyt, z czego trzy pokryły się złotem. Ich melodyjny, gitarowy rock połączony z emocjonalnymi tekstami ma niewątpliwą siłę przyciągania. Rozszerzenie brzmienia i niezła produkcja nagrań są sporym atutem płyty.



★★★★★
MUZYKA FILMOWA
„WATAHA”
KAYAX

Mroczna muzyka Łukasza Targosza oparta na połączeniu klasycznych brzmień i folkowego instrumentarium robi wrażenie. Świetnym uzupełnieniem są utwory zespołu Tołhaje, czerpiącego inspirację z tradycji Bojków i Łemków. ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Taki zły,
że aż dobry

★★★★★

**REŻ. MACIEJ
KAWULSKI**
**„JAK ZOSTAŁEM
GANGSTEREM.
HISTORIA
PRAWDZIWA”**
POLSKA 2019

wyst. Marcin
Kowalczyk, Tomasz
Włosok, Adam
Woronowicz

Są pytania, na które trudno odpowiedzieć bez zastanowienia. Co jest istotą wszechrzeczy? Dlaczego wielbimy Zenka Martyniuka bardziej niż Fryderyka Chopina i Muńka Staszczyka? Jakich produktów nie reklamował Robert Lewandowski? Podobnie ma się rzecz z polską mafią. Mimo krótkiego żywota zdążyła już obrosnąć legendami, przy których kronika błogosławionego Wincentego Kadłubka wydaje się arcydziełem literatury faktu.

W takich okolicznościach pokusa, by historię zorganizowanej przestępczości napisać na nowo, wydaje się całkiem naturalna. Najpierw trzeba jednak oczyścić teren, czyli zgłanować dorobek poprzedników. Stąd wzięły się w filmie Kawulskiego powtarzane z maniackim uporem zapewnienia, że cała nasza

dotychczasowa wiedza to zbiór baśni z mchu i paproci, zasilanych megalomańską wyobraźnią Masy.

Najsłynniejszy ze świadków koronnych jest tu negatywnym punktem odniesienia również z powodu swej zdrady, równoznacznej z brakiem lojalności wobec rodziny i przyjaciół. Anonimowy rozmówca Krzysztofa Gurecznego, którego wynurzenia posłużyły jako podstawa dla scenariusza, ma swoje zasady: nie strzela do kobiet i dzieci, zaś męską przyjaźń uważa za rodzaj dożywotniego sakramentu.

Dostajemy więc mit inny, co nie znaczy, że bardziej wiarygodny. Spośród bezimiennego gangstera i zrazem narratora jest dość specyficzna, bo on niczego nie żałuje. Wręcz przeciwnie, puszy się jak paw, dając do zrozumienia, że był (a może i jest nadal) najważniejszą figurą

przestępczego podziemia III RP. Zaczynał marnie, jako sutener, ale już za komuny lubił się bić i marzył o posiadaniu własnej bandy.

O bandytach ery transformacji ma złe zdanie: prymitywy, pijacy, ćpuny, którzy nie potrafią zrozumieć, że „interesy lubią ciszę”. On sam szybko się uczy: zamienia dres na skórzany płaszcz, brutalnością przebija konkurencję i wypełnia lukę po chłopakach z Pruszkowa. Poza tym jednak dziwaczna z niego figura: chce być gangsterem z ludzką twarzą. Nałogi trzyma na wodzy, czyta książki (Tyrmund byłby zachwycony taką reklamą „Złego”). Na partnerkę wybiera sobie nie żadną blacharę, tylko studentkę z dobrej rodziny.

Film ma dobre tempo, rewelacyjną ścieżkę dźwiękową i bezwstydnie czerpie z dokonań poprzedników (jest tu nawet scena wzorowana na „Ojcu chrzestnym”). Pod koniec próbuje zaś wejść na poziom zgoła szekspirowski. Na tle podejrzenie inteligenckiego bossa wspaniale wypada jego szalony przyboczny, Tomasz Włosok. Podtytuł „historia prawdziwa” uważam jednak za niepotrzebny. Osobiście wierzę we wszystko, co oglądam w kinie. Do momentu, gdy z kina nie wyjdę. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TAJNI I FAJNI”

Blue Sky Studio znane było dotąd widzom z takich animacji jak „Roboty”, „Rio” czy niezwykle popularna seria „Epoka lodowcowa”. Wiosną 2019 r. kupione zostało przez koncern Disneya. „Tajni i fajni” to pierwsza produkcja Blue Sky po zmianie właściciela. Tajny agent Lance zamieniony przez genialnego młodego wynalazcę Wal-

tera w gołębia próbuje wraz z nim znaleźć sposób na pokonanie niebezpiecznego cyberterrorysty – i na powrót do własnej postaci. ©©

Piotr Gociek

• „Tajni i fajni”, reż. Nick Bruno,
wyst. Will Smith, Tom Holland,
Karen Gillan, Rachel Brosnahan, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Głębia strachu”, reż. William Eubank, USA 2020
- „Tam gdzieś musi być niebo”, reż. Elia Suleiman, Kanada/Francja 2019
- „Mayday”, reż. Sam Alkin, Polska 2020
- „Miś Bamse i supermiód”, reż. Christian Rytenius, Szwecja 2019

Twain wiecznie żywy

Jak wiadomo, w naukach humanistycznych istnieją dwie szkoły: falenicka i otwocka. Według pierwszej ludzie chodzą do kina, żeby podziwiać superfacetów i superkobiety w sytuacjach, w których sami nigdy się nie znajdą. Druga bązuje na przekonaniu, że o wiele większej satysfakcji można zaznać, oglądając na ekranie perypetie osobników brzydszych, głupszych i bardziej pechowych niż my sami.

„Sokół z masłem orzechowym” to historia dwóch pariasów, którzy na przekór okolicznościom i zdrowemu rozsądkowi odmawiają zajęcia miejsca na końcu kolejki do szczęścia. Zak, dobrotniwy tłuszczoch z zespołem Downa, w samych spodenkach czmycha

z ośrodka opieki społecznej, bo chce się sprawdzić w ukończonym sporcie Amerykanów, czyli wrestlingu. Ucieczka skończyłaby się tak samo jak poprzednie, gdyby nie zyskał

towarzysza podróży w osobie upadłego rybaka Tylera.

Film, wymyślony i nakręcony przez dwóch debiutantów, jest wybitnym przedstawicielem gatunku „feel-good movie”. Na czym polega owa wybitność? Od pierwszej minuty czujesz, że cię biorą pod włos, ale nie potrafisz (ba, nie chcesz!) się temu przeciwstawić. Nawet dyżurny zły chłopak Hollywood Shia La Beouf i muza pana Greya – Dakota Johnson – grają jak z nut. W nowym roku życzę sobie i państwu więcej takich niespodzianek. ©©

Wiesław Chełmniał



★★★★★

REŻ. TYLER NILSON, MIKE SCHWARZ
„SOKÓŁ Z MASŁEM ORZECHOWYM” („THE PEANUT BUTTER FALCON”)

USA 2019
wyst. Zack Gottsagen, Shia LaBeouf, Dakota Johnson



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „MECHWARRIOR 5: MERCENARIES”

„MechWarrior” to tytuł, który od początku albo się kocha, albo nienawidzi. Z jednej strony dostajemy bowiem do rąk futurystyczny świat korporacji najemników, którzy za odpowiednią opłatą w uzbrojonym po zęby mechu wykonują każde zadanie. W tym trybie liczy się refleks i wszystko, co

cechuje gry FPP. Z drugiej natomiast zajmujemy się uzbrojeniem naszej koczującej forticy, zarządzaniem personelem frakcji, którą z czasem staje się istotnym elementem uniwersum. To część dla fanów symulacji i wątków ekonomicznych. Jeśli komuś podoba się łączenie wody z ogniem, to będzie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się dobrze bawił. Innych „MechWarrior 5” odstraszy. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Symulacja/FPP
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Piranha Games
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

KONIEC GRY

Zaledwie sześć odcinków, protesty fanów, przerost formy nad treścią i złe wybory dramaturgiczne – coś z tego, skoro i tak „Gra o tron” to największa rzecz, jaka wydarzyła się w telewizji w ostatniej dekadzie. Pierwsze trzy odcinki finałowego sezonu należą do najlepszych w całej serii, dwa ostatnie do najbardziej kontrowersyjnych. Koniec zmagania o żelazny tron i władzę nad krainą Westeros okazał się słodko-gorzkim – zgodnie z zapowiedziami George’a R.R. Martina, autora powieści, na podstawie których powstał hit HBO. Martin, dodajmy, zdystansował się publicznie od ostatniego sezonu serii, ale na jego oficjalną wersję zakończenia wciąż czekamy – dwóch powieści zamykających cykl wciąż jeszcze nie ukończył. „Gra o tron” pokazała, że fantasy na małym ekranie może być świetnym interesem, wypromowała wielu aktorów i zaostrzyła apetyt fanów na więcej. Nakręcony więc będzie także serial „House of Dragon”, o przeszłości dynastii Targaryenów.



wyst. Emilia Clarke, Peter Dinklage, Kit Harington

★★★★★

SEZON 8
„GRA O TRON” („GAME OF THRONES”)
USA 2019,
DYSTR. GALAPAGOS

ROŚNIE RODZINA ROBINSONÓW

Drugi sezon serialu o rodzinie Robinsonów jest bardziej widowiskowy, ale sedno pozostaje niezmienne. Choć akcja rozgrywa się w odległym układzie gwiazdowym, gdzie koloniści z Ziemi zmagają się z obcymi robotami, trującymi algami, infekcją pożerającą metal oraz nieprzyjemniaczkami we własnych szeregach, to przede wszystkim jest to opowieść edukacyjna. Jak mówi młody Will Robinson: „Byliśmy zagubieni, zanim wyruszyliśmy” – i to prawda. Paradoksalnie dopiero pełna niebezpieczeństw podróż przez Wszechświat sprawia, że rodzina Robinsonów staje się jednością i zalecza stare rany. „Zagubieni w kosmosie” jest hymnem ku czci miłości, przyjaźni i lojalności. Promuje tradycyjny model rodziny oraz wysławia tradycyjne amerykańskie cnoty pogranicza: przedsiębiorczość, umiejętność współpracy, odwagę i poświęcenie. Ciąg dalszy nastąpi i warto na niego czekać. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



wyst. Molly Parker, Toby Stephens, Maxwell Jenkins

★★★★★

SEZON 2
„ZAGUBIENI W KOSMOSIE” („LOST IN SPACE”)
USA 2019,
DYSTR. NETFLIX

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nasza szlacheckość

Księga ksiąg – tak najkrócej nazwałbym potężny, liczący 1,5 tys. stron tom, który wyszedł spod pióra Marcina Libickiego, wieloletniego posła, wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, historyka sztuki i publicysty. Nazwać bowiem tę pracę historią, choćby najbardziej osobistą, Starego Kontynentu byłoby uproszczeniem. Z rozmachem przedstawione przez autora dzieje Europy są w gruncie rzeczy rozbudowanym wstępem do analizy współczesności i do postawienia pytań o jutro – Europy, ale i Polski. Polski może przede wszystkim.

Dzieło zaczyna się jednak, jak Pan Bóg przykazał, od wielkiej retrospektywy, zapoczątkowanej w roku 476, kiedy to upadł Rzym. Następnie, przez kolejne stulecia, przyglądamy się bezprzykładowemu rozwojowi Europy, ale i zagrożeniom, które musiała przezwyciężyć, a nie zawsze się to udawało. Przy tym Libickiego nie interesują wyłącznie, jak byśmy dziś powiedzieli, wiadomości z pierwszych stron gazet, nie tylko kwestie polityczne, lecz także społeczne, kulturalne, obyczajowe. I tak na przykład ok. roku 1000 sytuuje europejską rewolucję techniczną porównywalną z tą znaną nam z podręczników historii, tyle że o mniej więcej osiem stuleci późniejszą. Z wyraźną lubością wymienia wynalazki sprzed tysiąca lat: siodło ze strzemionami, podkowy, objanie kół metalową obręczą, bronę, tarczkę. A wynalezienie ruchomego żagla pozwalającego „na płynięcie pod wiatr – czytamy – można porównać jedynie z późniejszą o osiem wieków zamianą żaglowca na parowce”.

Autor „Europy” chętnie też cytuje najróżniejsze, powiedzielibyśmy, miśkalki. Ot, takie choćby jak informacja o tym, że „niewiele ponad 70 lat po bitwie pod Grunwaldem, kiedy Strasburg był wolnym



FOT. WIKTOR DUBOWSKI/REPORTER

miastem Rzeszy, w winne rejony Niemiec i Skandynawii wyeksportowano z Alzacji 60 milionów litrów wina, dwukrotnie więcej niż obecnie. Tak jak Katedra Najświętszej Marii Panny w Strasburgu już nigdy nie będzie najwyższym budynkiem świata (choć była nim przez prawie 250 lat), tak rekord eksportu z 1481 r. nigdy nie będzie wyrównany”.

Wszystko to sprawia, że historyczną część książki Marcina Libickiego czyta się zaskakująco lekko. Jednak nie to jest w niej najważniejsze. Całe to dzieło, każda jego strona przesiąknięta jest duchem chrześcijaństwa. Bez chrześcijaństwa bowiem nie byłoby Europy w znaczeniu ponadgeograficznym, a filarami polskiej tożsamości i kultury obok greckiej filozofii i rzymskiej myśli prawnej oraz ustrojowej stały się Stary Testament i Nowy Testament, Dekalog oraz Ewangelia. Multum dowodów na to dostarcza następna część „Europy. Najpiękniejszej opowieści” poświęcona wyłącznie historii Polski, a uzupełniona rozdziałem o zbrodniach niemieckich i rosyjskich. Bez analizy tych ostatnich nie da się, niestety, mówić o naszej współczesności.

Swoją drogą przeżyłem podczas lektury swoją małą osobistą satysfakcję, gdy w części poświęconej naszym polskim sprawom autor zacytował mój artykuł pisany po tragedii smoleńskiej „Wieża Srebr-

nych Dzwonów”, w którym powoływałem się na wciąż aktualne słowa krytyka i pisarza młodopolskiego Artura Górskiego z opracowania „Ku czemu Polska szła”: „Polskę cechuje szlachetność. Co ona oznacza? Oznacza pewien duchowy gatunek człowieka. Szlachetność to typ człowieka niezależnego moralnie, odpowiedzialnego przede wszystkim przed samym sobą, o jednolitym sumieniu, o rodzinnej organizacji społecznej, o przychylniej postawie wobec innych narodów”. A propos tej ostatniej... Przypisuje się nam wyssany ponoć z mlekiem matki antysemityzm, podczas gdy za jego europejskiego ojca winien uchodzić – uwaga! – Luter, bo to on był, czytamy, „pierwszym założycielem religii, który ogłosił Żydów jako zasługujących na eksterminację”.

W ocenie naszych bieżących wydarzeń politycznych zwróciła z kolei moją uwagę niekoniecznie słuszna, ale mocno brzmiąca diagnoza: „Styl sprawowania władzy niszczył wielkie cele, które bracia Kaczyńscy wyznaczyli sobie, PiS-owi i Polsce, gorzej – te cele kompromitował i ośmieszał”. Odnoszą się te słowa do próby budowy IV Rzeczypospolitej, ale nie utraciły swojej wagi.

Nie musimy się ze wszystkim z Marcinem Libickim zgadzać, wręcz przeciwnie, ale przeczytać jego książkę ksiąg warto, a nawet trzeba. I zapamiętać coś w rodzaju jego przesłania: „Wstąpienie do Unii Europejskiej nie jest końcem polityki, rozumianej jako ostateczne rozwiązanie problemów państwowych czy społecznych Polaków. Tym bardziej nie jest – jak niektórzy się obawiali – wejściem bezbronnej Polski do jaskini szatana; jest natomiast zapewnieniem znacznego większego bezpieczeństwa i zamożności Polski, a reszta będzie już zależała od naszej determinacji w osiąganiu wyznaczonych sobie właściwych celów”. ©©



★★★★★
MARCIN LIBICKI
„EUROPA.
NAJPIĘKNIEJSZA
OPOWIEŚĆ”
WYKS I S-KA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Świat pod kreską

W lawinie ciekawych komiksowych nowości, które na koniec 2019 r. przygotował niezawodny Egmont, dwa tytuły zwracają szczególną uwagę. Pierwszym jest nowe dzieło Franka Millera, twórcy „Sin City”, „Ronina”, a dla szerokiego rzesz przede wszystkim albumu „300” – pierwowzoru efektownego filmu Zacka Snydera o Spartanach stawiających czoła perskim najeźdźcom.

„Xerxes” to historia, która jednocześnie jest prequelem i sequelem „300”. Rozpoczyna się wcześniej. W bitwie pod Maratonem widzimy m.in. Ajschylosa, najważniejszy jest jednak Temistokles. Druga połowa albumu to z kolei podboje Aleksandra Wielkiego. Miller swobodnie traktuje historię, miksując znane motywy po swojemu w odrealnioną brutalną fantazję, w której jednak wychwala zarówno obrońców demokracji, jak i wybitne jednostki skazane na wielkość.

Przeciwnieństwem „Xerxes” jest „Bitwa”, arcydzieło komiksu historycznego, w którym najważniejsze są realizm i wierność faktom. Potężne dzieło (ponad 150 stron plus dodatki) duetu Richaud/Gil jest adaptacją powieści Patryka Rambauda wyróżnionej Nagrodą Goncourtów, Rambaud zaś szukał inspiracji

do swego fresku u Balzaka i Stendhala. Tytułowe starcie to wielka bitwa na przedpolach Wiednia stoczona pod Essling (w polskiej historiografii mówi się raczej o bitwie pod Aspern – walki toczyły się w obu miejscowościach) między armią Napoleona Bonaparte a armią austriacką dowodzoną przez arcyksięcia Karola Ludwika. Było to starcie iście nowożytne, w duchu późniejszych o stulecie bezsensownych masakr pierwszej wojny światowej – gigantyczne straty po obu stronach i żadnego efektu strategicznego. Decydujący cios Napoleon zadał później pod Wagram. Są jednak i tacy, którzy upatrują w boju o Aspern i Essling początki końca Bonapartego, bo podważono wówczas mit jego nieomyślności i niezwyciężoności.

„Bitwa” to komiks zachwycający, w którym proporcje zostały dobrane idealnie. Mamy wspaniałe sceny batalistyczne, a obok ciekawych pojedynczych bohaterów zaplątanych w wielką historię: cywilów,

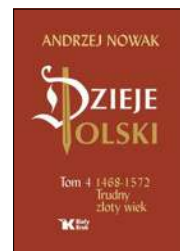
oficerów i zwykłych żołnierzy. Mamy piękne tło epoki (z Haydnem przygrywającym na fortepianie) i smutne refleksje na temat natury wojny. Wisienką na torcie jest wprowadzenie na scenę (i to nie na chwilę) Stendhala, późniejszego autora „Pustelni parmeńskiej”. ©©



★★★★★
GIL, RAMBAUD,
RICHAUD
„BITWA”
EGMONT 2019

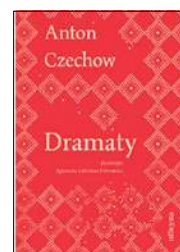
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejna część monumentalnej i zachwycającej nie tylko erudycją pracy krakowskiego historyka. Tom „Trudny złoty wiek” obejmuje lata 1468–1572. Niemały trzy dekady czekała III RP na takie dzieło. Było warto.



ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI.
TOM 4”
BIAŁY KRUK

Agnieszka Lubomira Piotrowska 10 lat pracowała nad nowymi przekładami Czechowa. Oto efekt: najważniejsze dzieła sceniczne plus „Leszy” (pierwsza wersja „Wujaszka Wani”) i niektórzy tłumaczeni dotąd wersja „Iwanowa”.



ANTON CZECHOW
„DRAMATY”
OFFICyna

Kto powiedział, że to książka tylko do lektury w święta? Zwłaszcza że to klasyka opowieści niesamowitych: Edith Wharton, M.R. James, Arthur Conan Doyle i inni. Zwróćcie też uwagę na „Opowieść starej piastunki”.



AUTORZY RÓŻNI
„WIGILIA PEŁNA
DUCHÓW”
ZYSK I S-KA

Najnowsza powieść mistrza thrillera. Simon Greene, biały kołnierzyk z Wall Street, musi wyjść daleko poza strefę komfortu, by uratować córkę wpłątaną w fatalny związek i uzależnienie od narkotyków. Inne kłopoty na horyzoncie.

©© poleca Piotr Gociek



HARLAN COBEN
„O KROK
ZA DALEKO”
ALBATROS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Olga Tokarczuk „Księgi Jakubowe”** (Wydawnictwo Literackie) – dodruk ponobłowski, obszerna i kontrowersyjna powieść wraca na listy bestsellerów.
 2. **Donald Tusk „Szczere”** (Agora) – gdy polityk obiecuje szczerość, wiemy, że będzie odwrotnie. Co nie przeszkadza czytelnikom wspomnień byłego premiera.
 3. **Olga Tokarczuk „Bieguni”** (Wydawnictwo Literackie) – książka sprzed 12 lat znów na listach hitów – efekt Nobla wzmocniony gorącą przedświąteczną.
 4. **Remigiusz Mróz „Behawiorysta”/„Iluzjonista”, pakiet (Filia)** – pierwszy i drugi tom nowej serii kryminalnej, której bohaterem jest Gerard Edling.
 5. **Kelsey Miller „Przyjaciele”** (SQN) – z podtytułem „ten o najlepszym serialu na świecie”, czyli rzecz o sitcomie „Friends” i jego wpływie na popkulturę.
- (Najchętniej kupowane tytuły grudnia 2019 r. na Swiatksiazki.pl)



Marek Jurek

Atak w Parlamencie Europejskim na „Stop pedofilii” uderza w podstawy życia społecznego. Jest też jednak atakiem na suwerenność Rzeczypospolitej

Kto czytał „Maestra. Historię milczenia”, książkę Marcina Kąckiego o pedofilskich przestępstwach Wojciecha Kroloppa, ten wie, że pedofilska historia składa się z reguły z trzech elementów: po pierwsze – uwiedzenia i wykorzystania fizycznego, po drugie – deprawacji, doprowadzania niedojrzałych ofiar do akceptacji i uległości (czyli wykorzystania psychicznego) i wreszcie z niedowierzającej obojętności instytucji społecznych. A dziś w tle pojawia się jeszcze deprawacja otwarta, pedoseksualizm, „bezinteresowne” (niestanowiące osobistej „orientacji”) przekonanie, że dzieci powinny od najwcześniejszego wieku funkcjonować jako istoty seksualne, że zaspokajanie skłonności seksualnych może i powinno następować wraz z ich najwcześniejszymi impulsami. Jednak temu nowemu elementowi nadal towarzyszy stare niedowierzanie opinii publicznej, że to możliwe, nawet jeśli fakty biją w oczy, tak jak w czasie afery w chórze Polskie Słowniki.

PEDOSEKSUALIZM

Parlament Europejski właśnie podjął rezolucję wymierzoną w polską obywatelską inicjatywę ustawodawczą „Stop pedofilii”. Potępił przekazywanie młodzieży w szkołach etyki, więc właśnie wychowanie seksualne jako takie („piętnowanie pozamałżeńskiej aktywności seksualnej”), a także wszelką kontrolę wychowawczą. Wyraził zdziwienie, dlaczego skoro dzieci „powyżej 15. roku życia mogą legalnie wyrazić zgodę na czynności seksualne [...] nadal muszą uzyskać zgodę opiekuna na wydanie recepty na środki antykoncepcyjne”. Krótko mówiąc, aktywność seksualna nawet najmłodszych licealistów nie powinna napotykać żadnych utrudnień – ani ze strony etyki, ani rodziny, ani szkoły. Wręcz przeciwnie – państwo i szkoła, kierując etycznym

przewrotem, powinny burzyć wszelkie bariery aktywności seksualnej, włącznie z najbardziej wewnętrznymi.

Jedną z nich – choć usunięcie tej przeszkody ma należeć przede wszystkim do państwa, w mniejszym stopniu do szkoły – jest odpowiedzialność za poczęte dziecko. Według europarlamentu bowiem możliwość „aborcji ma zasadnicze znaczenie dla [...] zdobycia bezpiecznych doświadczeń seksualnych”. Tak więc nie chodzi już o uniknięcie konsekwencji „błędu” – jak mówił Barack Obama – ale nabywanie od najwcześniejszych lat kolejnych „doświadczeń seksualnych”, wolnych od jakichkolwiek zobowiązań etycznych, co właśnie gwarantować ma „dostęp do aborcji”. To znacznie więcej niż narzędzie „kontroli urodzeń” w Związku Sowieckim.

wystarczy, bo choć intencja ogólna jest jasna, to redaktorzy najwyraźniej sami nie kontrolowali detali tego siedmiostopniowego ideologicznego słowotoku.

DNO POLITYKI

Pomyli się ktoś, kto założy, że ten horror wywołał wielkie kontrowersje. Przeciw inicjatywie „Stop pedofilii” głosowało ponad 71 proc. posłów do Parlamentu Europejskiego. Wyraźne przekroczenie progu dwóch trzecich głosów to – według powszechnie przyjętych kryteriów – świadectwo consensusu. W tym przypadku consensus ten potwierdza, że w dzisiejszym stanie opinii Parlament Europejski stał się jednym z trwałych czynników rewolucji, która się w Europie dokonuje. Za rezolucją



Do tego wszystkiego ma przygotować „kompleksowa edukacja seksualna”, która „umożliwiłaby dzieciom [...] rozwijanie [...] relacji [...] seksualnych, a jednocześnie nauczyłaby ich rozważać, w jaki sposób ich wybory wpływają na ich własne samopoczucie”. Wyjaśnię skróty, których pominięta zawartość stanowi retoryczną oprawę tej tezy. Relacje seksualne mają być „pełne szacunku”, a należy je umożliwiać dzieciom „i młodzieży”. Jeśli potraktować dosłownie umożliwianie „dzieciom i młodzieży”, można by w tym odczytać wyraźną pedofilską sugestię, że dzieci powinny szukać kontaktów seksualnych nie tylko z rówieśnikami, lecz także ze starszymi, z młodzieżą. Ale już

głosowała zdecydowana większość postchadeckiej Europejskiej Partii Ludowej, również cała Platforma Obywatelska. Jej posłowie poparli „dostępność aborcji” jako gwarancji „zdobywania bezpiecznych doświadczeń seksualnych”, mimo że w swym oficjalnym programie zapisali, iż „prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo”. I choć w kraju nieustannie perorują o konstytucji, to wystąpili przeciw polskiemu porządkowi konstytucyjnemu, który opiera się na Orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997 r., uznającym ochronę życia w każdej jego fazie za warunek praworządnej demokracji. I brną dalej.

Na niedawnej przedwyborczej debacie PO marszałek Kidawa-Błońska oświadczyła, że upowszechnienie „antykoncepcji awaryjnej” (czyli po prostu środków wczesnoporonnych) rozwiąże „problem aborcji”. Marszałek powinna jednak wiedzieć, że prof. Andrzej Zoll, którego nikt nigdy nie podejrzewał ani o stronnictwo w opiniach konstytucyjnych, ani o awersję do obecnej opozycji, mówił jasno, że dystrybucja środków wczesnoporonnych narusza już nie tylko tamto historyczne orzeczenie, lecz także po prostu ducha i literę obowiązującej ustawy.

To, co dla PO było proste, dla PSL okazało się skomplikowane. Polscy ludowcy wstrzymali się od głosu. Dlaczego? Żeby jako partia opozycyjna nie głosować z PiS? Aby nie występować przeciw

rewolucji ma silny mandat społeczny. Problemem nie jest zresztą brak mandatu, ale zachłanność wyborcza polityków (walka o większe atrybuty władzy zamiast większego poparcia dla spraw) albo nadzieje na „przebicie się” do głównego nurtu polityki unijnej.

Dobre głosowanie jest cnotą obywatela, dla polityka to punkt wyjścia do szerszych obowiązków. Wykonując mandat, podejmuje się walki o większość, przekonania, zabiegania, by jeszcze inni głosowali dobrze. Prawo i Sprawiedliwość głosowało dobrze, ale po spełnieniu tej formalności nie niepokoiło już opinii publicznej pedoseksualną rezolucją PE, od której przyjęcia minął już miesiąc. Tymczasem rzecz domaga się reakcji choćby po to, by w imieniu państw powiedzieć

Ligi, głosował bardziej konsekwentnie w obronie polskiego społeczeństwa niż nawet konserwatyści (ECR), do których należy PiS. Zaznaczyć przy tym trzeba, że postawa obu klubów wyraźnie kontrastowała z zachowaniem większości izby. Byłyby bardziej skuteczne, działając razem. Nie należy poddawać się cenzurze wyznaczanej przez klasę rządzącą Unii Europejskiej. PiS wielokrotnie deklarował swój eurofatalizm, przekonanie, że nie ma życia poza Unią Europejską. Czas więc Unię zmieniać, byśmy zdążyli to zrobić, zanim ją trzeba będzie opuścić.

KWESTIA WOLNOŚCI

Atak na „Stop pedofilii” uderza w podstawy życia społecznego. Jest jednak również atakiem na suwerenność Rzeczypospolitej i wolność polskiego społeczeństwa. Na wolność – bo przecież nie dotyczy żadnego przyjętego prawa, jedynie decyzji o podjęciu prac nad społeczną inicjatywą ustawodawczą. Poprzednio parlament zaatakował w ten sposób społeczny projekt „Stop aborcji”, który został przez Sejm odrzucony natychmiast po rozpoczęciu debaty w Strasburgu. Atak na skierowanie tego projektu do prac w sejmowych komisjach to po prostu sugestia, że najlepiej, gdyby marszałek Sejmu w ogóle nie zarejestrował tej inicjatywy ustawodawczej (jako sprzecznej z „wartościami europejskimi”) i zgasił projekt w zarodku.

To również atak na suwerenność, bo – jak celnie przypominała w parlamencie minister Anna Zalewska (musiał to przyznać również sir Julian King, występujący w imieniu Komisji Europejskiej) – Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, w artykule 165, wyraźnie wyłącza jakąkolwiek harmonizację prawa edukacyjnego i potwierdza wyłączną odpowiedzialność państw za tę sferę oraz szacunek dla kultury każdego z nich. Parlament jednak nie przejmując się granicami swej władzy. Nie uważa się też jedynie za organ Unii Europejskiej, działający w ramach jej traktatowych kompetencji, ale za „reprezentację obywateli Europy”, ludu europejskiego stojącego ponad państwami, a nawet ponad prawem Unii. Z tej uzurpacji jego liderzy czerpią swój rewolucyjny patos. Tym bardziej czas ich sprowadzić na ziemię, na grunt prawa – samej Unii i państw, które ją tworzą. Powinien to niezwłocznie zrobić Sejm Rzeczypospolitej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADRIAN STICK

władzom Unii Europejskiej, wobec których najwyżej można czasami zachować rezerwę? W każdym razie stracili ważną (i dodajmy – nietrudną) szansę, by potwierdzić wiarygodność projektu Koalicji Polskiej.

POTRZEBA ODWAGI

Chociaż pedoseksualna rezolucja została przyjęta ogromną większością głosów, wśród niewielkiej, niespełna dziesięcioprocentowej mniejszości znalazły się partie, które wygrały wybory w Polsce (Prawo i Sprawiedliwość), na Węgrzech (Fidesz), we Włoszech (Liga) i we Francji (Zjednoczenie Narodowe). To znak, że sprzeciw wobec genderowej

jasno, że nie ma żadnego aborcyjnego ani deprawacyjnego consensusu w Europie. Każdy polski rząd powinien swą politykę europejską zaczynać od jasnej deklaracji, że będzie kierował się zasadami cywilizacji chrześcijańskiej, potwierdzonymi w polskim prawie, że zasady te uważamy za uniwersalne, więc – z całym szacunkiem dla suwerennej odpowiedzialności każdego z państw – będziemy je na forum europejskim prezentować.

Jeśli nie mamy być izolowani w Europie, to nie możemy się izolować od przyjaciół. Ostatnie głosowanie pokazało, że klub Tożsamość i Demokracja (ID), skupiony wokół francuskiego Zjednoczenia Narodowego i włoskiej

Odbudujmy drogi życia



Andrzej Talaga

Bez korytarzy komunikacyjnych dla wojska zwycięska wojna nie będzie możliwa

Napoleon mawiał, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy. Podczas drugiej wojny światowej aforyzm ten przekształcono zgodnie z duchem czasu, ową trójką stały się: ropa, ropa i ropa. Dziś byłaby to zdolność do przerzutu sił i środków, a zatem: szlaki, szlaki, szlaki. Tymczasem w Polsce je zaniedbaliśmy. Tak bardzo, że ewentualna pomoc sojusznicza w razie wrogiej inwazji byłaby z powodu ich stanu poważnie spowolniona. Czas najwyższy na odbudowę owych dróg życia. Z korzyścią nie

tylko dla obronności, lecz także polskiej gospodarki.

Przygotowania obronne przyciągają uwagę opinii publicznej. Zabiegi Polski zmierzające do zwiększenia obecności sił amerykańskich na naszym terytorium, plany zakupu nowoczesnej broni, powstanie nowych formacji, choćby Wojsk Obrony Terytorialnej, znajdują należne miejsce w mediach, dyskusjach polityków i rozmowach zwykłych Polaków. Umykają natomiast uwadze korytarze komunikacyjne, bez których zwycięska wojna nie byłaby możliwa.

Drogi, mosty, przejazdy kolejowe, statki i uzupełniające je portowe nabrzeża nie są tak nośne politycznie jak nowe wyrzutnie rakietowe czy samoloty. Jednak ich stan zadecyduje o tym, czy w godzinie próby nasze siły, zlokalizowane na zachodzie kraju (w tym najsilniejsza w polskim wojsku 11. Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej), ów żelazny odwód, zdołają szybko przerzucić oddziały na pole walki w wschodzie lub w centrum

kraju. Nie inaczej jest z odsieczą NATO. W Polsce nie ma i nie będzie sił uderzeniowych paktu, one dopiero mają tu nadejść, najprawdopodobniej dopiero wtedy, gdy konflikt już wybuchnie. Stan dróg, mostów, przepraw i portów ma dla tej pomocy fundamentalne znaczenie.

Korytarze transportowe są kluczowym elementem systemu obrony na czas nie tylko pełnowymiarowej inwazji, lecz także starcia o mniejszym nasileniu, a nawet sytuacji kryzysowej poniżej progu otwartej wojny. Można sobie wyobrazić, że zniszczenie przez „zielonych ludzików” gazociągów, ropociągów czy portów rzuci Polskę na kolana bez jawnej inwazji.

Potencjał logistyczny to kluczowy element systemu obrony i bezpieczeństwa każdego państwa, szczególnie takiego, które zakłada wprowadzenie na swoje terytorium dużych sojuszniczych sił wsparcia w razie wojny. Problem został dostrzeżony na poziomie NATO, Unii Europejskiej i narodowym. Mobilność



FOT. MICHAŁ KOŚC/AGENCJA Wschód/REPORTER

chać. Podajmy dla przykładu: Abrams M1A2 (czołg podstawowy armii USA) waży ok. 63,5 t (ma oznaczenie MLC 70), z kolei Leopard 2A5 (w wyposażeniu polskich sił zbrojnych) waży ok. 60 t (MLC 66), Leopard 2A6 – w wyposażeniu armii niemieckiej – ma już MLC 70, a niektóre wersje Leoparda 2A7 mogą mieć MLC 80, w zależności od konfiguracji. Czołg PT-91, z polskiego wyposażenia, waży 45,3 t i ma MLC 50.

Do wspomnianego badania wybrano ponad 1,5 tys. mostów. Okazało się, że duża część z nich albo nie jest przystosowana do przerzutu pojazdów o masie 60 t, albo mogą one po nich przejeżdżać tylko z ograniczeniami (np. prędkość do 10 km/godz. w ruchu jednokierunkowym). Duża część innych mostów nie miała wyznaczonych klas obciążenia MLC, pozwalających określić, czy w ogóle mogą przejeżdżać przez nie pojazdy powyżej „standardowej” masy ok. 40 t. Pamiętajmy zarazem, że drogi krajowe są stosunkowo najlepiej przygotowane do ruchu ciężkich pojazdów, na drogach lokalnych sytuacja jest gorsza, a przecież wojsko nie może trzymać się tylko głównych tras, np. położonych równoleżnikowo autostrad A4 i A2, najdogodniejszych do przerzutu wojsk z zachodu na wschód.

Przytoczmy ujęte w analizie dane dotyczące części mostów – tych zbudowanych do połowy lat 80. Łącznie zbadano ich prawie 700, ale tylko po 269 z nich pojazdy o masie 60 t mogły poruszać się w dwóch kierunkach. Jeżeli przyjmiemy poważne ograniczenie (ruch jednokierunkowy), to 250 z badanych mostów dalej nie mogło obsługiwać pojazdów o masie 60 t.

Obecnie nowe drogi i mosty, w tym zjazdy z dróg krajowych, są już budowane z uwzględnieniem potrzeb wojskowych, sytuacja nie jest jednak dobra w odniesieniu do starych szlaków, nawet jeżeli większość mostów może przyjąć ciężkie pojazdy w ruchu jednostronnym. W warunkach kryzysu lub wojny, kiedy istotna jest maksymalna mobilność sił pancernych, to za mało. Prawda jest taka, że możliwości przerzutu czołgów drogami są ograniczone, na mostach istnieje dużo wąskich gardeł spowalniających lub wręcz uniemożliwiających ich ruch, a skanalizowanie transportu tylko na drogach najwyższych klas naraża kolumny na ataki powietrzne i zniszczenie. Tym bardziej że dane GDDKiA ze wspomnianego badania dotyczą

ruchu pojazdów kołowych, dopuszczenie danego mostu do ruchu pojazdów gąsienicowych o takiej samej masie może być jeszcze trudniejsze, z uwagi na inny rozkład mas.

Wniosek z tego jasny, jeśli chcemy umacniać bezpieczeństwo Polski: nie wystarczy kupować drogiego sprzętu i tworzyć nowych formacji, należy też – może nawet w pierwszej kolejności – umożliwić siłom naszym i sojusznicy pełną swobodę manewru. Budujemy i wzmacniamy mosty zdolne do przejazdu po nich ciężkich czołgów.

MORSKIE OKNO NA ŚWIAT

Transport lądowy jest w przypadku Polski jedną z opcji wykorzystania korytarzy logistycznych w czasach kryzysu lub konfliktu. Pomoc militarna może dotrzeć do Polski także drogą morską, co zresztą dzieje się już dziś.

Duża część jednostek sojuszników, przemieszczanych do Polski w ramach wzmocnienia wschodniej flanki NATO przybywa do nas właśnie drogą morską. Przykładowo podczas ćwiczeń Noble Jump w 2019 r. przerzucono do Szczecina elementy norweskiego batalionu Telemark, który następnie udał się na manewry do Żagania. Z polskich portów korzystają również Amerykanie. Chociaż część rotacji sił pancernych US Army jest obsługiwana przez porty w Niemczech czy Belgii (Antwerpia), to we wrześniu 2017 r. w Gdańsku wyładowano elementy 2. Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej wchodzącej w skład 1. Dywizji Piechoty – czołgi Abrams, bojowe wozy piechoty Bradley i wiele innych pojazdów wsparcia. Transport morski był też wykorzystywany podczas największych do tej pory ćwiczeń Anakonda-16. Tylko jedna brygada pancerna to w sumie ponad 1 tys. pojazdów, w tym więcej niż 250 ciężkich, gąsienicowych wozów bojowych, a w warunkach zagrożenia wojennego do Polski trzeba będzie przetransportować minimum kilka takich jednostek.

W czasie kryzysu poprzedzającego otwarty konflikt lub blokady szlaków lądowych w czasie pokoju drogą morską mogą być i są dostarczane ładunki surowców strategicznych – węgla, gazu, ropy, zbóż i innych produktów żywnościowych. To szczególnie istotne w czasie tuż przed wybuchem otwartego konfliktu, gdy konwencjonalne środki walki nie są jeszcze stosowane, a wszystkie elementy lądowego systemu transpor-

wojskowa stała się choćby jednym z strategicznych projektów unijnej „stałej współpracy strukturalnej w zakresie obronności” (PESCO).

Inicjatywy sojusznice w zakresie mobilności są bezcenne, jednak to my sami powinniśmy zadbać o swoje drogi życia, bo chodzi wszak o najbardziej fundamentalny interes polskiego państwa.

WĄSKIE GARDŁA NA LĄDZIE

Kilka lat temu Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zleciła Instytutowi Badania Dróg i Mostów analizę sieci mostów pod kątem możliwości przejazdu przez nie pojazdów o masie 60 t. Taką i większą masę mają ciężkie czołgi.

Zdolność pojazdów wojskowych do przejazdu po moście określa w NATO współczynnik MLC (Military Load Classification). MLC pojazdu (gąsienicowego lub kołowego) i MLC mostu powinny być takie same lub mostu większe, aby czołg bezpiecznie mógł po nim przeje-

• towego zostały bardzo mocno obciążone. Państwo potrzebuje wtedy sprawne- go przemieszczenia zarówno wojsk, jak i dóbr potrzebnych do funkcjonowania gospodarki.

Obecny rząd realizuje strategię dywersyfikacji źródeł dostaw, w której transport morski gra szczególną rolę. O ile bowiem ropa i gaz z Rosji są dostarczane głównie rurociągami lądowymi, o tyle źródła alternatywne wiążą się z transportem morskim (statkami i rurociągiem po dnie). Dostawy ropy naftowej mogą być realizowane przez Naftoport w Gdańsku, który stale zwiększa wolumen przeładunkowy. W pierwszym półroczu 2019 r. przeładowano tam 8,3 mln t ropy naftowej – 30 proc. więcej niż w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2018 r., który był dotąd rekordowy. W kwietniu 2019 r. PKN Orlen oświadczył, że „blisko połowa” ropy sprowadzanej przez ten koncern pochodziła spoza Rosji, a głównym alternatywnym hubem dostaw jest właśnie Naftoport.

Podobnie rzecz się ma z dostawami gazu. Do 2022 r. (wygaśnięcie kontraktu gazowego z Gazpromem, tzw. jamalskiego) Polska zamierza całkowicie uniezależnić się w tym zakresie od Moskwy. Dostawy przez gazoport w Świnoujściu są już realizowane, dzięki czemu udział importu z Rosji zmniejszył się w 2018 r. do mniej niż 67 proc. (dla porównania: w 2016 r. – 89 proc.). Pierwszy terminal LNG zostanie prawdopodobnie uzupełniony o siostrzany pływający terminal, planowany w Gdańsku.

Polityka bezpieczeństwa państwa musi zakładać posiadanie własnych jednostek morskich.

Z jednej strony tak właśnie się dzieje, państwowa Polska Żegluga Morska ma rozbudowywaną flotę ponad 60 uniwersalnych masowców typu handymax i panamax i jest w stanie zapewnić dostawy części surowców strategicznych: węgla, chemikaliów czy zbóż. Dziś statki te prowadzą normalną działalność na rynku trampowym, czyli nieregularnych przewozów towarów masowych, np. zboża, fosforytów, stali, ale w momencie zagrożenia lub kryzysu, na podstawie Planu Mobilizacji Gospodarki, byłyby one przeznaczone do transportu dostaw strategicznych pod dyktando kierujących obroną władz. Podobnie flota promowa PŻM, choć wymaga pilnej inwestycji w dwie–cztery nowe jednostki, dziś

dobrze sobie radzi, będąc „ruchomym mostem towarowym” na linii Polska – Szwecja. W sytuacji konfliktu lub kryzysu może być także elementem wsparcia polityki polskich władz.

Z drugiej jednak strony myślenie o bezpieczeństwie energetycznym podpowiada konieczność włączenia polskiego, narodowego armatora w proces dostaw LNG. Obecnie dostawy gazu i ropy są realizowane przez zagranicznych armatorów, co sprawdza się w czasie pokoju, ale w przypadku konfliktu będzie bardzo ryzykowne. Przeciwnik mógłby wszak podjąć próbę zastraszenia lub korupcji armatorów, co mogłoby utrudnić albo nawet w ogóle uniemożliwić obsługiwanie dostaw.

Rozwiązaniem tego problemu byłoby pozyskanie kilku gazowców, które obsługiwałyby część podpisanego przez PGNiG kontraktu na dostawy gazu z USA. Co więcej, koncept stworzenia takiej floty nie jest czymś całkiem nowym: w latach 70. XX w. Polska Żegluga Morska pozyskała sześć zbiornikowców, które obsługiwały import irackiej ropy naftowej. Polscy armatorzy posiadają potencjał, know-how i kadry, aby utworzyć narodową flotę gazowców.

PLAN DLA POLSKI

Test polskiego systemu transportowego na wypadek wojny nastąpi już wkrótce, manewry Defender 2020, w których trakcie Amerykanie przerzucą do Polski – lądem, morzem i powietrzem – elementy całej dywizji. Czegoś takiego jeszcze w naszym kraju nie ćwiczyło po 1989 r., niemniej jednak to wciąż tylko jedna dywizja. Obciążenie systemu transportowego w czasie ćwiczeń będzie dużo mniejsze niż w warunkach wojny lub poważnego kryzysu. Wzrosną wówczas potrzeby komunikacyjne nie tylko armii, lecz także całej gospodarki oraz ludności cywilnej.

W Polsce dokonano się i nadal dokonuje wiele inwestycji infrastrukturalnych poprawiających mobilność strategiczną, potrzeby są jednak tak pilne i ważne ze względu na obronność państwa, że udroźnienie „szlaków życia” powinno stać się wielkim programem narodowym. Absolutnie niezbędne jest uwzględnienie potrzeb obronnych przy rozbudowie infrastruktury drogowej oraz kolejowej, usunięcie „wąskich gardeł” utrudniających przemieszczanie ciężkich pojazdów i kolumn wojsk, odpo-

wiednie dostosowanie mostów i innych obiektów inżynierskich.

Dochodzi do tego utworzenie suwerennych środków transportu morskiego.

W tym ostatnim przypadku byłaby to budowa floty polskich statków, co wymagałoby adekwatnych modeli finansowania. W niektórych przypadkach, np. popularnych masowców, mogłoby ono przyjąć formę „umów uszpionych”, na podstawie których armatorzy otrzymaliby od rządu pieniądze za gotowość do realizacji działań obronnych. Podobne rozwiązania funkcjonują choćby w Stanach Zjednoczonych. W przypadku jednostek specjalistycznych, np. gazowców LNG, potrzebne są polityczne zielone światło i odważne decyzje biznesowe armatorów.

Jest to jednak gra warta świeczki. Rozbudowa całego systemu, przy jednoczesnym dofinansowaniu pozyskania nowych statków, jest kluczowa dla Polski ze względu na zawarcie wieloletnich (w niektórych przypadkach ponad 20-letnich) kontraktów na dostawy LNG. Według rządowych prognoz to właśnie ten surowiec daje nam szansę na skuteczne zdywersyfikowanie kierunków pozyskiwania gazu. Jednocześnie wstępne analizy pokazują, że poniesione nakłady szybko się zwrócą, zwiększając wartość i konkurencyjność polskich armatorów. Realizacja takich przedsięwzięć to również długoterminowy zysk w postaci zaawansowanych kompetencji pozyskanych przez firmy i ich kadry.

Udrożnienie Polski na wypadek wojny lub kryzysu musi mieć charakter kompleksowy, tak aby na żadnym odcinku nie dochodziło do zagrożenia blokadą czy przeciążeniem. Bardzo pożądaną inwestycją strategiczną jest w tym kontekście Centralny Port Komunikacyjny – zarówno samo lotnisko, jak i powiązane z nim projekty kolejowe oraz w pewnym stopniu drogowe.

Korytarze logistyczne są niezbędne do przetrwania państwa, to inwestycja w być albo nie być, a przy okazji koło zamachowe gospodarki, dlatego nie może przy ich budowie zabraknąć polskich przedsiębiorców budowlanych czy armatorów kładących podwaliny nie tylko pod prosperity swoich firm, lecz także bezpieczeństwo państwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Warszaw Enterprise Institute, tekst oddaje jego prywatne poglądy.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Przygoda sylwestrowa

Jesteśmy – znaczy ja i moja rodzina – z gatunku tych ludzi, którzy nie przepadają za sylwestrem. Planowanie imprez, kreacji, szampańskiej zabawy, wymyślanie karkołomnych planów pod koniec sierpnia to nie nasza bajka.

W tym roku postanowiliśmy zatem uciec do znajomego, który mieszka w Amsterdamie. On sam akurat gdzieś wybył i zostawił nam klucz do mieszkania. Podróż nie zaczęła się najlepiej. Okazało się, że nie tylko my skorzystaliśmy z promocji LOT i postanowiliśmy ruszyć do Amsterdamu. W efekcie nastąpił overbooking, jakiego w życiu nie widziałem. Przy „gejcie” na lotnisku kłębił się mały tłumek ludzi, dla których zabrakło miejsc w samolocie. W tym i nasza trójka.

Sceny były dramatyczne. Jakaś Ukrainka dostała hysterii i łkając, opowiadała, że jeśli nie polecą tym samolotem, to jej życie się zawali. Jakaś nobliwa pani ponuro dowodziła, że musi zdążyć na przesiadkę do Chicago. Jakiś młody biznesmen groził pozwami. Nam atmosfera nerwowości się nie udzieliła. Po raz pierwszy od dawna nie musieliśmy się spieszyć i rozkoszowaliśmy się tym luksusem.

Koniec końców do samolotu się nie dostaliśmy. Poleciliśmy przez Berlin, co dało mi okazję zetknięcia się z lotniskiem Tegel. Powinien je zobaczyć każdy człowiek, który nie lubi Niemiec. Ciasne, stare, brudne, z zasiekami kiblami, bardziej z lat 80. niż 90. ubiegłego wieku.

Nowe lotnisko buduje się od lat i nie wiadomo, kiedy zostanie ukończone. Na razie to Tegel jest wizytówką stolicy Niemiec.

Ale przyjemniejsze było to, że w ramach rekompensaty każdy z nas miał obiecane od LOT 250 euro. Nic dziwnego, że podczas wydłużonej podróży z przesiadką humory nam dopisywały i radośnie planowaliśmy, jak przełujemy w Amsterdamie niespodziewany zastrzyk eurosów. Jedynie nasz syn Tymon zastrzegł groźnie, że na nic nie będzie wydawał, tylko zachomikuje kasę.

W przededniu sylwestra urządziliśmy sobie całodzienną wycieczkę do pięknej Antwerpii. Wróciliśmy wyczerpani późno w nocy i... nie możemy otworzyć drzwi. Okazało się, że ktoś z nas przed wyjściem włożył klucz do zamka od wewnątrz. Drzwi się zatrzasnęły, ale teraz nie mogliśmy ich otworzyć z zewnątrz.

Cóż było robić. Wezwaliśmy ślusarza. Jego interwencja miała kosztować 100 euro. Ale kiedy przyjechał około północy, cena zaczęła rosnąć. Przypomniał sobie, że jest niedziela. I po udanej operacji urosła ostatecznie do 400 euro (z VAT).

I już wiedzieliśmy, na co pójdą pieniądze z odszkodowania. Spojrzeliśmy na Tymona. – Na mnie nie liczcie. Już mówiłem, że się do niczego nie dokładam – oświadczył stanowczo.

Dalszy pobyt w Amsterdamie przebiegł spokojnie, acz skromnie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Polski cierń

Specjaliści od groźnych pomruków wydawanych przez Rosję są w kłopot. Na różny sposób usiłują zinterpretować ostatnią bezprzykładną agresję propagandową przeciwko Polsce. Obrzydliwą w tonie i arcykłamliwą w treści. O co tu chodzi? O odwet za utrudnianie operacji Nord Stream, reakcje na wzmacnianie flanki NATO, alergię na pomysły, żeby dawne demoludy zmienić w Międzymorze? Też. Chociaż moim zdaniem powodów należy szukać w sferze symbolicznej.

Polska od zawsze była cierniem, który co jakiś czas przekławał balon moskiewskiej pychy

Putin ma historyczną obsesję na tle Polski – jaki kraj uczyniłby dzień wypędzenia Polaków ze swej stolicy świętem narodowym? Nie Mongołów, Francuzów, nie bliskich zajęcia Moskwy Niemców? Oczywiście chodzi o całość. Polska od zawsze była cierniem, który co jakiś czas przekławał balon moskiewskiej pychy. Unia z Litwą na kilkaset lat zatrzymała w łapach Moskowię do Europy. (A gdyby Kazimierz Jagiellończyk pomógł swego czasu Nowogrodowi Wielkiemu, może powstałoby tam normalne państwo, a nie

samodzierżawna tyrania). Batory poskromił Iwana Groźnego, Żółkiewski zajął Kreml i gdyby Zygmunt III nie przeszkodził, mielibyśmy monarchię Wazów aż do Władystoska (pozostało jedynie wspomnienie „hołdu ruskiego”, kiedy carowie Szujscy bili łbami w posadki warszawskiego zamku).

Udało się rozgrabić Rzeczpospolitą, ale kłopoty pozostały. To Polska, zrywając się do kolejnych narodowych powstań, powstrzymywała bratnią pomoc kacapii dla zachodniej Europy. Nie dała się zrusyfikować, nie ugryzła zatrutego jabłka panslawizmu, Solidarnością nadwątlila kontynuację imperium zła. Ale to Władimir Władimirowicz, wierny uczeń Stalina i wyznawca imperialnej religii, może by odpuścił i przy pomocy użytecznych idiotów szerzył na postępowym Zachodzie własną narrację. Jednak u schyłku 2019 r. w prawdziwy szal musiała wprawić go informacja o Łuku Cudu nad Wisłą, który wreszcie powstanie w Warszawie w 2020 r.

O 18. najważniejszej bitwie w dziejach polska narracja wdrze się w przestrzeń publiczną, a do sytych i możnych obywateli Zachodu może dotrzeć, kto im te sytość i bezpieczeństwo załatwił. Komunizm mógł wygrać. Ale nie wygrał. Dzięki polskiemu uczniakom, chłopom, robotnikom, księżom. I tego w swych kąpiących od złota pałacach nowy car przeboleć nie może. Chociaż będzie musiał! ©©



Jan Parys

Szanowny Panie Kisterze!

Z okazji Nowego Roku redakcja „Süddeutsche Zeitung” poświęciła swą uwagę m.in. mojemu krajowi, tj. Polsce. Portal Deutsche Welle opublikował po polsku Pański artykuł, w którym postawił Pan tezę, że Polska wdraża nacjonalistyczny model polityki. Nie wiem, kiedy Pan był w Polsce i z kim Pan w Warszawie rozmawiał. Pragnę wyjaśnić, że obecny rząd wdraża nieliberalny model rozwoju gospodarczego. Jak pokazują statystyki OECD, jest on skuteczny, bo od paru lat Polska rozwija się szybciej niż wiele innych państw w Unii Europejskiej. Model ten nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem, lecz jest oparty na odrzuceniu tzw. konsensusu waszyngtońskiego, który stanowi dogmat gospodarki liberalnej. Polska gospodarka rozwija się w tej chwili zgodnie z zapisem naszej konstytucji jako system społecznej gospodarki rynkowej. Zamiast się cieszyć, że Polska jako sąsiad Niemiec ma szybki wzrost gospodarczy, ma małe bezrobocie i jest stabilna politycznie, Pan nazywa obecną sytuację w Polsce największą porażką Europy. Czy naprawdę zależy Panu na tym, by obok Niemiec były państwa targane kryzysami gospodarczymi i politycznymi? Czy Pan życzy Polakom milionowych demonstracji i walk na ulicach? Czy taki jest cel Unii Europejskiej wobec Polski? Jeżeli jest Pan rzeczywiście demokratą, to proszę szanować władzę w Polsce, która po raz kolejny z rządu otrzymała mandat od społeczeństwa!

Mam wrażenie, że operuje Pan niezwykle uproszczoną wizją świata. Skoro deklaruje się Pan jako zwolennik liberalizmu, to polecam Panu lekturę książki Johna Rawlsa pt. „The Law of Peoples” („Prawo ludów”). Rawls jest niewątpliwie światowym autorytetem jako myśliciel i liberał. W jego książce znajdzie Pan jednoznaczne stwierdzenia o tym, że należy odrzucić idee rządu światowego i jeden model rozwoju, jako utopię. Skoro świat jest zróżnicowany, to jedność religijna, polityczna i filozoficzna świata nie jest możliwa. Rawls stworzył także pojęcie społeczeństw rozsądnych i nieliberalnych. Jako prawdziwy liberał był zdolny do faktycznej tolerancji i akceptował ustroje nieliberalne. Pisał także, że samostano-

The screenshot shows a DW (Deutsche Welle) article page. At the top is the DW logo and the tagline "Made for minds." Below is a navigation bar with "START", "MEDIATEKA", and "NAUKA NIEMIECKIEGO". A secondary bar lists various topics: "POLITYKA", "GOSPODARKA", "SPOŁECZYSTWO", "KULTURA", "PRASA", "EUROPA", "PRACA", "STUDIA", "PROJEKTY". The article is dated "Data 31.12.2019" and written by "Autor Jacek Lepiarz". The title is "SZ: Węgry i Polska – największa porażka Europy". The subtitle reads: "Nieliberalne demokracje w Europie Środkowo-Wschodniej, przede wszystkim Węgry i Polska, wdrażają nacjonalistyczny model polityki. To największa porażka wspólnej Europy – pisze „Sueddeutsche Zeitung”." Below the text is a photo of Viktor Orbán and Donald Tusk shaking hands. A caption identifies them as "Premier Węgier Viktor Orbán w Warszawie". A quote from Kurt Kister is highlighted: „Państwa, w których panuje nieliberalna demokracja, coraz bardziej podważają system wartości Zachodu, zarówno w Unii Europejskiej, jak i w Stanach Zjednoczonych. Być może Unia Europejska, taka, jaką znamy dziś, za kilka lat przestanie istnieć” – pisze we wtorek redaktor naczelny największej opiniotwórczej gazety niemieckiej „Sueddeutsche Zeitung”.

Sumienie europejskiego liberała

wienie jest dobrem i prawem każdego narodu.

Pragnę także przypomnieć, że Karta Narodów Zjednoczonych nie przewiduje, by ktokolwiek miał prawo ingerować w ustrój wewnętrzny państw członkowskich. Także traktat o Unii Europejskiej gwarantuje państwom prawo do zachowania tożsamości i troski o bezpieczeństwo. Na jakiej więc podstawie

filozoficznej czy prawnej zaczyna Pan potępiać rozwój sytuacji w Polsce czy na Węgrzech? Na jakiej podstawie upowszechnia Pan opinie, że rozwój pewnych państw to porażka? Kto dał Panu prawo, by stwierdzać, że jest tylko jeden właściwy model rozwoju, a inne drogi to cywilizacyjny błąd i regres? Czy takie oceny są wyrazem Pana demokratycznych i liberalnych poglądów?

Czy naprawdę sądzi Pan, że ktokolwiek w Europie uwierzy, iż to Niemcy, jako naród winny wywołania dwóch światowych wojen, są uprawnieni, by pouczać inne kraje, czym są wartości Zachodu? W Polsce są groby 6 mln obywateli zamordowanych w czasie ostatniej wojny. Zwykła przyzwoitość wymaga zatem, by Niemcy nas nie pouczali, czym jest demokracja, i o nic nie oskarżali, zwłaszcza o nacjonalizm!

Różnię się z Panem w opiniach na temat Unii Europejskiej. Uważam bowiem, że społeczeństwa nieliberalne też mają prawo do istnienia w Europie. Unia, na razie, na szczęście nie przewidziała żadnego obowiązującego modelu gospodarczego czy politycznego. Książka Fukuyamy, na którą Pan się powołuje, to przykład naiwnej publicystyki, co widać chociażby na tle takich autorów jak Huntington czy Brzeziński.

Zgadzam się z Panem, że Unia Europejska może przestać istnieć. To możliwe, jeżeli jej urzędnicy będą łamać traktat. Nie byłoby brexitu, gdyby urzędnicy UE byli zdolni do zawierania kompromisu, gdyby UE nie narzucała Brytyjczykom rozwiązań w zakresie migracji i sądownictwa. Unia może przestać istnieć, jeżeli jej politycy będą reprezentowali partykularne interesy. To także możliwe, jeżeli politycy, zamiast rozwiązywać ważne problemy, będą je sami stwarzać, np. sprowadzając do Europy migrantów. Przecież wszyscy racjonalnie myślący ludzie wiedzą, że sprowadzanie migrantów nie rozwiązuje kwestii przyczyn migracji i jest sprzeczne z wolą europejskich społeczeństw. Jeżeli politycy niemieccy będą próbowali zastępować polski rząd, by decydować, kto ma Polskę reprezentować we władzach UE, to na pewno Unia ulegnie destrukcji. Jeżeli rzeczywiście zależy Panu na przetrwaniu Unii Europejskiej, to powinien Pan przeciwstawiać się narzucaniu skrajnych ideologii dotyczących klimatu czy wychowania. Bo na skrajności w Europie nie ma miejsca, tak jak nie ma miejsca na dyktaturę ideologiczną. Unia potrzebuje dziś przede wszystkim kultury partnerstwa, a nie piętnowania czy pouczenia. Pana tekst jest dowodem na to, że tej kultury partnerstwa nadal w Europie brakuje, że elita nie potrafi zrozumieć lekcji, którą był brexit, że nie szanuje obywateli, tylko wybiera ideologię.

Nie będę oceniał czy bronił rozwoju na Węgrzech. Węgrzy mają swoich polity-

ków. Zapewniam Pana, że Polska nie jest krajem nacjonalistycznym. Taki osąd to po prostu wprowadzanie w błąd niemieckiej opinii publicznej. Być może pouczając innych, chce Pan leczyć własne poczucie winy za to, co Niemcy wyrządziły Europie w XX w. W Polsce nie ma takich zagrożeń dla mniejszości żydowskiej, jakie są w tej chwili w Niemczech. Gdyby Pan spojrział na statystyki UE, to wiedziałby Pan, że Polska przyjęła więcej migrantów niż wiele innych państw. Jesteśmy krajem otwartym i wolnym. Ustrój, który jest u nas rozwijany, można nazwać solidaryzmem społecznym zbudowanym na wartościach konserwatywnych i chrześcijańskich. O ile wiem, wyznawanie takich wartości jeszcze nie jest zakazane w Europie. Emancypacja kobiet, o której Pan wspomina w swym artykule, w Polsce zaistniała wcześniej niż w Niemczech. Płace kobiet w Polsce są bardziej bliskie płacom mężczyźn, niż to ma miejsce w Niemczech. Obecny rząd zabiega o to, by po okresie narzuconego nam komunizmu zaistniał w Polsce faktyczny trójpodział władz. Faktyczny to znaczy taki, w którym każda z władz wykonuje swe funkcje zapisane w konstytucji i nie ingeruje w zadania pozostałych. To oznacza, że sędziowie nie mogą tworzyć kasty, która nadaje kształt prawu i zastępuje suwerena.

Dlaczego pisze Pan o Polsce jako o kraju półautorytarnym? Co to ma wspólnego z faktami? Jestem zaskoczony, że redaktor poważnego pisma może być pozbawiony elementarnych informacji. Chyba że dla Pana prawda nie ma znaczenia, lecz liczy się wojna ideologiczna z każdym, kto nie ulega liberałom.

Wolność sztuki w Polsce istnieje, bo może Pan zobaczyć u nas wystawy, filmy i przedstawienia, które są bardzo różne. Skoro pisze Pan o wolności prasy, to przypomnę, że to niemieckie media ukrywały przestępstwa w Kolonii. W Polsce coś takiego jest niemożliwe. Mamy bardzo różne telewizje, radia i gazety. Zresztą wiele z nich ma właściciela niemieckiego. Czy niemieckie portale i gazety ktoś w Polsce cenzuruje? Czy władza wpływa na artykuły drukowane w gazecie, której współwłaścicielem jest Soros? Przypomnę Panu, że np. parę lat temu to szef niemieckiego koncernu prasowego w Polsce pouczał dziennikarzy, co mają pisać o sporze z rządu z Komisją Europejską.

Dzisiaj Europie nie zagraża faszyzm ani nacjonalizm. Zagrożeniem jest nie-

miecka chęć dominacji w Europie. Zagrożeniem jest zarożumiałość ludzi, którzy nigdy nie zrozumieli, czym jest wolność i czym jest liberalizm, którzy utożsamiają liberalizm z jedynym dopuszczalnym modelem życia i myślenia. To tacy ludzie przez brak kultury partnerstwa doprowadzą do śmierci Unii Europejskiej. Apeluje, by Pan to przemyślał, zanim zacznie Pan kogokolwiek potępiać i pouczać.

Polacy nie chcą wzorować się na poprawności politycznej, która panuje w mediach niemieckich, chociaż Niemcy uważają, że są wzorem demokracji liberalnej. Polacy nie chcą systemu władzy, jaki jest we Francji, bo tam liberalizm polityczny kompromituje się od roku co tydzień. To we Francji w ostatnim roku było kilkunastu zabitych, 3 tys. uwięzionych za demonstracje i 5 tys. ciężko rannych. To nie jest chyba dla nikogo wzór demokracji. Nie chcemy takiego systemu jak w Hiszpanii czy Holandii, gdzie wojsko walczy z demonstrantami. Wszystkie wymienione kraje uchodzą za liberalne, a sytuacja w nich jest empirycznym dowodem na niezdolność współczesnych liberałów do kierowania społeczeństwami, dowodzi, że nie rozumieją współczesnego świata, że nie reprezentują ani demokracji, ani wolności.

Pan o tych prawdziwych problemach występujących w liberalnych ustrojach w Europie milczy, a potępia Polskę i Węgry. Czy na takiej hipokryzji polega sumienie liberała? Zatem zanim zacznie Pan oskarżać innych, proszę spojrzeć krytycznie na swoje liberalne podwórko. To nie Węgry i Polska rozbijają Europę tendencjami odśrodkowymi. My chcemy zachowania elementarnego rozsądku i prawa do wolności dla każdego narodu. Nikomu nie narzucamy swoich ideałów. Proszę nie wchodzić do naszego domu bez zaproszenia i nie urządzać nam naszego kraju. W Europie nie ma zgody na uniformizm proponowany przez liberałów, bo to przypomina czasy komunistyczne. I proszę nie wymuszać na nas podporządkowania wspomnianiem zagrożenia ze strony Chin. Aby rywalizować z Chinami, Europa nie potrzebuje zamordyzmu, lecz współpracy z USA. I to właśnie Polska stara się wzmacniać sojusz z USA dla dobra całej Europy.

**Z poważaniem
dr Jan Parys,
pierwszy cywilny minister obrony RP**

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Książę Michał Radziwiłł z narzeczoną Jeanette Suchestow na tarasie w Monte Carlo (1938 r.) FOT. NAC

Szalony książę



Tomasz Lenczewski

Był jednym z dwóch przedstawicieli książęcego rodu, którzy w czasie wojny zadeklarowali przynależność do narodu niemieckiego. Jak do tego doszło?

Urodził się jako syn wybitnego polityka Ferdynanda ks. Radziwiłła, ordynata na wołyńskiej Ołyce i wielkopolskich Przygodzicach, długoletniego posła do niemieckiego Reichstagu i przewodniczącego Koła Polskiego oraz członka pruskiej Izby Panów. Jego ojciec był odważnym bojownikiem, w granicach prawa, o sprawy polskie w niemieckim parlamencie. Michał, który z powodu długiej brody i płomiennej czupryny zyskał przydomek Rudy, od młodych lat pozostawał pod wpływem niemieckiej babki ojczystej z domu Clary et Aldringen.

Kiedy ojciec stawiał opór Kulturkampfu, młody książę-gimnazjalista popisał się hołdem złożonym „żelaznemu kanclerzowi” Bismarckowi. Jako najstarszy w rodzinie

był przygotowywany do objęcia ordynacji ołyckiej. W tym celu przyjął rosyjskie poddaństwo i zamieszkał w Rosji. Skończył studia na niemieckojęzycznej uczelni w Dorpacie i uzyskał doktorat prawa.

Młodość skierowano do rosyjskiej służby dyplomatycznej, której sprzyjała znajomość ponoć ośmiu języków. Początkowo przebywał w poselstwie madryckim, a następnie w wieku 28 lat objął posadę attaché ambasady rosyjskiej w Londynie. Rodzice oczekiwali od przyszłego ordynata „dobrego ożenku”. Wszystko jednak zmienił pobyt we francuskiej Baskonii.

ŚLUB PRAWOSŁAWNY

W 1898 r., podczas wakacji w swojej willi nad Atlantykiem, książę poznał dwie panie de Bénardaky, matkę i córkę, które prowadziły wystawny tryb życia w Biarritz. Rodzina Bénardaky, Rosjan o greckich korzeniach (przodkowie wywodzili się z Krety i nosili nazwisko „Bernardakis”), należała do klasycznych dorobkiewiczów. Nicolas i Marie de Bénardaky, obydwie wykształceni, prowadzili salon artystyczny w Paryżu (występował tam m.in. Czajkowski). Jednak ze względu na afery finansowe nie cieszyli się dobrą reputacją. Ich córka Marie de Bénardaky za młodu była przedmiotem fascynacji i westchnień

bywalca ich salonu pisarza Marcela Prousta, który potem uwiecznił ją w kilku powieściach.

Po krótkim czasie książę Michał oświadczył się starszej od siebie o cztery lata Marie. Niewątpliwemu mezaliansowi starali się przeciwdziałać rodzice Michała. Syn jednak podczas wizyty ojca w Londynie udawał, że zmienił plany, i pozorował zaniechanie małżeństwa. Mimo to wkrótce doszło w Petersburgu do podwójnego ślubu: w cerkwi i tajnej ceremonii katolickiej.

Interwencja ojca m.in. u ministra spraw zagranicznych Rosji była spóźniona. Wybuchł skandal, pogębiony przez to, że matka panny młodej, Esther Maria de Bénardaky z domu Leybrock, niegdyś artystka śpiewaczka, była pochodzenia żydowskiego. Na domiar złego wkrótce nowo narodzony syn zaślubionej pary, Antoni ks. Radziwiłł, został ochrzczony przez popa. Była to jawna prowokacja ks. Michała Radziwiłła, który zaczął kontestować katolicką obyczajowość oraz wszczął kłótnie z ojcem o sprawy związane z ordynacją przygodzicką. Nadto domagał się coraz to wyższej pensji. W odwecie ojciec postanowił przekazać ordynację ołycką kolejnemu synowi. Ostatecznie Ołykę otrzymał najmłodszy potomek, książę Janusz Radziwiłł, dziedzic Nieborowa.

Do rodziców zaczęły docierać bulwersujące informacje o tym, co działo się w małżeństwie Michała. Traktował swoją żonę fatalnie, wręcz ją upokarzał. W porywie ataku furii wypchnął ją nawet z jadącego samochodu, co przypłaciła złamaniem nogi. Marnotrawny syn prowadził rozrzutny tryb życia, zaciągając coraz to nowe pożyczki. Wreszcie porzucił żonę z dwojgiem małych dzieci, a sam związał się ze starszą od siebie Joachimą de Medenilla, bogatą wdową, markizą o kilku tytułach.

Podczas wojny w roku 1915 przeprowadził rozwód cywilny z żoną, a Stolica Apostolska wkrótce w trybie przyspieszonym anulowała jego małżeństwo. Stary książę Ferdynand w trosce o wnuki (ojciec całkowicie o nich zapomniał) wynajął dla Marii i jej syna oraz córki Leontyny willę koło Bonn. Pod wpływem otoczenia opuszczona małżonka została gorliwą katoliczką. Zdaniem jej wnuka Leona hr. Skórzewskiego była „rozkoszna Rosjanka” o złotym sercu. Po tragicznej śmierci syna lotnika w 1920 r. żyła pod opieką swego zięcia i córki Leontyny hr. Skórzewskiej.

SZALEŃSTWA PRZYGODZICKIEGO ORDYNATA

W roku 1926 umarł książę Ferdynand Radziwiłł. Jego syn Michał powrócił do Polski i przejął ordynację przygodzicką. Rezydował w pałacyku myśliwskim w Antoninie, który był drewnianą budowlą o cylindrycznym kształcie. Z chwilą jego przyjazdu matka księżna Pelagia z Sapiehów opuściła Antonin. Swoją rolę na syna przegrała jeszcze przed laty ze swoją niemiecką teściową. Uważała go zresztą za nienormalnego.

Hrabstwo przygodzickie liczyło blisko 17 tys. ha ziemi ornej, lasów i stawów hodowlanych. Wraz z „Rudym” przybyła jego poślubiona w 1915 r. w Vaduz hiszpańska małżonka, która „nawnie go ubóstwiała i służyła mu jak niewolnica”. Czternaście lat później rozwiódł się z nią we francuskiej Bajonnie. Ważność tego rozwodu została zresztą zakwestionowana z powodu niezachowania procedur meldunkowych i katolickiego ślubu w Liechtensteinie. Książę związał się wtedy z 40-letnią angielską pielęgniarką Mary Atkinson, kobietą o małej inteligencji i prostackim zachowaniu. Wkradła się ona w jego łaski, pielęgnując go podczas choroby w Berlinie. Zapewniła sobie wpływ na jego życie do tego stopnia, że wymogła na podupadłym zdrowotnie ordynacie zgodę na zarządzanie majątkiem. Ich znajomi

wspominali, że właściciel był człowiekiem słabej woli o chwiejnej postawie w wielu kwestiach, którego Angielka wręcz terroryzowała.

Sam majątek był w podłej kondycji z powodu narastających długów i nieuregulowanych podatków. Z tego powodu groziło mu objęcie przymusowym zarządem. Michał ks. Radziwiłł nie znał się kompletnie na ekonomii, podejmował pod wpływem miss Mary sprzeczne decyzje. Zachowywał się tak, jakby nie znał wartości pieniądza, nieustannie balansował między rozrzutnością a formalnym skąpstwem w zwykłych drobnych sprawach. Prowadził wystawny tryb życia, zwłaszcza podczas zagranicznych wojaży. Do tego dochodził konflikt z rodziną, której życzył jak najgorzej. Posunął się do tego, że kazał usunąć, podobno z powodu zapachu, większość trumien z rodowej kaplicy na pobliski cmentarz.



Marie de Bénardaky, pierwsza żona Michała Radziwiłła FOT. WIKIPEDIA

Wobec kłopotów związanych z pobyt panny Atkinson w Polsce książę poradził, aby czasowo opuściła ona granice kraju, i umówił się z nią w Gdańsku. Kiedy przybyła do Wolnego Miasta, księcia nie było. Zdecydowała się zastawić swoją biżuterię i powrócić do Anglii. Zdesperowana, pozbawiona funduszy kobieta po dziewięciu latach luksusowego życia znalazła się na skraju nędzy. Książę milczał, a ona nie potrafiła poradzić sobie z wyekzekwowaniem zaległych czy obiecanych jej przez niego należności. W dodatku doszła ją prasowa wiadomość o planowanym małżeństwie swego pracodawcy z „krawcową”... W londyńskim hotelu

odebrała sobie życie strzałem z pistoletu w listopadzie 1937 r.

ŻYDOWSKA NARZECZONA

W czerwcu 1937 r. w uzdrowisku Badgastein koło Salzburga książę Radziwiłł poznał atrakcyjną brunetkę Jeanette (Żanetę) z Kranców Suchestow. Ta młodsza o 32 lata rozwódka o artystycznej duszy odmieniła księcia, który zgolił dla niej swoją słynną siwą już brodę.

Dwa miesiące później para spędzała schyłek lata w krynickiej Patrii, gdzie stary książę poczuł znowu młodość i oświadczył się Żanecie. Obydwój planowali ślub cywilny w Przygodzicach. Wybuchł kolejny skandal. Narzeczona była z pochodzenia niemiecką Żydówką, z wysokimi alimentami od męża przemysłowca z Drohobycza. Ponieważ sprawa jej ewentualnej konwersji na chrześcijaństwo komplikowała się (ostatecznie przyjęła prawosławie), pojawiły się plotki, że sam książę może przejść na judaizm... Rodzinę jednak zelektryzowała zapowiedź zapisania żonie części majątku oraz adoptowania jej syna z pierwszego związku.

W tej sytuacji córka Leontyna i brat księcia Janusz postanowili mu wytoczyć proces o ubezwłasnowolnienie i wystąpić o kuratelę z powodu „słabości umysłowej i marnotrawstwa”. Sprawy sądowe były prowadzone w okresie jego pobytu za granicą w latach 1937–1938. Świadkowie określali go m.in. jako człowieka „o karuzeli umysłowej”. Romans księcia Michała i Żanety przebywających we Francji nie schodził z pierwszych stron gazet. Równoległe pasjonowano się historią związku króla Anglii z panią Simpson. Podobno sprzedawcy gazet, rozprowadzając prasę, skandowali: „Simpson” – „Suchestow”.

W jednym z wywiadów książę na pytanie dziennikarskie o jego ślub z Żydówką odpowiedział, że w normalnym kraju, takim jak np. Anglia, nikogo to nie dziwi, więc on sam żąda w tym względzie takich samych praw, jakie mają angielscy lordowie. Rodzinie jednak udało się tym razem zapobiec małżeństwu. Podczas pobytu we Francji, gdzie para planowała wziąć ślub, polski konsulat odmówił księciu wydania świadectwa zdolności do zawarcia związku małżeńskiego. Dodatkowo pojawiła się kwestia nieważności poprzedniego rozwodu. Proces sądowy o kuratelę w Polsce oraz odcięcie księcia od funduszy sprawiły, że związek z piękną panią Suchestow się rozpadł. Ona sama

wróciła do byłego męża, który miał ponoć finansować jej niedoszłego narzeczonego podczas pobytu za granicą.

Żaneta wystąpiła na drogę sądową wobec księcia Michała, domagając się finansowej rekompensaty w wysokości 50 tys. funtów za niewywiązanie się z przysięczeń. Jednak Radziwiłł nie zamierzał zadośćuczynić jej żądaniom, zresztą sprawę przecięła wkrótce wojna. Co więcej, niebawem po tym rozstaniu, tym razem bez problemów ze strony prawnej i protestów rodziny, poślubił w maju 1938 r. Harriet Steward Dawson, córkę potentata giełdowego oraz wdowę po australijskim „rekinie” finansjery. Jej majątek szacowano na 75 mln zł. Był to czysty interes dla obu stron: nowej małżonki brakowało do próżnej chwały tytułu książęcego, a mąż nieustannie potrzebował gotówki.

NIEDOSZŁY NIEMIEC

Książę po ślubie wyrobił sobie nowy paszport i powrócił do swego majątku w Polsce, który objęto sądową kuratelą. Aż do wybuchu wojny z powodu przeszkód formalnych nie zdołała dojechać do niego nowa małżonka. Według dotychczasowych relacji ordynat przygodzicki miał entuzjastycznie witać wkraczające do Wielkopolski wojska niemieckie i deklarować, że „czuje się Wielkim Niemcem”. W istocie dopiero w styczniu 1940 r. dostał zgodę na powrót do majątku, gdzie przebywał w domowym areszcie.

W październiku 1940 r. miejscowy sąd niemiecki udzielił mu rozvodu z jego angielską żoną z powodu jej winy (miała rzekomo nazwać go „niemiecką świnią”). Tym samym został uznany za Niemca. Niemniej namiestnik Arthur Greiser orzekł konfiskatę jego dóbr na rzecz Rzeszy. Książę z kolei ofiarował swój zadłużony majątek Adolfowi Hitlerowi, licząc na rentę. Deportowany z Przygodzic schorowany ordynat znalazł schronienie m.in. w berlińskim szpitalu św. Jerzego i w Szwajcarii.

Korzystając z pomocy arystokratów niemieckich i wykorzystując nieporozumienia w sprawie swojego obywatelstwa pomiędzy najwyższymi urzędami III Rzeszy, nadal występował na drodze prawnej o uznanie swojej niemieckości. Ostateczną odpowiedź dostał dopiero w grudniu 1943 r. Specjalna ośmioosobowa komisja pod formalnym przewodnictwem przywódcy SS Heinricha Himmlera i z udziałem Ernsta Kaltenbrunnera zaopiniowała jego wniosek negatywnie. Uznano, że

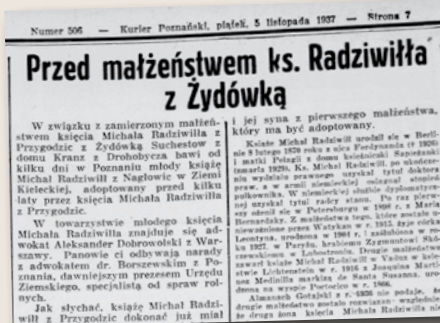
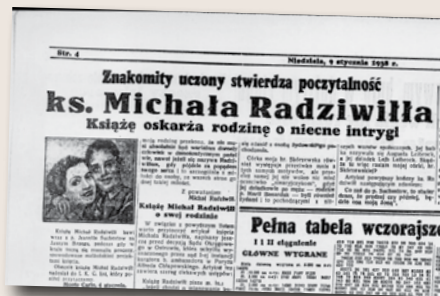
książę nie zasługuje na wpisanie na niemiecką listę narodowościową. Były trzy zasadnicze powody: publiczna deklaracja polskości sprzed 1939 r., tylko częściowe niemieckie pochodzenie (matka Polka) i – co najważniejsze – skandaliczne prowadzenie się (mezalianse, bigamia, oszustwa podatkowe i hotelowe oraz utracuszostwo).

W ten sposób książę uniknął formalnie, w odróżnieniu od innego swego wielkopolskiego kuzyna, stania się obywatelem III Rzeszy. To także próbował wykorzystać: po upadku reżimu Hitlera był jeszcze w Niemczech i na południu Francji mrzonkami, że alianci pomogą mu odzyskać utracony majątek. Wreszcie znalazł schronienie u swojej drugiej w kolejności hiszpańskiej eksżony. Pozwoliła mu ona zamieszkać w jej majątku na hiszpańskiej Teneryfie, gdzie dokonał żywota. Szczegóły z tego ostatniego okresu życia i miejsce pochówku pozostają nieznane.

Dziesięć lat wcześniej w Sydney zmarła, jako księżna Radziwiłłowa, jego angielska małżonka przekonana o śmierci męża w czasie wojny. Zdecydowanie negatywnie ocenił go wnuk Leon, ostatni hrabia Skórzewski. Z powodu narodowego zaprzaństwa dziadek pozostał dla niego „świnią i zdrajcą Polski”. W pojęciu potomka nie zasłużył nawet, aby go nazywać arystokratą. Z kolei Krzysztof Radziwiłł, zwany „czerwonym księciem”, ocenił krewnego jako psychopata, „na podłożu rodowej megalomanii”, który przyniósł rodowi Radziwiłłów „wiele wstydu” z powodu nie tyle mezalianсів, ile „skandali”.

Wydaje się, że Michał Radziwiłł „Rudy” był klasycznym kosmopolitą i ekscentrykiem, zafascynowanym niemiecką kulturą i mentalnością. Zachowywał się jak psychopata, a cechowała go mania wielkości (zwykły mawiać, że „są dwie Najjaśniejsze: – Rzeczpospolita i Radziwiłłowie”). Był człowiekiem o egoistycznym usposobieniu, popędliwym w działaniu, balansującym na granicy złośliwości, a nawet sadyzmu. Nie liczył się z uczuciami innych ludzi i bez refleksji folgował wszelkim swoim zachciankom. W dziejach książęcego rodu Radziwiłłów bywały osoby mniej lub bardziej kontrowersyjne, nie brakowało wśród nich szaleńców i zdrajców, ale postać Michała ze względu na jego proniemiecką postawę, notoryczne awanturnictwo i bujne życie osobiste wydają się przerastać wszystkich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Największe dziejowe dramaty mają to do siebie, że niekiedy zaczynają się jako komedia, by w późniejszych aktach dokonać metamorfozy w tragedię. Tak też było z historią stosunków między Wielką Brytanią a Państwem Środka. W roku 1793 cesarski dwór w Pekinie był świadkiem istnej farsy, gdy do Zakazanego Miasta przybyło brytyjskie poselstwo na czele z lordem George'em Macartneyem.

CESARZ I BARBARZYŃCY

Komizm wynikał w głównej mierze z tego, że zarówno goście, jak i gospodarze w kompletnie odmienny sposób postrzegali całą sytuację. Ambasador króla Jerzego III w swoim mniemaniu reprezentował potężnego, panującego nad wielkim imperium władcę, który pragnął nawiązać przyjacielskie stosunki handlowe i dyplomatyczne ze swym chińskim odpowiednikiem. Tymczasem sędziwy cesarz Qianlong z mandżurskiej dynastii Qing, widząc Brytyjczyków, uznał (całkowicie zgodnie z konfucjańską tradycją), że oto na jego dwór przybyli prymitywni półdzicy barbarzyńcy, którzy lekko wypelzli ze swych jaskiń i z lepianek, by oddać hołd Synowi Niebios. Brytyjski monarcha jawił się zasiadającemu na Tronie Smoka starcowi jako ubrany w skóry kacyk. Nic więc dziwnego, że kiedy mandaryni nakazali Macartneyowi upaść na twarz przed władcą Państwa Środka i na znak uwielbienia dziewięciokrotnie uderzyć czołem o podłogę, dumny Szkot odmówił podporządkowania się upokarzającej procedurze. Wybuchła potworna awantura, w której efekcie poseł ostatecznie przykląkł tylko na europejską modłę na jedno kolano, a samą audiencję uznano za nieoficjalną.

Poselstwo złożyło u stóp Tronu Smoka bogate dary, w których skład weszły takie osiągnięcia zachodniej techniki jak balon i dzwon do nurkowania, oraz przedstawiło cesarzowi propozycję wolnego handlu i otwarcia w Pekinie poselstwa. Qianlong wyśmiał butę Brytyjczyków i odprawił ich z kwitkiem, a do króla Jerzego wysłał list, w którym wprost nazywał brytyjskiego monarchę i jego poddanych barbarzyńcami.

DRZWI DO CHIN

Fiasko misji zaowocowało tym, że handel brytyjsko-chiński borykać się musiał z licznymi utrudnieniami. Jedynym otwartym dla obcokrajowców portem

Państwa Środka pozostawał Kanton i to do niego musiały zawiązać angielskie statki. Przybyszom z zagranicy wolno było kontaktować się tylko z posiadającymi specjalną rządową licencję chińskimi kupcami skupionymi w tzw. Kohong – gildii wyspecjalizowanej w handlu międzynarodowym. Członkowie owej organizacji dyktowali Brytyjczykom zabójcze ceny za pożądaną przez europejskich konsumentów herbatę. Napój ten stawał się bowiem coraz popularniejszy na Starym Kontynencie, co sprawiało, że do Kantonu

to w momencie, gdy w Państwie Środka zapanowała moda na palenie opium.

FAJKA ŚMIERCI

Wytwarzany z maku narkotyk znany był w Chinach od bardzo dawna. Z III w. n.e. pochodzą wzmianki o stosowaniu opium jako środka znieczulającego, wspomina o nim też chiński zielnik z X stulecia. W tamtych czasach używano go głównie w celach leczniczych i nic jeszcze nie zapowiadało, że stanie się ono plagą, która zrujnuje Państwo Środka.

Opium i krew



Łukasz Czarnecki

W roku 1839 Wielka Brytania wysłała do odległych Chin korpus ekspedycyjny, mający na celu ochronę interesów brytyjskich dilerów opium

przyłytywało więcej i więcej jednostek brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. W porcie zaczynało się robić tłoczno. Najgorsze jednak było to, że Chińczycy żądali, by za wywożone z Państwa Środka towary (oprócz herbaty była to np. porcelana) płacić im w srebrze. Cenny kruszec wyciekał z Wysp Brytyjskich szerokim strumieniem, by lądować w sakwach kantońskich kupców, z których w formie łapówki wędrował do szkatuły mandarynów, skąd ostatecznie trafiał jako podatek do cesarskiego skarbcza. Przez lata zdesperowani Anglicy próbowali zainteresować chińskich kontrahentów produktami swojej ojczyzny, wszelkie tego typu próby kończyły się jednak fiaskiem. Zmieniło się

Tymi, którzy przywlekli nad Żółtą Rzekę zwyczaj palenia opium w celach rozrywkowych, byli Holendrzy. Niderlandzcy kupcy i marynarze działający na Dalekim Wschodzie, odkrywając odurzające właściwości tego specyfiku, zaczęli dosypywać go do palonego w fajkach tytoniu. Z czasem nawyk ten przejęli chińscy kupcy, z którymi handlowali przybysze z Niderlandów, a jako że tytoniu w Państwie Środka nie uprawiano, zamiast mieszanki dwóch używek Chińczycy palili czysty narkotyk.

Opiumowy nałóg zaczął się rozprzestrzeniać niczym dżuma. Wkrótce palili już nie tylko ci, którzy mieli bezpośredni kontakt z obcokrajowcami, lecz także ludzie nigdy niewidzący cudzoziemca na

■ oczy. Narkotykiem odurzali się zarówno bogaci oraz wpływowi mandaryni, rozkoszujący się nim za pomocą szalenie drogich luksusowych fajek, jak i ubodzy rolnicy oraz kulisi, którym sprowadzane przez opium wizje dawały ułudę wytchnienia od ich ciężkiej codzienności.

Brytyjscy kupcy, widząc wielką popularność specyfiku, zaczęli masowo go sprowadzać z kontrolowanych przez Kompanię Wschodnioindyjską Indii. Indyjskich chłopów zmuszano do rezygnacji z uprawy roślin jadalnych, by zrobić miejsce na wielkie plantacje opium. Wkrótce zaowocowało to kolejnymi klęskami głodu na półwyspie, ale Brytyjczyków nie obchodziły ani umiarkujące z niedożywienia indyjskie rodziny, ani zabijający się powoli narkotykiem Chińczycy. Liczyły się tylko zyski, te zaś były astronomiczne! Kiedy w roku 1833 parlament w Londynie zniósł monopol Kompanii na handel azjatycki, w kierunku Chin ruszyły całe zastępy ambitnych biznesmenów pragnących zostać narkotykowymi dilerami. Co szczególnie oburzające, wśród ludzi chcących dorobić się na opium byli też... protestanccy misjonarze. Jeden z nich – wieloletni Karl Gützlaff (Niemiec pracujący dla angielskich narkotykowych baronów: Williama Jardine'a i Jamesa Mathesona) posunął się nawet do tego, że do rozprowadzanych przez siebie paczuszek odurzającej trucizny dodawał przełożone na język chiński cytaty z Ewangelii!

Srebro zaczęło płynąć w odwrotnym kierunku niż dotychczas – angielscy biznesmeni płacili za herbatę w opium, a głód tego specyfiku był w Państwie Środka tak wielki, że po dokonaniu transakcji herbacianej zostawały jeszcze dziesiątki, jeśli nie setki, ton opium, za które poddani Tronu Smoka musieli już płacić w cennym kruszcu. Skarbcze cesarstwa pustoszały w zatrważającym tempie, rozpętała się pożerająca chińskie dochody inflacja. Chłopi chińscy zapłatę za swój trud otrzymywali w brązowych monetach, ale podatki płacić musieli już w srebrze, ceny tego ostatniego zaś poszły drastycznie w górę. Przez całe cesarstwo przetoczyła się fala bankructw, a niemogący uiścić należności wobec cesarza rolnicy porzucali swe gospodarstwa i przyłączali się do pleniących się w trudnych czasach jak grzyby po deszczu band rozbójników.

Opium siało straszliwe spustoszenie w szeregach korpusu urzędniczego

i armii. Setki, jeśli nie tysiące, mandarynów przedkładało wypalenie fajeczki nad swoje obowiązki, a młodzieńcy zamiast przygotowywać się do egzaminów państwowych, woleli leżeć odurzeni na szezlongu i oddawać się narkotycznym wizjom. W wojsku było jeszcze gorzej – militarna siła dynastii Qing opierała się na pochodzących z Mandżurii dziedzicznych rodzinach wojowników. W pierwszej połowie XIX w. w cesarstwie panował jednak spokój, więc zarówno zwykli żołnierze, jak i oficerowie nudzili się jak mopsy. Wolny czas, którego mieli za dużo, zabijali więc alkoholem, rozpustą i opium. Nie minęło dużo czasu, gdy większa część sił zbrojnych Państwa Środka zamiast trenować sztuki wojenne, spędzała dni na narkotyzowaniu się.

Tymczasem handel opium był w Chinach nielegalny. Narkotyk wpływał na rynek Państwa Środka dzięki łapówkom dla przekupnych kantońskich urzędników bądź w efekcie przemytu na olbrzymią skalę.

LIN „CZyste Niebo”

W końcu rząd w Pekinie, widząc, co się dzieje, trzasnął pięścią w stół. Do Kantonu wysłano jako komisarza ze specjalnymi uprawnieniami słynącego z nieprzekupności mandaryna – Lina Zexu. Zadanie, które postawił przed swoim przedstawicielem cesarz Daoguang, było jasne: wykorzystać handel opium. Imperator miał już serdecznie dość unoszących się nad Państwem Środka oparów narkotycznego dymu, od którego uzależnili się nawet jego synowie.

W Kantonie urzędnik, z racji swej prawności zwany „Czystym Niebem”, wziął się ostro do pracy. Ogłosił, że obrót opium będzie od teraz karany śmiercią. Równocześnie zaczął organizować służby medyczne, mające pomóc narkomanom wyjść z nałogu. Do lochów trafiło 1,6 tys. Kantończyków powiązanych z handlem narkotykami, palaczom skonfiskowano ponad 42 tys. (!) fajek i położono rękę na 41 845 skrzyniach z opium.

Efekty kampanii Lina Zexu robiły wrażenie. Był jednak pewien problem – narkotyk skonfiskowano wyłącznie Chińczykom. Prawdziwi sprawcy nieszczęścia – brytyjscy kupcy – siedzieli bezpieczni w murach swojej kantońskiej faktorii i śmiali się cesarskiemu komisarzowi i śmiali się cesarskiemu komisarzowi w twarz, licząc już zyski, które przyniesie im rzucenie na rynek tysięcy ton opium,



spoczywających w ich magazynach. Jeśli jednak dilerzy mniemali, że w swojej enklawie są poza zasięgiem „Czystego Nieba”, to szybko wprowadzono ich z błędu. Na rozkaz cesarskiego wysłannika wszyscy dbający dotąd o wygody Europejczyków chińscy służący złożyli wymówienie. Dla nieprzyzwyczajonych do zajmowania się gotowaniem i sprzątaniem brytyjskich „dżentelmenów” już samo to było strasznym ciosem, ale Lin nie wyczerpał tym posunięciem swojej inwencji. Wkrótce pod murami faktorii ustawiono olbrzymie gongi i bębny, w które bito dniem i nocą, nie dając Brytyjczykom zmrzyć oka. Ci ostatni początkowo starali się jeszcze trzymać fason, wciągając na maszt brytyjską flagę, ale po kilku dobach bez snu skapitulowali i wydali chińskiemu „Nietykalnemu” swoje zapasy opium.

Lin przystąpił teraz do ostatniego etapu operacji. Skonfiskowany narkotyk należało zniszczyć. Spalenie go nie wchodziło w grę, gdyby dziesiątki tysięcy ton opium oddano na pastwę płomieni, mieszkańcy Kantonu i najbliższych okolic jeszcze długo widzieliby na niebie smoki i jednorożce. Dlatego truciznę zmieszano z solą i utopiono w morskich odmętach.

Brytyjski atak i zdobycie wyspy Chuenpi na początku pierwszej wojny opiumowej
FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES



Dokonawszy tego dzieła, „Czyste Niebo” wysłał do Europy list adresowany do królowej Wiktorii, w którym prosił ją o utemperowanie jej handlujących środkami odurzającymi poddanych.

CHIŃSKI SMOK NA KOLANACH

Więści o kantońskich wydarzeniach szybko (jak na tamte czasy) dotarły do Londynu. Wywołały one burzliwą debatę w parlamencie. Podczas gdy rząd bronił handlu opium, opozycja atakowała ów proceder jako niehumanitarny. Doszło do dziwnego pomieszenia pojęć, gdy minister wojny – Thomas B. Macaulay – zaczął w swej przemowie łączyć interesy narkotykowych dilerów z patriotyzmem. Ostatecznie przewagą zaledwie dziewięciu głosów przegłosowano wypowiedzenie Chinom wojny, którą późniejszy premier William E. Gladstone określił jako najbardziej nikczemną ze wszystkich stoczonych przez Wielką Brytanię wojen.

Do pierwszego starcia doszło we wrześniu 1839 r., gdy dżonki chińskiej armady próbowały zatrzymać brytyjską flotyllę handlową. W czasie krótszym od kwadransa zostały posłane na dno. Potem było już tylko gorzej, z następ-

nyimi miesiącami na Daleki Wschód przybywały kolejne okręty brytyjskie. Bez większych problemów ich załogi zajęły strzegące Kantonu forty, po czym pożeglowały ku północy, siejąc spustoszenie na chińskim wybrzeżu.

Walczone również na lądzie i tu sprawy też nie wyglądały dla Chińczyków najlepiej. Zaczadzone opiumowym dymem wojsko Państwa Środka było nie tyle pokonywane, ile rozpędzane przez

choroby, takie jak dyzenteria, to żaden, powtarzam – żaden, nie zginął od chińskiej broni.

POCZĄTEK „WIEKU UPOKORZEŃ”

Gdy flota najeźdźców wpłynęła na Jangcy i ruszyła w górę rzeki ku Nankinowi, pekiński rząd spanikował i wdał się w negocjacje pokojowe. Ostatecznie na pokładzie okrętu „Cornwallis”, który wpłynął do nankińskiego portu, podpisano traktat pokojowy. Na jego mocy „Syn Niebios” otwierał dla angielskich kupców pięć portów swego kraju (oprócz Kantonu były to Xiamen, Fuzhou, Ningbo oraz Szanghaj), przekazywał Wielkiej Brytanii Hongkong, zobowiązywał się zapłacić za zniszczone opium 21 mln dol. w srebrze odszkodowania, zrzekał się jurysdykcji nad przebywającymi w Chinach poddanymi korony brytyjskiej i zwalniał europejskich dyplomatów z obowiązku składania mu dziewięciokrotnego czolobitnego pokłonu. Był to pierwszy z tzw. nierównoprawnych traktatów, których Państwo Środka miało jeszcze wiele podpisać w XIX stuleciu. Dla Chińczyków rozpoczynał się właśnie niesławny „wiek upokorzeń”, którego wspomnienie po dziś dzień wywołuje u nich dreszcze. Co było powodem tak miazdzącej klęski Państwa Środka, które wszak sam Napoleon Bonaparte nazwał „śpiącym olbrzymem”? – Zwycięstwo brytyjskie było w pewnej mierze spowodowane przewagą techniczną, zwłaszcza na morzu. Zaważył jednak rozkład organizacji i dowodzenia po stronie mandżursko-chińskiej, upadek myśli wojskowej, brak identyfikacji chińskich szeregowych z własnym państwem – ocenia

Opium siało prawdziwe spustoszenie w szeregach korpusu urzędniczego i armii. Setki, jeśli nie tysiące, mandarynów przedkładało wypalenie fajeczki nad swoje obowiązki

służących Koronie Brytyjskiej sipajów. Na wysokości zadania stanęła tylko mongolska kawaleria, ale jej nieustraszeni (i trzeźwi!) jeźdźcy mimo swej odwagi padali pokotem pod ogniem angielskich muszkietów. O dysproporcji sił przeciwników najlepiej świadczy to, że choć żołnierze królowej Wiktorii umierali w trakcie tej kampanii na wszelkiej maści towarzyszące działaniom wojennym

znawca dziejów Chin dr hab. Jakub Polit z Instytutu Historii UJ. – Rządząca elita mandżurska utraciła całkowicie impet zdobywczy, zamieniając się w próżniaków, pijaków i narkomanów.

Jak widać z dziejów cesarstwa w XIX w., gdy w narodzie panuje moralne rozprężenie, łatwo może on paść łupem obcych. I nie tylko Chińczyków to dotyczy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kawałek Mazur na Ukrainie



Monika Odrobińska

Sami nie wiedzą, jak się tu znaleźli.
Gwara mazurska, którą do dziś się posługują,
zanikła nawet na ich rodzimych ziemiach



FOT. MONIKA ODRÓBIŃSKA

Jak babusia nauczyli, tak zapamiętaliśmy. Potem księżde nas poprawiali, bo my po swojemu mówili, ale się nie dalimy. Po mazursku po dziś gadamy – Rozalia Stapasiuk ze wsi Maćkowce na Ukrainie twierdzi, że są tu od zawsze. – Moja prababcia leży tu na cmentarzu. Babusia tylko po polsku, znaczy po mazursku, umiała czytać i pisać. Po pierwszej i drugiej wojnie Polaków rozstrzeliwali, do Kazachstanu, na Syberię zsyłali, bo do „wrogiej organizacji»koło różańcowe«” należeli. Modlitwy to my tylko po polsku znamy, bo tak w domu uczyli. Do kościoła strach było chodzić, bo potem w szkole palcami wytykali. Mnie tak w 1984 r. na szkolnym apelu na środek korytarza wyciągnęli i obśmiewali, że ciemnota. Młodsze dzieci babusie pod zapaskami w kościele chowali.

BIBLIA ZA MLEKO

Mazurzy od XIV w. zamieszkiwali teren Prus Książęcych, czyli północnego Mazowsza. Aż do początków XIX w. gwara mazurska – powstała pod wpływem literackiego języka polskiego – obecna była w edukacji i języku religijnym. Wiele w niej było zapożyczeń z języków pruskiego i niemieckiego. Ci, którzy przenieśli się na tereny dzisiejszej Ukrainy, są jednymi z ostatnich

depozytariuszy tej gwary. Ci, którzy zostali, w większości ulegli bowiem germanizacji. Jeszcze w 1900 r. Jakub Szczepan napisał książkę „Ta swenta woyna” w całości po mazursku. Ślady tej gwary znajdziemy także w powieści reportażowej „Na tropach Smętka” Melchiora Wańkowicza, w niektórych szkołach na terenie Mazur organizowane są konkursy gwary mazurskiej, ale tych, którzy tym językiem posługują się na co dzień, spotkamy w ukraińskich wioskach – Szaróweczka, Maćkowce, Zarzecze, Greczany.

– Wy z Polski? – Tak, z Polski – odpowiada 87-letniej Walerii Mroczkowskiej z Maćkowców. – A mojego wnuka nie widziała? Wadik jemu, pojechał w sadku jabłka zbierać.

Waleria też od zawsze w polu pracowała. – To moje życie, to niech Bóg broni – mówi. – W 37 tatko zabrany do turm [więzienia – przyp. red.], a my ino z mamą. Czternaście lat mnie było, jak już pracowałam, łankową byłam. Dwadzieścia trzy baby w jednej łance, to my buraki rwaliśmy, we żniwa to ino sierpem, żadnym kombajnem. Pięć kopiejek za trudodzień – bida czarna. Po pracy mama barszczu zgotuje, to my jema. Rano wiadro żyto mama rozczynio, chleba upiecze. Jak na wojnę wywozili, ja

zostałam, a tak i mamę, i siostrę, i brata mi zabrali. Mama potem wróciła. Takie życie, niech Bóg broni.

– Ja tu urodzona, jak i tatko urodzeni – ciągnie Waleria. – U mnie nuta była, ale słów nie umiała, bo trzy klasy tylko skończyła, wojna nie dała uczyć się. Po wojnie chodziły po wsi księżde, mleko, śmietankę ludzie dla nich zbierali, a oni wozili do kościoła na Grzczany (dziś to dzielnica Chmielnickiego). Za te mleka i śmietany to ja Biblię i modlitewnik dostała. Po polsku napisane, to się zawzięła i polskich liter nauczyła się, i Biblię całą przeczytała. A modlitewniki spisywała ukraińskimi bukwami, ale polską mową.

Na Greczanach taki maleńki kościół był [kaplica pogrzebowa, dziś kościół św. Anny – przyp. aut.], a wiernych tyła, że ksiądz z ambony wszystkich spowiadał. Ni chrzczyć, ni na mszę chodzić, bo kościoły pozamykali, a jak kto do tej kaplicy chodził, to kłopoty miał potem. Dzieci chrzcili jeździłam aż pod Wołoczyską, jakieś 60 kilometrów. A tak kromie miasta to nigdzie nie była. Ino w Kijowie, ale to na wóz wlaźła, potem zlaźła, nawet nie wiem, gdzie powieźli.

Jak ksiądz chodził kołędować, to cały dzień i cała wioska z nim chodziła – od chaty do chaty. A na wieczór jedna wielka

wieczera. Tera to inaczej. A na Wielka-noc, to pani, pieczema, gotujema, świn-cima, jak słonko wschodzi i Pan Jezus zmartwychwstaje, zrywamo się z łóżka i hajda do kościoła. Kiedyś się chowalim, tera już wolno świątkować.

Dwadzieście sześć lat po różańcach chodziłam, po domach, a jak już wolno było, to pieniądze zbierałam i kościółek postawiłam. I co? I tera już do niego nie dojdę, nogi słabe. Życie takie, niech Bóg broni.

Z GÓRY, Z GÓRY JADĄ MAZURY

Mazurzy, jak tu, w okolicach Maćkowców, na nich mówią i jak sami siebie nazywają, jeżdżą do Warszawy dowiadywać się, w jaki sposób znaleźli się na terenach dzisiejszej Ukrainy. – Po wojnie z Turkami w 1656 r. cały Chmielnicki był zniszczony, Zamoyscy chcieli te tereny odbudować. Pieniądzy nie było, to zaczęli od zasiedlania tych terenów Polakami z Mazur – mówi Wiacesław Mraczkowski, prezes Towarzystwa Polskiej Kultury „Mazurzy”. – W herbie miasta Chmielnicki były symbole Zamoyskich. Ludzie chętnie tu przyjeżdżali, bo ziemie żyzne, co posieje – samo rośnie.

W Maćkowcach – choć to Ukraina, w większości przecież prawosławna – nie ma cerkwi, tylko kościół katolicki. Ten, na który Waleria Mraczkowska pieniądze zbierała. Dwadzieścia lat się budował, każdy tu włożył swoją cegiełkę, a od trzech lat się rozbudowuje. – Bo nas tu wyróżnia język i wiara – mówi Wiacesław. I chaty – jak na Mazurach: murowane, ze strzechą. A ulice tu mamy: Mickiewicza, Franciszkańska, jak w Krakowie, św. Jana Pawła II.

„A mowa nasza istnieje od dziadków, nas mamy i taty jewo uczyli. I my swoje dzieci i wnuków uczyli, by Polskę kochali” – tak w „Maćkowińskim walczyku” śpiewają Maćkowianki, 11-osobowy zespół, w którym od czterech lat udzielają się panie od 35. do 55. roku życia. Występują na festiwalach kultury polskiej w kościele, na odpustach, a na 11 listopada i Boże Narodzenie czy Noc Muzeów – także w Polsce. Piszę dla nich lokalna poetka. – W tej piosence jest wszystko: polska mowa, polska wiara i polska tradycja – mówi Natalia Bonder, artystka Maćkowianek. – Każdy język się odnawia, żyje, a nasza mowa – jak ją dziadkowie przywieźli, tak my mówimy dalej.

Przyjechał tu kiedyś językoznawca i podsumował, że po staropolsku jeszcze

mówią: właściwie to nie mówią, tylko „gadają”. Rowerek to u nich „darazinka”, korba to „kolbra”, galareta to „dragła”. A co wieś, to ten język inny. Choć Maćkowce, Szaróweczkę czy Greczany zamieszkują Mazurzy, to przywieźli ze sobą różne akcenty i ich mazurska mowa nieco się różni.

– Biskup Jan Niemiec, jak tu u nas był, to mówił: „Uczcie dzieci polskiego, ale w domu mówcie z nimi po maćkowiecku” – wspomina Natalia. – I tak gadamy po maćkowiecku, a nawet spowiadamy się po maćkowiecku. Jak raz tu ksiądz inny do nas przyjechał, mówi do mojego męża w konfesjonale: „Ani ten wasz język polski, ani ukraiński, gadajcie wy do mnie po ukraińsku”. A mąż na to: „Mogę po ukraińsku, ale nie chcę”, i dalej po maćkowiecku grzechy wyznaje.

Maćkowianki strojnie chcą na występach wyglądać, pytają więc najstarszych mieszkaneek wsi, jak stroje dobrać. – Ani to krakowskie, ani mazurskie – mówi Natalia. – Szerokie spódnice, zapaski, tak babusie chodzili, a wszystko mamy biało-czerwone, bo z daleka ma być widać, że my Polaki.

Natalii mama śpiewała „Koło okieneczka zakwitła jabłoneczka”, teraz piosenek dla zespołu wyszukuje w Internecie. Śpiewają piosenki ludowe, biesiadne, koledy, pieśni patriotyczne: „Niepodległa – niepokorna”, „Polskie kwiaty”, „Płynie Wisła”, „Majowa jutrenka” i oczywiście „Z góry, z góry jadą Mazury”.

DO POLSZY

Cztery lata temu powstało także towarzystwo Mazurzy, a od trzech lat wiejska szkoła ma nauczyciela języka polskiego. – To Polka z Ośrodka Rozwoju Edukacji – mówi Wiacesław Mraczkowski. – Szkoła działa w ukraińskim systemie nauczania, ale na przerwach dzieci ze sobą po polsku gadają. W poniedziałki, we wtorki

i w środy sześćdziesiątka dzieci przychodzi na wieczorne lekcje polskiego. Dzieci poznają też polską historię, literaturę i kulturę, bo tradycję polską z domu znają. Jeżdżą potem do Polski – w zeszłym roku cała czterdziestka była na wycieczce do kraju pradziadków.

– Moi synowie już w Polsce – mówi Rozalia Stapasiuk, także artystka Maćkowianek. – Wokół nas inna wiara, inna kultura, język inny, a my swojego pilnujemy.



Wież się wyludnia, bo ciężko utrzymać rodzinę. Ludzie pracowici, solidni, ale pracy brak. Dorabiają na bazarze, przy zbiorach; chaty i obejścia czyściutkie i zadbane. Opuszczane domy zasiedlają Ukraińcy – to Mazurzy do nich żartują, żeby poza swoją chatą po mazursku gadali, bo tu Mazury.

Synowie Natalii też już w Polsce. – Jeden studiował w Krakowie, firmę założył, starszy z krakuską się żeni – mówi. – I tak nasza mazurska wędrownica zatoczyła koło. Skąd my przyszli, tam wracamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest dziennikarką tygodnika „Idziemy”.

REALHISTORIK

Zbrodnia sąsiedzka



PIOTR ZYCHOWICZ

Naród polski z wielkim szacunkiem i pietyzmem odnosi się do swojej martyrologii. Pamięć o naszych zamordowanych rodakach stanowi fundament polskiej tożsamości historycznej. Jest to jednak pamięć selektywna. Jej reflektor rzuca swoje światło tylko na część polskich nieszczęść – inne pozostają w cieniu.

O ile każdy Polak wie, co się wydarzyło w Auschwitz, Katyniu i na Wołyniu, o tyle mało który wie o ludobójczej operacji polskiej NKWD. Inny przykład: straszliwa gehenna Polaków na Pomorzu, która miała miejsce w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej. To temat poza północną Polską niemal zupełnie nieznany.

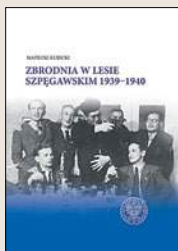
Tym większe uznanie należy się gdańskiemu oddziałowi Instytutu Pamięci Narodowej. Mowa o wydawanej przez tę instytucję biało-niebieskiej serii książek, w których przedstawiane są kolejne akty tragedii Polaków z Pomorza. Właśnie ukazała się kolejna z nich – „Zbrodnia w Lesie Szpęgawskim” Mateusza Kubickiego. Miejmy nadzieję, że ta znakomita monografia dotrze do jak największej liczby czytelników.

Las Szpęgawski to miejsce kaźni Polaków z pobliskiego Starogardu Gdańskiego, ale również z Tczewa, Pelpina i innych miejscowości. Autorowi udało się utworzyć listę imienną ofiar, na której znalazło się 2,4 tys. osób. Liczba ofiar mogła być jednak dwukrotnie wyższa. W Lesie Szpęgawskim Niemcy mordowali przedstawicieli polskich elit, ale również pacjentów ze szpitali psychiatrycznych.

Tak jak w przypadku innych pomorskich masakr olbrzymią rolę w zbrodni odegrał Selbstschutz. „Samooobrona” utworzona z obywateli II RP pochodzenia niemieckiego. Ludzie ci w latach 1939 i 1940 krwawo mścili się na swoich polskich sąsiadach za prawdziwe i urojone krzywdy. A przy okazji dokonywali aktów grabieży.

„Podstawą powstania maszyny terroru – pisze autor – była zbrodnicza ideologia narodowego socjalizmu oraz brak jakiegokolwiek kontroli zwierzchniej nad sprawcami. Po 1945 r. większość z nich osiadła w zachodnich Niemczech, unikając odpowiedzialności karnej za czyny popełnione podczas wojny”.

Tak, ta historia ma bardzo gorzkie zakończenie. ©©



★★★★★
MATEUSZ KUBICKI
„ZBRODNIA
W LESIE
SZPĘGAWSKIM
1939-1940”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pucz
Januszajtisa

Przewrót majowy nie był pierwszym zamachem stanu w dziejach II RP. Już bowiem na początku 1919 r. władzę usiłowała przejąć siła prawica, inna sprawa, że próba miała raczej operetkowy charakter. Największe zyski wyciągnął bowiem ten, przeciwko któremu zamach był skierowany, czyli Józef Piłsudski.

Naczelnik
nie chciał robić
z nieudaczników
męczenników

Komendant po powrocie z internowania w Magdeburgu uznał lubelski rząd Ignacego Daszyńskiego za zbyt radykalny, w efekcie nowym premierem został Jędrzej Moraczewski. Niebawem ukazał się podpisany przez Piłsudskiego i Moraczewskiego „Dekret o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej”. Piłsudskiemu (do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego) powierzono władzę, jako tymczasowemu naczelnikowi państwa. Jego dekrety wymagały kontrasygnaty odpowiedniego ministra, jednak członkowie gabinetu byli przez niego powoływani i przed nim odpowiedzialni, miało to więc znaczenie wyłącznie formalne.

Chociaż na czele rządu stanął przedstawiciel PPSD, to naczelnik był daleki od lewicowych poglądów. W rozmowie z socjalistami powiedział wprost: „Nie

chodzi o lewicę czy prawicę, mam tu w dupie. Nie jestem tu od lewicy i dla niej, jestem dla całości. [...] Sprawy wewnętrzne załatwi sejm, który na to właśnie zwołuję. Jaki będzie: lewy czy prawy – zobaczymy. Wszystkie moje wysiłki muszą iść w kierunku armii [...]. Potrzebuję żołnierza, słyszyście!”.

Jednak politycy prawicowi, którzy odmówili wejścia do rządu Moraczewskiego, uznali, że czas przejąć władzę w kraju. W nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. grupa spiskowców kierowana przez płk. Mariana Januszajtisa i księcia Eustachego Sapiechę aresztowała premiera oraz kilku ministrów. Sytuacja została opanowana po kilku godzinach, tym bardziej że inna grupa rebeliantów, która miała w Belwederze aresztować Piłsudskiego, dała się zamknąć (!!!) w jednym z pomieszczeń. Naczelnik nie chciał jednak robić z nieudaczników męczenników, zatem ich tylko zwymyślał i kazał im rozejść się do domów. Przywódcy spiskowców mieli zresztą zrobić kariery w służbie państwowej; Januszajtis awansował na generała, a Sapieha został posłem w Londynie i ministrem spraw zagranicznych.

Piłsudski właściwie był zadowolony z próby zamachu. Umożliwiło mu to dymisję rządu, a miał doskonałego kandydata na nowego premiera. Polaka, którego znał i podziwiał cały świat, gorącego patriotę, posiadającego fantastyczne kontakty wśród najwybitniejszych polityków. Był nim pianista Ignacy Jan Paderewski. ©©



NIEŻYCZLIWI MACRON

Francuzi, którzy czekali na świąteczne życzenia od prezydenta swojego kraju, w tym roku się ich nie doczekali. Emmanuel Macron po raz pierwszy nie złożył rodakom życzeń z okazji świąt Bożego Narodzenia. Francuscy prawicowi politycy wskazali od razu, że prezydent Francji nigdy nie zapomniał o złożeniu życzeń z okazji muzułmańskiego święta ramadan. Ale czy można się dziwić takiemu zachowaniu w kraju, w którym sądy nakazują samorządom usuwanie szopek bożonarodzeniowych, bo te „naruszają laickość państwa”?

FOT. YVES HERMAN/REUTERS/FORUM

KAŻDY MOŻE BYĆ CZARNOSKÓRY?

University and College Union z Wielkiej Brytanii określiła swoje stanowisko dotyczące tolerancji w sprawach gender. Lewicowi wykładowcy uniwersyteccy uznali, że mężczyźni identyfikujący się jako kobiety mimo oczywistych różnic anatomicznych powinni być traktowani jak kobiety. Ale poszli też o krok dalej. Deklaracja UCU stwierdza, że ludzie nie tylko powinni móc samodzielnie wybierać swoją płeć, lecz także że mogą sami się identyfikować jako LGBT+, osoby niepełnosprawne czy... czarnoskóre.

KANADYJCZYCY WYCIĘLI TRUMPA

Nie tylko w Polsce „tradycja” jest w świątecznym czasie emitowanie w telewizjach filmu „Kevin sam w domu”. W Kanadzie też ludzie muszą to oglądać. W tym roku jednak Canadian Broadcast Company zafundował widzom pewną zmianę. Otóż w filmie jest scena, gdy mały Kevin pyta napotkanego w hotelu mężczyznę o drogę do lobby. Tę wskazuje mu Donald Trump, który zagrał tam filmowy epizod. Tę scenę

CBC z filmu wycięło. Oficjalnie – by zyskać chwilę na emisję reklam w tym czasie. Ale internauci z Kanady doszukują się ogromnej niechęci do prezydenta USA.

ANTYRASISTOWSCY RASIŚCI

Uniwersytet w Edynburgu zapowiedział konferencję na temat równości – „Resisting Whiteness 2019”. Wydarzenie miało „wzmocnić głos ludzi kolorowych” i zapewnić im możliwość rozmowy. Jak zauważyły brytyjskie tabloidy, organizatorzy w zapowiedziach konferencji zaznaczyli, że osobom białym nie będzie podawany mikrofon zarówno jeśli chodzi o zadawanie pytań, jak i odpowiadanie na nie. Działacze antyrasistowscy uznali takie działania za jawnie rasistowskie i je potępilli.

BIAŁO W MOSKWIE

Tuż przed Nowym Rokiem stolica Rosji przygotowywała się do hucznych obchodów. W weekend poprzedzający sylwestra ciężarówki zwoziły do centrum Moskwy śnieg, bo w tym roku w grudniu spadło go niewiele. Władze zapewniały, że śnieg nie jest sztuczny. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Interesy z Rosją



ŁUKASZ WARZECHA

Atak Putina i jego kamaryl na Polskę, pełen kłamstw, przeinaczeń czy wyjętych z kontekstu faktów (choćby kwestia Zaolzia – bez wspomnienia o tym, że zostało ono zajęte przez Czechosłowację z pogwałceniem tymczasowych porozumień w 1919 r., a Czesi dopuścili się na polskich jeńcach w czasie tego konfliktu zbrodni wojennych) jest słabym momentem do toczenia wewnętrznych sporów.

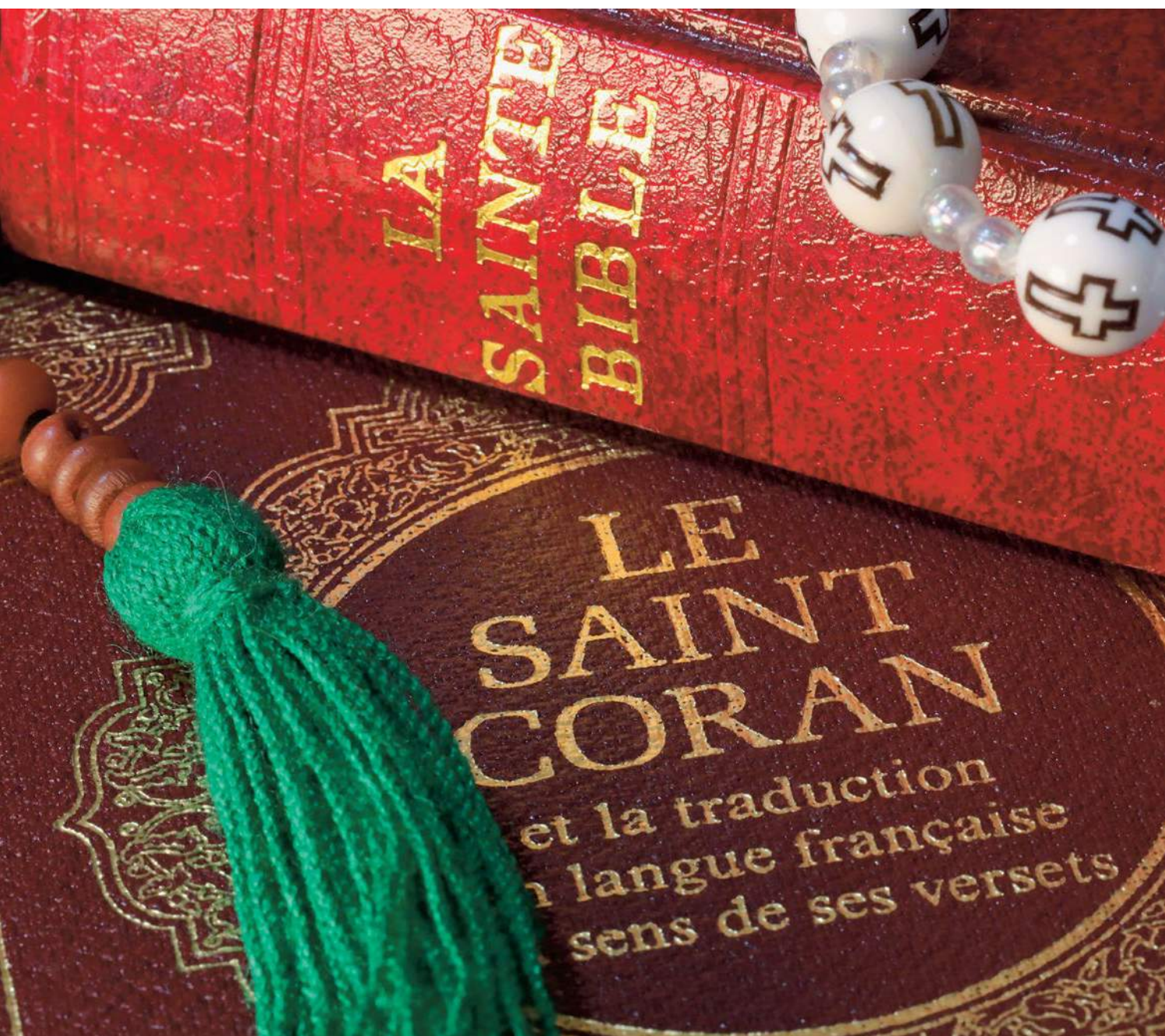
Twierdzenie, że gdyby Polska była pupilkim Francji i Niemiec, oba te państwa dzielnie broniłyby nas przed rosyjskimi potwarzami, jest absurdał. Polska polityka

Francja ma prezydenta, który postanowił swoją pozycję budować na zbliżeniu z Kreml i wrogości wobec państw Europy Środkowej

zagraniczna była skrajnie ugodowa za Tuska, także wobec Moskwy, co w żaden sposób nie uchroniło nas przed rosyjskimi gierkami i nie sprawiło, że nasi zachodni partnerzy zmienili zasadniczo swój stosunek do Rosji.

Oczekiwanie, że tak miałyby się stać, gdybyśmy teraz działali inaczej, jest nieracjonalne. Niemcy mają swoje interesy polityczne, a przede wszystkim gospodarcze, choć przecież wspierają przedłużanie antyrosyjskich sankcji. Francja ma z kolei prezydenta, który postanowił swoją pozycję budować na zbliżeniu z Kreml i wrogości wobec państw Europy Środkowej. Jego wybór.

Politykę europejską PiS można krytykować za mnóstwo kwestii, ale obwinianie jej za to, że Berlin i Paryż nie rzucają się na Putina za nas, to przejaw skrajnie złej woli. ©©



Z Jeanem-Frédérikiem Poissonem, przewodniczącym francuskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (PCD), autorem książki „Jak islam podbija Zachód” rozmawia Olivier Bault

Powinniśmy walczyć



się obecnie dobrze. Jako projekt społeczny jest sztucznie podtrzymywany przy życiu wysiłkami autorytarnych władców – takich jak nasz. A co do islamu, przeżywa on bardzo głęboki kryzys na płaszczyźnie zarówno społecznej, gospodarczej, kulturowej, intelektualnej, jak i religijnej.

Zwykle uważa się, że niektóre kraje muzułmańskie, zwłaszcza Arabia Saudyjska, Katar i Turcja, chciałyby islamizować Europę poprzez imigrację. W pańskiej najnowszej książce „L'Islam à la conquête de l'Occident”, czyli w przybliżonym przekładzie: „Jak islam podbija Zachód”, pokazuje pan, że strategię islamizacji Europy mają wszystkie kraje muzułmańskie.

Rzeczywiście, 19 lat temu w stolicy Kataru, Ad-Dausze, 57 krajów członkowskich Organizacji Współpracy Islamskiej (OWI) przyjęło plan działania noszący tytuł „Strategia islamskiego działania kulturowego poza światem islamskim” (ang. „Strategy of Islamic Cultural Action Outside the Islamic World”). Plan ten zakłada rozbijanie zachodnich społeczeństw poprzez reislamizację wspólnot muzułmańskich i ich wykorzystywanie do rozszerzania szariatu. Strategia ta zmierza do utworzenia autonomicznych wspólnot, których tryb życia miałby cieszyć się takim samym oficjalnym uznaniem jak wszystkie inne współistniejące sposoby życia. Wspólnoty islamskie mają mieć własne ośrodki kulturalne i religijne, własną politykę na rzecz młodzieży oraz ewentualnie także własne źródła finansowania – taki jest cel opłaty pobieranej od produktów halal – oraz własne sądy, gdyż zachęca się do tworzenia islamskiego sądownictwa na terytorium krajów zachodnich.

Całość cieszy się poparciem krajów członkowskich OWI, które zobowiązały się w owej strategii do finansowego wspierania wszelkich stowarzyszeń, działających w duchu tego planu. I tak rzeczywiście czynią, gdyż np. Arabia Saudyjska finansuje rozwój wahhabizmu w Europie, a Turcja wspiera w podobny sposób bezkompromisową koncepcję Koranu i islamu. A co do Katarczyków, dwóch francuskich dziennikarzy, Christian Chesnot i Georges Malbrunot, wydało kilka miesięcy temu książkę pt. „Qatar Papers”, w której wymieniają ok. 140 projektów realizowanych przez Katar na rzecz islamizacji Europy. To wszystko dzieje się teraz!

Poprzednik Emmanuela Macrona, prezydent François Hollande, mówił o podziale Francji. Przedostatni minister spraw wewnętrznych, Gérard

Collomb, wspominał o coraz większej obcości między ludźmi żyjącymi na terenie Francji. Sam Macron przestrzegał niedawno przed ryzykiem wojny domowej. Czy niebezpieczeństwo wojny domowej jest we Francji realne?

Jest o tyle realne, że Francja zrezygnowała z łacińskiej koncepcji, według której wszyscy jesteśmy częścią tego samego społeczeństwa i dążymy do realizacji tego samego dobra niezależnie od pochodzenia, kultury i poglądów politycznych. Koncepcja ta sprawiała, że Francja mogła rozumieć siebie jako wspólnotę, jako naród. Poczucie przynależności do narodu rozpadło się z dwóch powodów: francuska lewica zrobiła dużo, aby je unicestwić, a konsumpcjonizm bardzo mocno osłabił relacje społeczne. W społeczeństwie, które stało się bardzo różnorodne pod względem więzi, sposobów życia, pochodzenia etnicznego i religijnego czy obywatelstwa, nie utożsamiamy się połączeni wokół wspólnego projektu, lecz zamykamy się na innych w obrębie oddzielnych grup społecznych. W neoliberalnym społeczeństwie tego typu przemoc nasila się i musi doprowadzić do gwałtownych przejawów konfrontacji. Sądzę zatem – i wielu ludzi myśli podobnie – że wszystkie czynniki wojny domowej są już u nas obecne w zarodku.

Jednak nic nie jest nieuniknione. Możemy jeszcze odwrócić się od projektu społeczeństwa multi-kulti, który narzuciła lewica i który Macron przyjął, ponieważ on też jest przedstawicielem lewicy. Tożsamość narodowa i suwerenność Francji to projekt polityczny, który można na nowo afirmować, aby wskrzesić poczucie przynależności. Nie musimy też zgodzić się na traktowanie człowieka jako towaru, którym można handlować, i możemy jeszcze powrócić do chrześcijańskiej myśli społecznej.

Jak jest z tą wiarą chrześcijańską we Francji? Niektórzy mówią o odnowie, zwłaszcza wśród młodych i za pośrednictwem ruchów katolickich. Czy pan też ma takie wrażenie?

Tak, zdecydowanie podzielam taką opinię. To, co powiem, nie dotyczy tylko młodych chrześcijan: młode pokolenie bardzo radykalnie ocenia przyszłość oraz społeczeństwo, w którym żyje i które mu przygotowujemy. Młodzi ludzie angażują się bardziej wyraziście i masowo niż ludzie należący do mojego pokolenia, i tak jest też w katolicyzmie. U młodych katolików dostrzegam poczucie ciągłości między wiarą a działaniem politycznym. ■

OLIVIER BAULT: Czym będzie według pana Francja za 30 lat: najstarszą córką Kościoła, wnuczką Robespierre'a i Karola Marksa czy najmłodsza wnuczka Mahometa?

JEAN-FRÉDÉRIC POISSON: Cokolwiek się stanie, Francja pozostanie najstarszą córką Kościoła. Jestem bowiem przekonany, że wszystko w naszej tradycji i kulturze, w naszym trybie życia oraz w naszych stosunkach społecznych jest przesiąknięte chrześcijaństwem. Naród francuski nie pozwoli na to, aby unicestwić go wściekły racjonalizm nowoczesnego liberalizmu czy islam. Poza tym neoliberalizm nie ma

Działanie w sferze politycznej jest niezbędne, a młodzi ludzie to rozumieją. Jest to raczej dobra wiadomość.

Badanie Instytutu Montaigne pokazało, że młodsze pokolenie muzułmanów dużo częściej niż poprzednie pokolenie stawia prawo szariatu przed prawem Republiki Francuskiej. Czy wpisuje się to w ową radykalizację postaw młodzieży, czy to raczej konsekwencja tzw. islamskiego działania kulturowego, o którym pan pisze w książce?

Oba czynniki mogą tu odgrywać pewną rolę. Pewne jest, że islam nosi w sobie bardzo surową wizję Zachodu, którą można streścić w następujący sposób: Zachód gardzi instytucjami, depcze autorytet rodziców, ma w pogardzie autorytet nauczycieli, nieustannie destabilizuje i niszczy struktury rodzinne, lepiej traktuje zbrodniarzy i przestępców aniżeli ich ofiary, wszystko traktuje jako towary, którymi można handlować – włącznie z życiem ludzkim – pozwala na to, aby młodzi ludzie żażywali narkotyki, pili alkohol i oglądali pornografię, a poza tym nie przestrzega własnych, podstawowych zasad, kiedy kraje zachodnie działają poza własnym terytorium. Na dodatek Zachód czyni wszystko, aby wypychać wymiar religijny z życia społecznego. U młodych muzułmanów – tak jak u młodych chrześcijan i u młodych ludzi w ogóle – istnieje pragnienie walki z tym materializmem, który nie daje nikomu szczęścia. U młodych muzułmanów następuje przebudzenie świadomości zbiorowej, gdy obserwują stan świata i politykę państw zachodnich wobec świata arabskiego i muzułmańskiego. Przeciętny młody muzułmanin we Francji widzi to wszystko i się buntuje. Niektórzy robią to w sposób bardzo brutalny, nawet jeśli bunt nie usprawiedliwia przemocy.

Rozmowy na temat projektu ustawy bioetycznej uwidaczniają z kolei bardzo progresywny prychył „europejskiej” części Francji. Lewica wspiera rewolucję obyczajową, a jednocześnie opowiada się za imigracją-islamizacją, którą trudno pogodzić z progresizmem. Skąd takie dwie przeciwstawne polityki?

Od lat 50. Zachód prowadzi tylko jedną politykę: masowo sprowadza z zagranicy tanią siłę roboczą, aby utrzymywać pensje na niskim poziomie i zapewniać dalsze działanie aparatu produkcyjnego. To pracodawcy pierwsi chcieli zorganizować imigrację do krajów zachodnich. Lewica, poza argumentem gospodarczym, znalazła w tym argument kulturowy – instrument walki z odwieczną Francją przez multikul-

Od lat 50. Zachód prowadzi tylko jedną politykę: masowo sprowadza z zagranicy tanią siłę roboczą

turalizm i różnorodność. Zwalczano pojęcie narodu za pomocą różnorodności, a dominację Kościoła katolickiego za pomocą islamu. Dzisiaj, z powodu zachwiania, które to powoduje, nawet lewica zaczyna mówić o ograniczaniu masowej imigracji. Natomiast prezydent Macron nie widzi w tym żadnego problemu. Macron nawiązuje do wizji ONZ. Pakt migracyjny z Marrakeszu to sposób ONZ na regulację gospodarek. Ponieważ demografia europejska jest słaba, wychodzi się z założenia, że trzeba sprowadzić siłę roboczą, organizując przepływy migracyjne. Macron jest przekonany, że państwo może trzymać religie w ryzach. Jest to zgodne z ogólną wizją liberałów. Wizja ta jest bardzo spójna. Dąży do tego, aby rozmyć poczucie narodowej wspólnoty, gdyż istnienie narodów jest uważane za przyczynę dwóch wojen światowych. Jednocześnie religie obarcza się odpowiedzialnością za wszelkie nieszczęścia. Oto niezmiennie przesłanie polityki prowadzonej przez liberałów i socjalistów od końca drugiej wojny światowej.

Brał pan udział pod koniec września w tzw. konwencji prawicy, gdzie mówiono o alternatywie dla dominującego progresizmu. Czy w następnych wyborach prezydenckich w 2022 r. stanie naprzeciw Emmanuelowi Macronowi prawicowy lider o poglądach konserwatywnych, chrześcijańskich i patriotycznych?

Tak, ale jeszcze nie wiadomo, kto nim będzie. W tej chwili organizujemy na przyszły rok zgromadzenie konserwatystów, gdzie będziemy omawiali wspólny manifest polityczny. Manifest ten ma stopniowo stać się wspólnym programem prawicy w podobny sposób, jak ok. 40 lat temu powstawał wspólny program lewicy we Francji.

Czy wspólny program prawicy będzie skupiać wokół siebie partie dziś istniejące, takie jak Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen, centroprawicowa partia Republikanie (LR) oraz pańska Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna (PCD)?

W RN nie chcą o tym słyszeć, gdyż wciąż uważają, że mogą wygrać wybory sami. Będziemy zatem skupiać pozostałych dzia-

łaczy, których jest wielu. Jesteśmy obecnie świadkami spektakularnego odpływu członków LR i nie mniej spektakularnego exodusu liderów RN, których kierownictwo partii wyrzuca za zbyt prawicowe lub konserwatywne poglądy albo którzy są zdegrustowani i sami odchodzą. Wielu z nich przychodzi do nas i zawieramy w tej chwili przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi porozumienia z ludźmi pochodzącymi ze wszystkich partii prawicowych. Coraz więcej wyborców partii prawicowych podziela pogląd, że należy koniecznie razem zaważyć o to, w co wierzymy, jeśli chcemy mieć szansę wygrać w 2022 r.

Zrobimy to, co lewica 40 lat temu: zaczniemy od projektu, a dopiero potem wyznaczymy lidera.

Czy można jeszcze przeciwstawiać się islamskiej konkwiście?

Oczywiście, że tak. Wystarczy powiedzieć, że nie zgadzamy się na nią. Wystarczy egzekwować nasze prawo, reafirmować to, że francuski model nie jest multikulturowy, że mięso halal nie jest mile widziane w naszych szkołach, że nie ma menu zastępczego dla tych, którzy nie jedzą wieprzowiny, że nie można u nas wydzielać dla niektórych kategorii ludzi czasu i miejsca na basenach pływackich, że nie można tworzyć ośrodków pseudokulturalnych z pomocą gmin i że te, które zostały już wybudowane, będą zburzone. Francja powinna zachować wolność wyznania, która jest wpisana w jej historię. Natomiast korzystanie z tej wolności powinno zawsze mieścić się w ramach obowiązującego prawa, bez żadnego wyjątku. Islam prowadzi walkę kulturową, a my powinniśmy też walczyć za pomocą naszej kultury. Jest ona wystarczająco bogata, usadowiona i solidna, aby stawiać opór. Jednak Francuzi muszą najpierw podjąć taką decyzję.

© 2022 Wszelkie prawa zastrzeżone



Jean-Frédéric Poisson

– przewodniczący francuskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (PCD), w latach 2007–2010 i 2012–2017 poseł do francuskiego Zgromadzenia Narodowego, w latach 2015–2017 przewodniczący misji parlamentarnej, prowadzącej śledztwo w sprawie źródeł finansowania Państwa Islamskiego, autor książki „Jak islam podbija Zachód”.

TEST „DO RZECZY”: FRESH 'N REBEL ROCKBOX BOLD X

Wodoodporność, oryginalne wzornictwo, bardzo dobra jakość wykonania oraz dobry stosunek jakości do ceny – to największe zalety nowego głośnika Bluetooth holenderskiej marki Fresh 'n Rebel.

Główną zaletą testowanego urządzenia jest jego wodoodporność. Model Rockbox Bold X spełnia wymogi normy IPX7 – można go więc nie tylko ochlapać, lecz także nawet czyścić pod bieżącą wodą. Sprawdzi się więc jako źródło dźwięku na miniimprezie przy stoku narciarskim czy też na gorących plażach południowej Europy. Solidnie wykonana, gumowana obudowa chroni go również przed skutkami ewentualnych upadków.

Splaszczony głośnik ma owalne kształty, niewielkie wymiary (160 x 95 x 38 mm) oraz niską wagę (320 g), co ułatwia jego przenoszenie. Bez problemu można go wcisnąć do podróźnej torby, plecaka, eleganckiej aktówki czy... kieszeni spodni (naprawdę się mieści, a nie jestem jeszcze „największym” polskim publicystą).

A jeśli na stok lub na basen wybieramy się bez zbędnego bagażu, to można skorzystać z dołączonego do zestawu klipsa i przymocować głośnik np. do paska od spodni. Gumowa zawieszka umożliwia również powieszenie Bolda X pod prysznicem, dzięki czemu z gadżetu można korzystać nie tylko podczas podróży.

Parowanie głośnika ze smartfonem jest szybkie i łatwe. A co jakością dźwięku? Nie jest to sprzęt dla wymagających audiofilów, ale jak na wodoodporny, mobilny głośniczek za 300 zł, który ma grać głównie na piknikach czy podczas

grilla w ogrodzie, Bold X gra lepiej niż przyzwyczajenie. Dobre wrażenie robi zarówno maksymalna głośność tak niewielkiego urządzenia, jak i to, że gdy słuchamy muzyki na najwyższym poziomie natężenia dźwięku, to nie pojawiają się żadne szумы czy trzaski. Testowany model powinien więc spełnić oczekiwania zdecydowanej większości użytkowników.

Dla tych, którzy w okolicach narciarskich



stoków lub gorących południowych plaż planując większe imprezy, producent przygotował opcję Double Fun Mode, czyli możliwość bezprzewodowego połączenia dwóch urządzeń i uzyskania efektu stereo. Fajnym dodatkiem jest też wbudowany mikrofon, dzięki czemu Bold X można w razie potrzeby zamienić w mobilny zestaw głośnomówiący.

Wbudowana bateria pozwala słuchać muzyki na jednym ładowaniu przez siedem-osiem godzin. Jej naładowanie od zera do 100 proc. zajmuje ok. dwóch godzin. Szkoda jednak, że do ładowania głośnika służy wychodzące już z mody wejście micro-USB, a nie nowoczesne USB-C. Brakuje również informacji o stanie naładowania baterii (dioda miga na czerwono dopiero wtedy, gdy akumulator jest już na wyczerpaniu). Mimo tych minusów testowany głośnik jest na tyle uniwersalny, że warto sprawdzić samemu. Ten gadżet może dać bowiem sporo radości. Nie tylko w podróży. Cena: 339 zł. ©©

Jacek Przybylski



DESIGNERSKI GRAMOFON

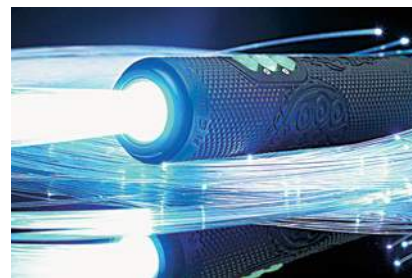
W PRL nazywano to adapterami i narzekano, że po pierwsze w sklepach nie ma płyt, po drugie notorycznie łamią się adapterowe igły, których jak to

za komuny też w sklepach nie było. Gramofony, bo taka jest ich oryginalna, konserwatywna i klasyczna nazwa, już kilka lat temu nie tylko wróciły do łask, lecz także w nowych wersjach święcą coraz większe triumfy. Olbrzymią popularnością na portalu crowdfundingowym Kickstarter cieszy się gramofon o nazwie Tone Factory, czyli po prostu fabryka dźwięku – designerski, minimalistyczny w swojej formie gramofon skonfigurowany pod głośniki Bluetooth odtwarzacz płyt winylowych.

Wygląda jak podstawka pod doniczkę, tyle że wyposażona w rączkę. Cały panel dotykowy wbudowany jest w obudowę i podświetlany dopiero w momencie dotknięcia. Oczywiście okrągła podstawa zawiera wszystkie części techniczne, takie jak silnik, zintegrowany stopień gramofonowy i moduł Bluetooth. Jednocześnie funkcjonuje ona jako podstawa konstrukcyjna gramofonu mieszcząca wszystkie pozostałe części, obudowę i talerz.

Co istotne, gramofon można podłączyć albo do dowolnego głośnika Bluetooth, albo do klasycznego systemu Hi-Fi ze standardowym wzmacniaczem. „Fabrykę Dźwięku” zamawiać można na Kickstarterze w cenie nieco powyżej tysiąca złotych, a dostawa w czerwcu przyszłego roku.

FUTURYSTYCZNA LATARKA



Nihil novi. Latarka zmieniająca kolory. A jednak jest coś w RGB Critter, co sprawiło, że projekt na Kickstarterze cieszy się dużym powodzeniem. Gadżet przeznaczony jest dla wszystkich, którzy lubią bawić się światłem i sygnałami świetlnymi, szczególnie – tak przynaj-

mniej twierdzi producent – dla artystów performance, „malarzy światłem” i projektantów mody high-tech. Koszt urządzenia to ok. 350 zł, a dostawa w czerwcu 2020 r. ©©

Wojciech Wybranowski



Piotr Kościński

Informacje o pełnej integracji Rosji z Białorusią pojawiają się od 1994 r., gdy prezydentem został Aleksander Łukaszenko. O co chodzi tym razem?

Na to pytanie dobrą odpowiedź daje znany rosyjski publicysta Leonid Radzichowski. Wypowiadając się dla białoruskiego portalu UDF, wskazał, że jest to potrzebne prezydentowi Rosji Władimirowi Putinowi. Zgodnie z rosyjską konstytucją w 2024 r. Putin musi ustąpić z funkcji prezydenta. Jeśli chce rządzić dalej, to ma dwie możliwości. Pierwsza – zmienić konstytucję. – Zwołać izbę niższą, izbę wyższą, Sąd Konstytucyjny, coś tam wygłosić („nie zmienia się koni na przeprawie przez rzekę”, „trudna sytuacja”, „wyjątkowa sytuacja” albo inne bzdury). Oczywiście jest, że wszystkie te izby przegłosują wszystko, co im powiedzą – są ludźmi zniewolonymi. Każą im ogłosić Putina papieżem – to ogłoszą – twierdzi Radzichowski.

Jego zdaniem Putin nie chce jednak takiego „chamskiego wariantu”. Wie bowiem doskonale, że choć w Rosji do żadnego buntu nie dojdzie, to zacznie narastać społeczny sprzeciw.

I właśnie dlatego – dowodzi Radzichowski – w Moskwie od lat toczy się ożywiona dyskusja na temat innej opcji: połączenia z Białorusią i stworzenia nowego państwa. A Putin zostałby jego prezydentem. Miałby co najmniej kilkanaście lat rządów przed sobą.

MALOWANY ZBiR

Na razie widać kilka efektów trwającej ćwierć wieku integracji obu państw. Najbardziej widowiskowy jest powstały w 2010 r. film „Twierdza Brzeska” – nie tyle wspólny, ile wręcz sztandarowy produkt Związku Białorusi i Rosji, ZBiR. Obraz hollywoodzko wręcz widowiskowy, ze świetnymi efektami specjalnymi, opowiada o obronie twierdzy w czerwcu 1941 r. Jednocześnie jest to film absolutnie propagandowy, w którym najbardziej pozytywnymi postaciami są NKWD-ziści. Z polskiego punktu widzenia interesujący jest ogromny, biały, polski orzeł na



Integracja czy

bramie wjazdowej twierdzy – okazuje się, że zdjęto go dopiero w latach 60. Można to zobaczyć na samym początku filmu, gdy główny bohater wjeżdża przez bramę.

Oczywiście na tym widoczne efekty integracji się nie kończą. Lecący samolotem do Moskwy zobaczą na lotnisku Szeremietiewo oddzielne wejścia dla „obywateli Państwa Związkowego Białorusi i Rosji”. Bo przecież istnieje wspomniany już ZBiR, o czym szerzej za chwilę – a tak naprawdę te bramki do kontroli paszportowej są przeznaczone dla Białorusinów, by nie musieli stać w długich kolejkach dla cudzoziemców. Rosjanie, rzecz jasna, też mogą z nich skorzystać, tyle że mają również wejścia specjalnie dla siebie. Czyli demonstracja, że ZBiR naprawdę istnieje, a zarazem gest pod adresem obywateli Białorusi.

A sam ZBiR, po rosyjsku Sojuznoje Gosudarstwo Rossii i Bielarusi, to – formalnie rzecz biorąc – konfederacja dwóch państw. Powstała 26 stycznia 2000 r., na podstawie umowy z poprzedniego roku, jako kontynuacja luźniejszej formy integracji o tej samej nazwie. Przewodniczącym Wyższej Rady Państwowej jest Łukaszenko, a związkowego rządu – premier Rosji Dmitrij Miedwiediew, natomiast szefem wspólnych władz ZBiR, Stałego Komitetu Państwa Związkowego, jest państwowy sekretarz (być może

lepsze tłumaczenie nazwy jego funkcji to „sekretnarz stanu”) Grigorij Rapota – rosyjski generał, w przeszłości pełniący różne ważne funkcje w administracji Putina. ZBiR ma siedzibę w Moskwie, a przedstawicielstwo Stałego Komitetu znajduje się w Mińsku. Istnieje wspólny kanał telewizyjny ZBiR i kilka innych przedsięwzięć medialnych, ale bez większego znaczenia. ZBiR to bowiem w rzeczywistości twór propagandowy, mający skromne znaczenie w realnej rzeczywistości. „Państwo związkowe” jest tak naprawdę pozorem.

CO DALEJ Z GRANICĄ

Dobrym przykładem białorusko-rosyjskich przepychanek jest kwestia wspólnej granicy. Wciąż mówi się o stworzeniu swoistej „strefy Schengen” między oboma krajami. Porozumienie w sprawie wzajemnego uznawania wiz planowano podpisać 13 grudnia 2018 r., ale zostało przełożone, bo – według oficjalnych informacji – Białoruś „nie miała czasu na zakończenie niezbędnych procedur krajowych”.

Umowa o wzajemnym uznawaniu wiz pozwoli obywatelom państw trzecich (w tym oczywiście Polski) podróżować na podstawie jednej wizy, którą otrzymają w ambasadzie Białorusi lub Rosji. Oznacza to, że cudzoziemcy nie będą musieli otrzymywać dwóch wiz, aby po-



FOT. MICHAŁ KLIMBIEYEV/ASS/GETTY IMAGES

pozór?

dróżować po obu tych krajach – wystarczy tylko jedna.

Białoruś od dawna już jednak prowadzi własną specyficzną politykę imigracyjną. Obecnie można przebywać na terytorium tego kraju 30 dni bez wizy, jeśli przybywa się tam samolotem na lotnisku w Mińsku. Jest też druga opcja – przepustka do strefy przygranicznej na zachodzie Białorusi. Z początku umożliwiała jedynie wjazd do Puszczy Białowieskiej, później wprowadzono możliwość zwiedzania Kanału Augustowskiego, a w praktyce – Grodna, potem zaś także Brześć, a w końcu całą strefę poszerzono. Do otrzymania przepustki niezbędne jest wykupienie usług turystycznych, co nie jest ani drogie, ani skomplikowane.

Wprowadzenie tych ułatwień dla przybysz z Zachodu wywołało piorunującą wręcz reakcję Rosji – faktyczne przywrócenie granicy rosyjsko-białoruskiej. Moskwa uświadomiła sobie bowiem, że ktoś, kto ląduje w Mińsku i dostaje się na Białoruś bez wizy, może wsiąść w samochód i za cztery godziny znajdzie się np. w Smoleńsku. Bez żadnej kontroli! A potem stoi przed nim otworem cała Rosja...

Dlatego Rosjanie przywrócili kontrolę na wspólnej granicy. I zakazali wjazdu przez nią obywatelom innych krajów.

– To oznacza, że jeśli cudzoziemiec – Austriak, Niemiec, Polak – przejechał

przez granicę w pobliżu Brześcia, mogą nie pozwolić mu dotrzeć do Smoleńska nawet, gdy ma rosyjską wizę – denerwował się niedawno Aleksander Łukaszenko. – Odsyłają go z powrotem: jedź przez granicę łotewsko-rosyjską lub, co wydaje się jeszcze dziwniejsze, granicę ukraińsko-rosyjską! – dodał.

I właśnie dlatego Łukaszenko żąda zmiany umowy granicznej, którą on i pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyn podpisali 25 lat temu. Baćka (jak nazywany jest u siebie) chce, aby turyści i kierowcy ciężarówek, którzy podróżują z Zachodu do Rosji, mogli bez problemu przekraczać granicę białorusko-rosyjską. I podkreśla, że Rosjanie ciągle dowodzą, iż „utrzymują Białoruś”, która „upadnie bez rosyjskich dotacji”. – Musimy obliczyć, ile kosztuje nas ochrona wspólnej granicy – wskazał tymczasem Łukaszenko, dowodząc, iż to właśnie Białoruś pilnuje zachodniej granicy Rosji.

GRA ŁUKASZENKI

Chociaż oba kraje oficjalnie dążą do integracji, białoruski prezydent regularnie, i to bardzo ostro, krytykuje swego wschodniego sąsiada. Rok temu mówił np.: „Mamy trudny okres – Rosjanie zachowują się wobec nas barbarzyńsko, mówię o tym publicznie. Żądają od nas czegoś, jak gdybyśmy byli ich wasalami, a w ramach JewrAzEs [Eurazjatycka

Unia Gospodarcza – przyp. red.], gdzie nas zaprosili, nie chcą wypełniać swoich zobowiązań”.

Z kolei 1 marca na dorocznej konferencji prasowej białoruski prezydent wprost oskarżył Rosjan o zwalczanie białoruskich towarów. – Konieczne jest powstrzymanie rządu Rosji od lobbowania tych klanów, tych grup, nazywanych oligarchicznymi, w których zrosnięty z władzą wielki biznes chce realizować swoje cele – dowodził. A w kwietniu, komentując zakaz importu jabłek i gruszek z Białorusi do Rosji, Łukaszenko grzmiał: „Te dobre rzeczy, które my robimy dla Federacji Rosyjskiej, przynoszą nam w odpowiedzi samo zło. Stali się już bezczelni do tego stopnia, że zaczynają nam wykręcać ręce”.

Ta retoryka wcale nie oznacza, że z dnia na dzień nie może dojść do jakiegos porozumienia na linii Mińsk – Moskwa. Łukaszenko bowiem pilnie potrzebuje pieniędzy, a jedynym, który może je dać, jest właśnie Putin. Białoruski prezydent usiłuje więc grać tak, jak to możliwe, by wsparcie finansowe uzyskać – a w zamian dać jak najmniej.

I zapewne dlatego zdaniem wspomnianego na początku artykułu Leonida Radzichowskiego „rosyjsko-białoruska integracja” to jedynie „bezsensowny rytuał”, a do połączenia obu krajów nie dojdzie, tak jak nie jest możliwe stworzenie perpetuum mobile.

Rosyjski publicysta Iwan Prieobrażenski, redaktor ds. politycznych agencji Rosbaft, w swoim komentarzu na portalu niemieckiej „Deutsche Welle” uznał, iż Putin zrezygnował z przyłączenia Białorusi – przynajmniej na razie. Z Mińska odwołany został bardzo niechciany przez Łukaszenkę ambasador Rosji Michaił Babicz – wcześniej można było odnieść wrażenie, że mianowany wbrew woli Mińska jest jak gdyby specjalnym komisarzem do spraw przyłączenia Białorusi. Są też inne sygnały świadczące o tym, że nacisk Moskwy na Mińsk znacząco zmalał, a hasła o postępującej integracji wróciły do rangi powtarzanego ciągle rytuału. Prieobrażenski sądzi, że „Putin wybrał inny wariant” rozwiązania „problemu 2024 r.” lub np. szuka jakiegos korzystnego dla siebie następcy. To możliwe, ale trzeba pilnie przyglądać się rozwojowi sytuacji na linii Moskwa – Mińsk. Sytuacja bowiem zmienia się jak w kalejdoskopie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą AfIB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy”.

Czarna przyszłość zielonej rewolucji



Piotr Włoczyk

Wielki zielony eksperyment w Kalifornii przyniósł ciekawe rezultaty. Po legalizacji marihuany czarny rynek i przestępczość z nim związana jak na złość nie chcą zniknąć. Za to legalnemu narkobiznesowi mocno sprzeciwiają się mieszkańcy tych kalifornijskich miast, które najbardziej ucierpiały z powodu narkotyków

Kiedy w listopadzie 2016 r. mieszkańcy Kalifornii głosowali w referendum na temat legalizacji marihuany, lewicowi aktywiści i politycy przekonywali, że ten krok będzie zbawienny dla całego stanu. Poza tym, że amatorzy jointów wreszcie nie będą się musieli obawiać konsekwencji prawnych, narkoprzestępczość znacząco spadnie, czarny rynek wyparuje, młodzież będzie miała bardzo utrudniony dostęp do tego narkotyku, a miliardy dolarów, które stan zyska dzięki opodatkowaniu tego nowego, legalnego sektora, będzie można przeznaczyć m.in. na walkę z twardymi narkotykami i opanowywanie kryzysu opioidowego – te argumenty zdominowały przekaz entuzjastów legalizacji. Do tego dochodziły sprawy gospodarcze – nowa branża miała co roku tworzyć tysiące legalnych i dobrze płatnych miejsc pracy. Przykład Kalifornii, najludniejszego amerykańskiego stanu, miał pociągnąć za sobą resztę kraju. Pod względem gospodarczym marihuana miała dać Kalifornii więcej niż tamtejsza – potężna – branża winiarska. Między innymi pod wpływem tych argumentów 57 proc. wyborców zagłosowało za wolnym dostępem do jointów (jeszcze w 2010 r. 54 proc. Kalifornijczyków głosowało w referendum przeciw legalizacji). Tym sposobem od stycznia 2018 r. marihuana może być legalnie sprzedawana w tym stanie.

Niemal dwa lata po wdrożeniu w życie decyzji wyborców okazuje się jednak, że

obietanki z okresu kampanii referendalnej nijak mają się do rzeczywistości. Statystyki mówią na ten temat wszystko. W 2019 r. sprzedano w Kalifornii (największy na świecie legalny rynek marihuany) narkotyki za kwotę ok. 12 mld dol. (ok. 45 mld zł). Tyle tylko, że zgodnie z prawem sprzedano tam zaledwie co czwartego jointa. Reszta – ok. 9 mld dol. – to transakcje dokonane na czarnym rynku. Legalizacja marihuany nie zlikwidowała narkopodziemia i przestępczości z tym związanej w żadnym z 11 stanów USA, które zdecydowały się na taki krok, ale nigdzie ten problem nie jest tak palący jak właśnie w Kalifornii.

SZPITALE NA HAJU

Ostatnio przyznał to nawet demokratyczny gubernator Kalifornii Gavin Newsom, mówiąc, że nielegalnej marihuany jest „coraz więcej, zamiast coraz mniej”. Newsom – w latach 2004–2011 burmistrz San Francisco – był jedną z czołowych twarzy wielkiej kampanii za legalizacją. W ciągu ostatnich dwóch lat sytuacja stała się jednak dla legalnej branży narkotykowej tak ciężka, że aby jej pomóc, Newsom wysłał w tym roku część oddziałów Gwardii Narodowej, które pilnowały granicy z Meksykiem, do walki z mafią marihuanową.

„Sacramento Bee”, jedna z kalifornijskich gazet, mówi wręcz o „epidemii” zwolnień w „ziołowym” biznesie. Przedstawiciele tej branży twierdzą, że stan nałożył na nich zbyt wysokie podatki, wprowadził zbyt dużo regulacji, przez co



FOT. KYLE GRILLOT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

nie są w stanie konkurować z czarnym rynkiem. Żądają ulg i specjalnej ochrony do czasu, aż ich biznes nie stanie mocno na nogi. Jakie regulacje uważają za dołkliwe? Chcieliby m.in. zniesienia zakazu palenia marihuany w szpitalach i w autobusach wycieczkowych (kierowca miałby jeździć w masce przeciwgazowej?), które gubernator Newsom sam wprowadził.

Na czele kampanii mającej wymusić na władzach stanowych specjalne preferencje stanął Michael Steinmetz, szef kalifornijskiej firmy Flow Kana, dystrybutora narkotyku. „To olbrzymia szansa dla stanu. Myślę, że nasz biznes może przyćmić przemysł winiarski” – przewiduje Steinmetz, który jednak na razie, podobnie jak przeważająca część jego kolegów po fachu, musiał przeprowadzić w swojej firmie spore cięcia w etatach.

– Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak silny pozostanie nielegalny rynek – komentował z kolei w rozmowie z CNN Dennis Hunter z kalifornijskiej firmy CannaCraft, zajmującej się uprawą i dystrybucją marihuany. I dodał: – Ludzie naprawdę myśleli, że nielegalny rynek przestanie istnieć po legalizacji. A tymczasem stało się dokładnie odwrotnie. Właściwie czuć, że nielegalny rynek robi się coraz mocniejszy.



Nielegalna marihuana produkowana jest w Kalifornii w takich ilościach, że trudno wyobrazić sobie, by nawet znacząca obniżka opodatkowania i poluzowanie regulacji mogły diametralnie wpłynąć na sytuację na czarnym rynku. W hrabstwie Mendocino niedaleko San Francisco policja odkryła w zeszłym roku prowadzoną przez mafię plantację, która produkowała ponad 250 (!) kg narkotyku każdego dnia. – Legalizacja na pewno nie odjęła nam pracy – powiedział „New York Timesowi” Thomas D. Allman, szeryf z hrabstwa Mendocino.

Konkurencją dla legalnych sklepów z marihuaną są również biznesmeni, którzy próbują sprzedawać narkotyk, uciekając się do nieprawdopodobnych wygibasów prawnych. Niektórzy zakładają w tym celu „kościół”, które dystrybuują wśród swoich „wiernych” marihuanę nazywaną oficjalnie... „sakramentem”.

MEKKA RAPERÓW PRZECIWNIA

Mimo że posiadanie marihuany na terenie całego stanu jest legalne, to nie wszystkie samorządy pozwalają, by na ich terenie handlowano tym narkotykiem. Są wśród nich okręgi, gdzie większość wyborców ma bardziej tradycyjne

Mieszkańcy miast, które najbardziej odczuły problem narkotykowy, nie chcą mieć nic wspólnego z narkobiznesem w jakiejkolwiek formie

podejście do tematu narkotyków, ale nie tylko. Spośród miast, które powiedziały marihuanie zdecydowane „nie”, są m.in. Compton i Inglewood – miejscowości świetnie znane wszystkim fanom amerykańskiego gangsta rapu.

Szczególnie to pierwsze ma status miasta legendy gangsta rapu. To stamtąd pochodzą najbardziej znani amerykańscy raperzy, m.in. Dr. Dre, Ice Cube czy The Game. W miastach tych czarni i Latynosi stanowią większość mieszkańców, a bardzo wysoka przestępczość od wielu lat jest ich plagą. Gdy Kalifornia zalegalizowała „zioło”, mieszkańcy Compton i Inglewood zorganizowali referenda, w których jednoznacznie opowiedzieli się przeciw wpuszczaniu do nich legalnego narkobiznesu. Warto to podkreślić – mieszkańcy miast, które najbardziej

odczuły problem narkotykowy, nie chcą mieć nic wspólnego z narkobiznesem w jakiejkolwiek formie.

„Narkotyki sieją spustoszenie w naszych czarnych i latynoskich społecznościach” – powiedział „LA Times” James Hays Jr, 61-letni aktywista miejski, który prowadził w Compton kampanię przeciw legalizacji marihuany. „Narkotyki odebrały nam wszystkie nasze talenty. Sprawiają, że nasze dzielnice są bardzo złymi miejscami do życia”.

Z kolei James T. Butts, burmistrz Inglewood, który jest zarazem emerytowanym komendantem miejscowej policji, stwierdził, że zamiast biznesu marihuanowego zdecydowanie woli tworzyć miejsca pracy w „stary, sprawdzony sposób”. Co bardziej złośliwi komentatorzy zauważali wprawdzie, że decyzja mieszkańców Compton i Inglewood jest jak najbardziej na rękę gangsterom żyjącym z handlu narkotykami, ale ludziom, którzy mieszkają ze swoimi rodzinami w samym sercu narkotykowego kataklizmu, nie jest do śmiechu. Dla osób bezpośrednio dotkniętych tą tragedią zapalanie zielonego światła dla jakiegokolwiek narkotyku jest kompletnie niezrozumiałą decyzją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ucieczka prezesa



Jacek Przybylski

Przebywający w areszcie domowym były szef Nissana i Renault Carlos Ghosn wymknął się z luksusowego apartamentu i prywatnym odrzutowcem przedostał do rodzinnego Libanu. Ściga go tam Interpol. Prokuraturę na karku mają również byli szefowie koncernu Volkswagen

Charyzmatyczny i zdyscyplinowany 65-letni menedżer Carlos Ghosn jeszcze nie tak dawno był w Japonii traktowany niemal niczym bóg. Wychowany w brazylijskim Rio de Janeiro syn imigrantów z Libanu, który tajników prowadzenia biznesu uczył się na prestiżowej paryskiej École polytechnique. Posiadacz brazylijskiego, libańskiego oraz francuskiego paszportu kierował wieloma koncernami z branży motoryzacyjnej. Był szefem Michelin w USA, a także członkiem zarządu Renault. Pracował również nad uzdrowieniem sytuacji borykającego się z problemami finansowymi japońskiego giganta – Nissana. To dzięki temu zyskał w Japonii status celebryty. Jego wizerunek zaczął pojawiać się w mangach, a w przeprowadzonym w 2011 r. sondażu, kto powinien rządzić Japonią, zajął siódme miejsce (wyprzedzając m.in. niezwykle popularnego wówczas Baracka Obamę).

Pracowity i mówiący płynnie sześcioma językami biznesmen odnosił sukces za sukcesem, dzięki czemu stał się jednym z najpotężniejszych i najlepiej opłacanych menedżerów w branży motoryzacyjnej. Wartość jego prywatnego majątku szacowana jest na 120 mln dol. (równowartość 456 mln zł). To właśnie on wyprowadził Nissana na prostą. On też był twórcą wielkiego sojuszu przemysłu motoryzacyjnego, czyli powstania globalnego aliansu Renault-Nissan-Mitsubishi (Nissan został największym akcjonariuszem Mitsubishi Motors po tym, jak znany japoński koncern wpadł w tarapaty, bo zaniżał zużycie paliwa w sprzedawanych przez siebie samochodach).

Znany z agresywnego stylu zarządzania Ghosn był nie tylko ojcem samego pomysłu stworzenia takiego sojuszu, lecz także osobiście wdrażał go w życie, w praktyce zarządzając jednocześnie wszystkimi trzema koncernami. W tym samym czasie był bowiem prezesem rad nadzorczych Nissana i Mitsubishi, a także dyrektorem zarządzającym Renault. Charyzmatyczny biznesmen decydował więc o przyszłości takich marek, jak Renault, Nissan, Mitsubishi, Alpine, Dacia, Datsun, Renault-Samsung, Łada czy Infiniti.

GRA O TRON

Inwestorzy długo mieli powody do radości. Zacieśnienie współpracy w ramach grupy, m.in. tworzenie wspólnych płyt podłogowych, takich samych silników czy skrzyni biegów, miało przynosić oszczędności rzędu 10 mld euro rocznie. Ghosn zapowiadał jednocześnie, że kierowany przez niego sojusz będzie walczył o tytuł lidera globalnego przemysłu motoryzacyjnego. Ogłoszona we wrześniu 2017 r. ambitna wizja rozwoju francusko-japońskiego sojuszu zakładała zwiększenie sprzedaży aż do 14 mln sztuk aut w 2022 r., wzrost rocznych przychodów do 240 mld euro, a także inwestycje w auta na prąd i autonomiczne taksówki. Wizja ma szansę się ziścić. W 2018 r. sojusz sprzedał 10,76 mln sztuk, czyli niewiele mniej niż lider światowej motoryzacji: Volkswagen (10,83 mln). Z fabryk stworzonego przez Ghosna koncernu pochodził więc co dziesiąty sprzedany na świecie samochód.

Były szef Nissana pierwszy raz został aresztowany w Tokio w listopadzie 2018 r. Wiadomość o zatrzymaniu tak znanego menedżera wstrząsnęła nie tylko branżą, lecz także całym światem biznesu. Na wartości straciły akcje wszystkich trzech motoryzacyjnych firm.

Japońscy prokuratorzy oskarżyli słynnego menedżera o oszustwa podatkowe i zaniżanie w rocznych sprawozdaniach potężnych dochodów. Zdaniem śledczych były szef Nissana wykorzystywał też majątek japońskiej firmy do realizacji swoich osobistych celów (np. do budowy prywatnych rezydencji w Rio de Janeiro, Amsterdamie, Bejrucie czy Paryżu). W oszustwach miał mu pomagać dyrektor reprezentacyjny Nissana Greg Kelly (on również został oskarżony o oszustwa podatkowe).

Charyzmatyczny biznesmen ogłosił, że jest niewinny, i przekonywał, że padł ofia-

ra „spisku oraz zdrady” tych menedżerów Nissana, którzy nie zgadzali się na głębszą integrację japońskiej firmy z francuskim Renault. Prezydent Emmanuel Macron chciał, aby Renault wchłonął Nissana – Paryż mocno bronił więc Ghosna przed zbyt szybkim usunięciem ze stanowiska. Dzięki temu, choć rady nadzorcze Nissana i Mitsubishi odwołały go z funkcji prezesa jeszcze w listopadzie 2018 r., to z funkcji prezesa Renault Ghosn zrezygnował dopiero pod koniec stycznia 2019 r.

Tokijscy prokuratorzy z wysunięciem oskarżeń czekali jednak stosunkowo długo: według japońskich śledczych Ghosn w oficjalnych dokumentach zaniżał swoje dochody o połowę w ciągu pięciu lat od 2011 r. W sumie chodzi o ok. 45 mln dol. Przyzwyczajony do luksusów biznesmen spędził w tokijskim areszcie 108 dni. W marcu 2019 r. prawnicy biznesmena zdołali przekonać sąd, żeby ze względu m.in. na złe warunki w areszcie oraz zaawansowany wiek ich klienta pozwilił mu na warunkowe wyjście na wolność. Ghosn wpłacił wówczas kaucję o równowartości niemal 35 mln zł. Niedługo cieszył się jednak swobodą poruszania. W kwietniu 2019 r. został ponownie aresztowany pod zarzutem „poważnego naruszenia zaufania”. Według prokuratury charyzmatyczny biznesmen kazał oddziałowi Nissana w Zjednoczonych Emiratach Arabskich wypłacać pieniądze firmie Suhail Bahwan Automobile, dystrybutorowi samochodów w Omanie. W sumie przez kilka lat z kont Nissana miało zniknąć nawet 15 mln dol., z czego jedna trzecia trafiła rzekomo na prywatne konto kontrolowane przez wpływowego biznesmena.

Tym razem – mimo żarliwych protestów prokuratury – japoński sąd pozwolił mu opuścić celę jeszcze w kwietniu. Po wpłaceniu kolejnej kaucji (o równowartości 17 mln zł) Ghosn wrócił do swego luksusowego mieszkania w japońskiej stolicy. Został jednak objęty aresztem domowym. Na co dzień miał surowy zakaz nawet krótkotrwałego opuszczania swego tokijskiego apartamentu, a także zakaz kontaktowania się z rodziną. Nawet na święta Japończycy odmówili mu zgody na spotkanie z żoną, która o pomoc w kwestii „okrutnego” traktowania jej męża zwracała się m.in. do prezydentów Francji oraz USA.

Początek procesu zaplanowano na kwiecień 2020 r., ale sprawa jest tak złożona, że niewykluczone, iż termin

■ rozpoczęcia procesu zostałyby przełożony. Nawet jednak gdyby sprawa ruszyła w terminie, to obrońcy biznesmena nie mieliby łatwego zadania. Japońscy śledczy ani myślą bowiem, aby zastosować wobec bogacza taryfę ulgową. A zwyczajowo w przypadku tego typu zarzutów skazywanych jest w Japonii ponad 99 proc. oskarżonych. Gdyby Ghosn został skazany, mógłby trafić za kratki nawet na 15 lat.

Do tego – jak donoszą francuskie media – prokuratorzy w Tokio uzyskali w ostatnich tygodniach nowe informacje obciążające podejrzanego zarówno z jednego ze szwajcarskich banków, jak i z instytucji finansowych działających w rajach podatkowych, takich jak Dubaj czy Wyspy Dziewicze.

Tuż przed końcem 2019 r. media obiegrała jednak informacja o ucieczce byłego prezesa. Ucieczce tak zuchwałej, że nie powstydziliby się jej sam James Bond. Według francuskich i amerykańskich mediów biznesmen do Libanu przyleciał z Turcji na pokładzie prywatnego odrzutowca. Według „Le Monde” do Turcji dostał się zaś na pokładzie maszyny, która wystartowała z „jednego z dyskretnych lotnisk archipelagu japońskiego”. Opuszczenie Japonii słynnemu menedżerowi miało uniemożliwić oddanie wszystkich trzech paszportów. Niewykłuczone więc, że Ghosn opuścił Japonię, używając podrobionego paszportu, wystawionego na inne nazwisko. Całą ucieczkę miała zorganizować jego żona – Carole – przy pomocy innych członków rodziny.

– Nie uciekłem przed sprawiedliwością. Uciekłem przed niesprawiedliwością i politycznym prześladowaniem. Japoński system sprawiedliwości jest zaprzeczeniem podstawowych praw człowieka – oświadczył Ghosn po wylądowaniu w Libanie, podkreślając, że zmęczyło go bycie „przemysłowym zakładnikiem”. Charyzmatyczny biznesmen próbował także zaskarbić sobie przychyłność światowych mediów, tłumacząc, że dzięki ucieczce będzie mógł również swobodnie rozmawiać z dziennikarzami.

Interpol przesłał do władz Libanu list z żądaniem aresztowania Ghosna. Ścigania byłego szefa Nissana i Renault żąda też Japonia, która wystosowała w jego sprawie tzw. czerwoną notę. Liban nie ma jednak umowy ekstradycyjnej z Japonią, a poza tym nie wydaje własnych obywateli. A do tego charyzmatyczny menedżer od wielu lat ma w tym kraju status gwiazdy – w 2017 r. władze wypuściły

nawet znaczek pocztowy przedstawiający Ghosna, reprezentującego historię libańskiego sukcesu na arenie globalnej. I chociaż Japonia przeznacza duże kwoty na pomoc dla Libanu, to wciąż istnieje duże prawdopodobieństwo, że mówiący płynnie po arabsku biznesmen nie tylko uniknie procesu w Japonii, lecz także zyska szansę, aby wykorzystać swoje umiejętności i zdobyć ważne miejsce na libańskiej scenie politycznej.

Wbrew obawom niektórych ekspertów afery nie zakończyła się rozbiemem motoryzacyjnego aliansu, choć zarówno japońska, jak i francuska firma po aresztowaniu Ghosna weszły na wzburzone wody. We wrześniu 2019 r. prezes Nissana Hiroto Saikawa – to jego informacje doprowadziły do aresztowania Ghosna i to on był jednym z głównych przeciwników pełnego połączenia Nissana z Renault – został przez radę nadzorczą poproszony o odejście ze stanowiska. Na

**Gdyby Carlos Ghosn
został skazany,
mógłby trafić za kratki
japońskiego więzienia
nawet na 15 lat**

jaw wyszły bowiem informacje o tym, że Saikawa wraz z kilkoma innymi członkami kierownictwa otrzymał nienależne wynagrodzenie. Nie trafił jednak za kratki, ponieważ nie zrobił niczego nielegalnego i obiecał zwrócić niesłusznie otrzymane pieniądze. Po jego odejściu japońska firma w krótkim czasie musiała znaleźć kolejnego prezesa. Został nim sprawny menedżer Makoto Uchida. Kryzys w firmie doprowadził jednak do spadku sprzedaży japońskich samochodów, niższych przychodów oraz zysków, a także mniejszych szans na wypłatę dywidendy za kończący się w marcu rok finansowy. Japończycy musieli więc ogłosić kolejną restrukturyzację, której głównym założeniem jest redukcja zatrudnienia o kolejne 12,5 tys. osób. Najważniejszym zadaniem nowego prezesa będzie jednak odbudowanie zaufania i silnej marki Nissana.

W październiku 2019 r. również Francuzi zdecydowali się na wymianę dyrektora generalnego swojej marki, który objął stery po aresztowaniu Ghosna. Odwołany

niespodziewanie Thierry Bolloré, niegdyś bliski współpracownik aresztowanego Carlosa Ghosna, ubolewał w mediach, że do jego wyrzucenia doszło w wyniku „niepokojącego zamachu stanu”.

Personalne rewolucje w sojuszu doprowadziły do niższych przychodów francuskiej firmy. Sprawili także, że Renault wycofał się z rozmów o ewentualnej fuzji z Fiatem Chryslerem. Główny akcjonariusz francuskiego koncernu – francuski rząd – uznał bowiem, że lepiej skupić się na jednej rzeczy naraz, czyli na wzmocnieniu aliansu z japońskim Nissanem.

Ta decyzja sprawiła, że pod koniec 2019 r. sojuszowi Renault-Nissan-Mitsubishi oraz Volkswagenowi doszedł więc nowy wielki rywal, czyli wart aż 50 mld dol. koncern powstały po gigantycznej fuzji amerykańskiej grupy Fiat Chrysler Automobiles oraz francuskiej PSA Peugeot. Efekt synergii powinien pozwolić zaoszczędzić Fiatowi i Peugeotowi ponad 4 mld dol. rocznie.

AFERA VOLKSWAGENA

Nissan nie jest jedynym wielkim koncernem motoryzacyjnym, którego byli prezesi mają na karku poważne zarzuty prokuratorskie. W grudniu śledczy weszli do siedziby Volkswagena w niemieckim Wolfsburgu. Cel przeszukania: zabezpieczenie dokumentów w związku ze śledztwem dotyczącym tzw. afery dieslowej.

We wrześniu 2019 r. dyrektor generalny Volkswagena Herbert Diess, prezes firmy Hans Dieter Poetsch oraz były szef koncernu Martin Winterkorn zostali oskarżeni przez prokuraturę o manipulacje rynkowe i celowe niepoinformowanie inwestorów o możliwych skutkach afery dieslowej. W 2015 r. niemiecki koncern z siedzibą w Wolfsburgu przyznał, że w samochodach było instalowane specjalne oprogramowanie, które oszukiwało podczas testów emisji spalin. W ciągu kilku kolejnych dni akcje spółki straciły ponad jedną trzecią swojej wartości.

Sam koncern na grzywny, niezbędną modernizację silników oraz inne koszty związane z aferą dieslową wydał już ponad 30 mld euro. W 2020 r. Volkswagen może stracić kolejne miliardy euro. W grudniu ruszył bowiem proces, w którym rząd Kanady oskarżył niemiecki koncern o naruszenie przepisów dotyczących ochrony środowiska. Na rozstrzygnięcia prawne w sprawie „dieselgate” czeka również wielu polskich kierowców.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Wytransfero- wywani

Jeden obraz wart jest tysiąca słów – mówi chińskie przysłowie. Ten obraz wart jest miliardów – słów lub złotych – jak kto woli. A właściwie – jednego i drugiego.

To zwykły wykres słupkowy, który poraża swą jednoznaczną wymową. Wykres będący ilustracją artykułu zamieszczonego w „Politico” przez zasiadającą w Komitecie budżetowym Parlamentu Europejskiego europoseł Clotilde Armand – artykułu o tym, kto naprawdę jest owym legendarnym „płatnikiem netto” w ramach Unii Europejskiej, czyli – innymi słowy – które państwa per saldo łożą na utrzymanie których: stare państwa UE na utrzymanie nowych – jak się próbuje nam wmówić – czy wręcz przeciwnie – nowe państwa UE – te z Europy Środkowej, takie jak Polska, Czechy, Rumunia, Bułgaria itd. – na utrzymanie starych, takich jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania itd.

Obraz ten nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Widać na nim – niczym na dłoni – jak w przypadku poszczególnych krajów mają się do siebie dwie kluczowe wielkości. Czyli – z jednej strony – roczny przyrzut transferów netto z UE do tego kraju (a więc różnica między wpływami otrzymanymi z unijnych funduszy a własnymi wpłatami do budżetu UE), mierzony jako odsetek PKB tego państwa (średnia za lata 2010–2015), a z drugiej strony roczny odpływ z tego kraju zysków i innych dochodów majątkowych, także wyrażony jako

odsetek PKB tego państwa (średnia za lata 2010–2016).

W przypadku Polski, która z oczywistych powodów interesuje nas najbardziej, w latach 2010–2015 co roku wpływała do naszego kraju z UE średnio równowartość nieco ponad 2 proc. naszego PKB, a wypływała równowartość nieco ponad 4 proc. PKB. Podobnie było w przypadku Słowacji. W przypadku Czech wpływała równowartość trochę mniej niż 2 proc. PKB, a wypływała równowartość trochę mniej niż 8 proc. PKB. W przypadku Węgier wpływała równowartość 4 proc. PKB, a wypływała równowartość niemal 8 proc. PKB. Dużo mniej nie zrównoważone, ale w każdym przypadku zawsze i tak na niekorzyść państw z naszego regionu Europy, było saldo transferu pieniędzy do i z Litwy, Łotwy, Bułgarii i Rumunii.

Przywołując ten obraz – obraz wykresu z „Politico” – nie zamierzam kwestionować przynależności naszego państwa do Unii Europejskiej. W przypadku Polski obecność w UE i NATO ma przecież gigantyczną wartość geopolityczną – kluczową dla naszego bezpieczeństwa. Wszelako warto wiedzieć, że ta polisa bezpieczeństwa – tak jak zresztą żadna polisa – nie jest za darmo i w przypadku przynależności do UE kosztuje nas co roku ok. 2 proc. PKB Polski. Czyli, z grubsza licząc, ok. 40 mld zł.

Warto wiedzieć i starać się – wzorem Litwy, Łotwy, Bułgarii i Rumunii – jej koszt minimalizować. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Dekada Wielkiego Brata

Od ok. 10 lat codziennie biegam godzinę, a podczas biegania słucham audiobooków.

Rocznie to ok. 350 godzin nagrań, czyli jakieś 30–35 książek, a w ciągu minionej dekady ponad 300 przeczytanych, a raczej przesłuchanych książek. Nie czytam książek beletrystycznych ani poezji, której piękna mój ścisły umysł nie rozumie, tylko literaturę faktu i popularnonaukową lub naukową. Spośród tych wszystkich pozycji minionej dekady uważam, że każdy powinien przeczytać dwie: „Permanent Record” („Pamięć nieulotna” w polskim tłumaczeniu) autorstwa Edwarda Snowdena i „Mindf*ck” napisaną przez Christophera Wylie. Obie książki pokazują, w jaki sposób nowoczesne technologie cyfrowe, takie jak Internet, telefonia komórkowa, sieci społecznościowe, uczenie maszynowe i sztuczna inteligencja, są wykorzystywane przez polityków i rządy w rozwiniętych i podobno demokratycznych krajach zachodniej cywilizacji do śledzenia i manipulowania ludźmi, którzy o niczym nie mają pojęcia.

Edward Snowden w swojej biografii opisuje, w jaki sposób amerykańskie służby specjalne są w stanie odtworzyć na podstawie śladu cyfrowego niemal każdą godzinę życia prawie każdego człowieka. Tę umiejętność prawdopodobnie posiadają też służby specjalne Rosji, Chin czy Izraela. Dlatego dzisiaj nie istnieje prywatność. Każdy, kto ma telefon komórkowy, bezwzględnie stał się jednym z kilku

miliardów aktorów w serialu „Wielki Brat”, reżyserowanym przez polityczne, medialne i finansowe elity.

W książce „Mindf*ck” Christopher Wylie, który pracował wiele lat jako chief data scientist w Cambridge Analytica, opisuje, w jaki sposób ta i powiązane z nią firmy dokonywały przewrotów politycznych w wielu krajach, wykorzystując Internet, sieci społecznościowe i uczenie maszynowe oraz nieco starsze metody, takie jak kradzież wrażliwych danych lub uwodzenie i filimowanie ofiar uprawiających seks z podstawionymi kobietami lub mężczyznami. O ile takie manipulacje w Afryce nie budzą większego zainteresowania w świecie Zachodu (z powodu ciągłej obecnej mentalności kolonizatorów), o tyle gdy podobne działania podejmuje się podczas wyborów prezydenckich w USA lub referendum dotyczącego brexitu, to możemy mówić o fikcyjnej demokracji. Co prawda, warstwa polityczna książki jest obciążona preferencjami autora (homoseksualista, liberał i demokrata), ale świetnie i szczegółowo są opisane techniki, które wykorzystywano do skutecznego manipulowania ludźmi, setkami milionów ludzi.

Minioną dekadę można określić mianem dekady Wielkiego Brata. Rozwój technologii cyfrowej inwigilacji i manipulacji jest tak gwałtowny, że w kolejnej dekadzie możemy doświadczyć narodzin Matrixa. ©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



Jakub Wozinski

Obniżanie limitu płatności dla przedsiębiorców, terminale płatnicze dla parafii, a ostatnio także obligacje o zerowym oprocentowaniu – to tylko niektóre pomysły rządu na wyeliminowanie gotówki



FOT. ADRIAN STOK

Od kiedy nowym ministrem finansów został Tadeusz Kościński, wysiłki państwa na rzecz wprowadzenia obiegu bezgotówkowego uległy znacznej intensyfikacji. Fakt ten nie dziwi, gdyż ów polityk już od wielu lat jest jednym z głównych zwolenników dokonania głębokich zmian w obrocie pieniężnym. Kościński uchodzi także za najważniejszego inspiratora powstania fundacji Polska Bezgotówkowa, którą powołano do życia w 2017 r. Instytucja ta koordynuje wysiłki banków oraz operatorów programów płatniczych na rzecz możliwie jak największej digitalizacji systemu płatności.

MODERNIZACJA CZY ZYSKI BANKÓW?

Zabiegi, aby Polska przestawiła się na płatności bezgotówkowe, nie są bynajmniej wymysłem samych banków, gdyż już od dwóch lat realizowany jest rządowy program „Od papierowej Polski do cyfrowej”, prowadzony wspólnie przez ministerstwa rozwoju, cyfryzacji, finansów, infrastruktury i edukacji narodowej. Odejdźcie od pieniądza fizycznego na

Bezgotówkowa ofensywa

rzecz wirtualnego ma stanowić element szerszego programu modernizacji całej administracji państwowej i dostosowania do wymogów współczesnej gospodarki. Oprócz e-recept, e-paragonów czy e-skierowań do lekarza Polacy mają się docelowo nauczyć korzystać z „e-pieniędzy”, czyli środka płatniczego przyjmującego postać cyfrowego zapisu.

Chęć modernizacji administracji państwa w zakresie obrotu pieniężnego niesie jednak ze sobą bardzo poważne zagrożenia, które nie mogą być

lekceważone. Zdaniem prof. Roberta Gwiazdowskiego promowania nowego rodzaju płatności zdecydowanie nie da się sprowadzić do chęci unowocześnienia gospodarki: „Likwidacja gotówki jest na korzyść rządzących oraz banków, a minister Kościński jest przecież bankierem. Po pierwsze, obrót bezgotówkowy zmniejsza koszty funkcjonowania państwa, które nie musi wydawać pieniędzy na druk gotówki. Po drugie, zwiększa zyski banków, które zarabiają na obrocie bezgotówkowym. Po trzecie,

obrót bezgotówkowy ułatwia inwigilację obywateli”.

W przeciwnieństwie do recept, paragonów czy urzędowych wniosków pieniądze odgrywają w życiu społecznym o wiele bardziej fundamentalną rolę, szczególnie w sytuacji, gdy państwo nadużywa swoich kompetencji. Polskie państwo trudno dziś pośądzić o skrajny ucisk wobec obywateli, niemniej jednak nie wolno zapominać o tym, że gotówka zapewnia zawsze obywatelom spory margines niezbadanej anonimowości i prywatności wobec władzy. W razie jej likwidacji nasze życie może się stać dla państwa niebezpiecznie transparentne.

LIMITY I TERMINALE DLA PARAFII

Kontrowersje związane z coraz szerzej zakrojoną kampanią przeciw gotówce pojawiły się jeszcze przed objęciem posady ministra finansów przez Tadeusza Kościńskiego. W 2017 r. Sejm wprowadził zmianę polegającą na obniżeniu limitu płatności gotówką dla firm z 15 tys. euro do 15 tys. zł. Obecnie Ministerstwo Finansów otwarcie zastanawia się nad obniżeniem limitu aż do poziomu 8 tys. zł. Spodziewane korzyści z takiego zabiegu mają wygenerować spore oszczędności (nawet 20 mld zł) dzięki niższym kosztom wytwarzania czy transportu monet i banknotów.

Pełniąc jeszcze funkcję wiceministra finansów, Kościński przekonywał nieustannie, że gotówka stanowi tak naprawdę wielkie obciążenie dla gospodarki, a koszty jej utrzymywania wynoszą nawet 1 proc. PKB. Nie dziwi więc, że po przejęciu sterów nad polskimi finansami rozpoczął zakrojone na szeroką skalę działania na rzecz jak najszybszej zmiany systemu pieniężnego.

W tym celu minister finansów spotkał się nawet niedawno na specjalnej debacie z przewodniczącym episkopatu abp. Stanisławem Gądeckim. Hierarcha odniósł się do inicjatywy wprowadzenia we wszystkich polskich parafiach terminali płatniczych z pewną rezerwą, wskazując m.in. na o wiele bardziej pilne potrzeby związane z remontem świątyń. „Boję się jednak tego, że podejmowanie w ogóle takiego tematu będzie dla niektórych osób czy dla mediów dowodem na pazerność Kościoła” – skomentował.

Równoległe ze zmniejszaniem limitów płatności czy upowszechnianiem terminali na parafiach minister Kościński zaproponował także niedawno

emisję specjalnych zeroprocentowych obligacji. Jako że wcześniej szerokim echem odbiła się jego medialna wypowiedź, że Polacy trzymają „w skarpetkach” 200 mld zł, pomysł ten można odczytywać nie tylko jako próbę skorzystania z pokaźnej puli niewykorzystanych środków, lecz także jako kolejny sposób na walkę z gotówką. Pod obecnym zarządem Ministerstwo Finansów zakłada zapewne, że skusiwszy Polaków na zakup obligacji, będzie w stanie ściągnąć z obiegu zastępczniki, oddając je później w formie elektronicznej. Zachętą do udziału w całym procederze ma być atrakcyjna loteria.

Pozornie mogłoby się wydawać, że bezgotówkowa ofensywa najbardziej zagraża ludziom posiadającym sporo pieniędzy. Mowa wszak o oszczędnościach czy limitach płatności dla przedsiębiorców. Jak jednak mówi „Do Rzeczy” prof. Gwiazdowski, najbardziej poszkodowanymi mogą być ostatecznie ludzie z problemami finansowymi: „Na całą kwestię warto spojrzeć jeszcze z innej strony. Mamy w Polsce całkiem sporą grupę ludzi, którzy wpadają w różnego rodzaju tarapaty finansowe. Jest ich nawet kilkaset tysięcy. Niektórzy z tego wychodzą, niektórzy nie. Jeżeli tego rodzaju ludzie są dłużnikami, to pieniądze z ich konta bankowego może zająć albo prywatny komornik, albo komornik z urzędu skarbowego. [...] W związku z tym nie będą w stanie pożyczyć pieniędzy tak, żeby nie zajął ich wierzyciel. Eliminuje się w ten sposób możliwość radzenia sobie w bardzo trudnej sytuacji. Oczywiście długi należy spłacać, ale trzeba najpierw móc zjeść śniadanie, żeby być w stanie je odpracować. Problem ten nie dotyczy więc tylko przedsiębiorców, osób, które przed fiskusem uciekają; to może spotkać każdego”.

Oficjalnie kampania na rzecz eliminacji gotówki prowadzona jest pod sztandarem walki z szarą strefą. Jak jednak wskazuje wielu ekspertów, ograniczanie płatności gotówką nie przekłada się w żaden zauważalny sposób na likwidację szarej strefy. Winna nie jest wcale gotówka, tylko system podatkowy państwa, który albo zniechęca do płacenia podatków ze względu na wygórowane stawki, albo umożliwia oszustwa podatkowe, które tak jak w przypadku karuzeli VAT-owskich dokonują się właśnie za pomocą przelewów. Walka z szarą strefą brzmi więc jak doskonały pretekst, lecz

tak naprawdę ważniejsze wydają się zupełnie inne cele.

POLACY NIEUFNI

Największe nadzieje budzi bardzo rozsądna postawa polskiego społeczeństwa, które pomimo zakrojonej na szeroką skalę akcji przeciwko gotówce zachowuje wciąż spore przywiązanie do tradycyjnych form płatności. Nie stanowi to wcale przejawu żadnej fobii wobec nowoczesnej technologii, lecz wynika w sporej mierze z doświadczeń z okresu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej. Według danych Narodowego Banku Polskiego w 2018 r. wartość transakcji dokonywanych gotówką tak naprawdę wręcz wzrosła, a nie zmalała.

Profesor Gwiazdowski jest przekonany, że pomimo ambitnych planów ministra finansów wcielenie ich w życie może okazać się niezwykle kłopotliwe: „Rządowi ten plan na pewno się nie uda. Jeżeli rząd zlikwiduje gotówkę, to ludzie wymyślą jakiś inny pieniądz, np. kiedyś funkcjonowały bony towarowe PeKaO udające dolary”. Obecnie w Polsce nie ma wprawdzie jeszcze potrzeby wynalezienia nowej waluty tego typu, lecz w razie konsekwentnego realizowania obecnej strategii pomysł ten może kiedyś doczekać się realizacji.

Jak może wyglądać społeczeństwo bezgotówkowe? Dobrej ilustracji dostarcza Szwecja, w której płatności elektroniczne to już niemal 99 proc. wszystkich transakcji, a z gotówki korzystają już niemal tylko ludzie starsi bądź imigranci przybyli z ubogich krajów. Nie wykształcił się tam na razie żaden alternatywny środek płatniczy, ale być może wynika to ze szczególnego charakteru Szwedów. W ostatnich miesiącach bardzo modne w Szwecji stało się umieszczanie pod skórą dłoni specjalnych mikroczipów służących nie tylko do płatności, lecz także np. do otwierania drzwi. Obecnie korzysta z nich już ponad kilkadziesiąt tysięcy osób.

Beztroskie zachowanie Szwedów, którzy stwarzają ogromne pole do nadużyć w sferze ich prywatności, stanowi część szerszego problemu. Polityka imigracyjna czy terror poprawności politycznej pokazują, że naród ten faktycznie utracił instynkt samozachowawczy. W tej perspektywie polskie doświadczenie komunizmu wydaje się wręcz atutem, gdyż Polacy zachowują wciąż zdrowy dystans wobec władzy. Dzięki temu mamy szansę na to, że nie rozstaniemy się nigdy z gotówką.



Tomasz Cukiernik

Praktyka pokazuje nagminną dyskryminację polskich firm na unijnym rynku

W Danii problemem jest RUT, czyli rejestr zagranicznych zleceniobiorców. Do rejestru zobowiązani są wpisywać szczegółowe dane wszyscy przedsiębiorcy zagraniczni najpóźniej w dniu rozpoczęcia wykonywania pracy. Te dane są następnie upubliczniane. Wykorzystują to związki zawodowe i różne inspekcje.

Kiedy związki dowiadywały się, że polska firma będzie wykonywała prace na jakimś placu budowy, przyjeżdżały i ten plac blokowały, podnosząc argument, że to dumping płacowy. Zmuszały polskie firmy, szczególnie z branży budowlanej, do przystępowania do układów zbiorowych po to, aby po jakimś czasie pojawić się z tzw. kontrolą wykonywania warunków układu i doszukiwać się nieprawidłowości.

BY ZNISZCZYĆ KONKURENCJĘ

Z kolei duńska administracja skarbową wychodziła z założenia, że jeśli duński zleceniodawca zatrudnia wykonawcę np. z Polski, wówczas nie jest to delegowanie w pracy w ramach swobody przepływu usług, tylko wynajmowanie siły roboczej (jak to jest w przypadku agencji pracy tymczasowej), które jest każdorazowo obciążone 30-procentowym podatkiem płaconym nie przez zleceniobiorcę, tylko przez zleceniodawcę, który zwykle potrącał go z faktury polskiego zleceniobiorcy. W efekcie każda firma, która delegowała swoich pracowników do pracy, musiała płacić 30-procentowy podatek.

Na różne przeszkody na unijnym rynku trafiają polscy producenci mebli. Jak czytamy w raporcie Fundacji Republikańskiej pt. „Bariery dla polskich przedsiębiorców działających na rynkach Unii Europejskiej” z października 2019 r., niemieckie firmy meblarskie mają przewagę rynkową, bo ich przedstawiciele handlowi mają lepszy dostęp do bardzo hermetycznych i potrafiących wywierać silną presję cenową grup zakupowych w raporcie dodano, że „normalną konkurencję rynkową zakłócają instytucje państwowe, np. poprzez kon-



(Nie)jednolity rynek

trolę polskich produktów przez tamtejszy odpowiednik nadzoru budowlanego, bądź poprzez wymaganie w prowadzonych postępowaniach przetargowych dodatkowych certyfikatów, których uzyskanie przez producentów spoza danego kraju jest znacznie utrudnione”.

Ponadto polscy producenci wskazują na takie trudności jak preferowanie badań dokonywanych przez jednostki notyfikowane z konkretnego kraju, nieproporcjonalne wydłużenie procedur badawczych i certyfikujących, rozbieżności interpretacyjne obowiązujących przepisów czy trudności w uzyskaniu członkostwa w ważnym lokalnym związku. – Wiele krajów wykorzystuje przepisy techniczne, warunki techniczne nie tylko z powodu dbałości o jakość obiektu budowlanego, lecz także z tytułu ochrony swojego przemysłu materiałów budowlanych przed

konkurencyjnymi wyrobami z innych krajów członkowskich – mówi Ryszard Kowalski, ekspert interesu publicznego, były prezes Związku Pracodawców-Producentów Materiałów dla Budownictwa.

BRAK WZAJEMNOŚCI

Już od kilkunastu lat ciągnie się batalia firmy Fakro, producenta okien dachowych, która oskarża duńską firmę Velux, lidera tego rynku w UE, o utrudnianie rozwoju poprzez stawianie nieformalnych barier, oczernianie czy stosowanie dumpingowych cen. Inne problemy napotkał Tomasz Sommer, redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!”, który na rynku niemieckim wydawał gazetę „Gigasport Deutschland”. – Dali mi bardzo złe prowizje od sprzedaży. Druga rzecz – agencja reklamowa z góry powiedziała, że dla Polaków nie będzie żadnej reklamy – mówi Sommer.

Kiedy w 2003 r. PKN Orlen kupił w Niemczech kilkaset stacji benzynowych i zmienił ich logo na „Orlen”, mocno spadała sprzedaż paliw. Niemcy nie chcieli tankować na polskich stacjach. Dopiero powrót niekojarzonego z Polską logo „Star” poprawił sytuację. Podobne kłopoty ze sprzedażą swoich produktów na rynkach Europy Zachodniej ma polska branża spożywcza. – Największym problemem jest brak mechanizmu wymiany towarowej w sieciach handlowych obecnych w Polsce, tj. umożliwienie zbytu polskich produktów w krajach, z których pochodzi główny kapitał zagranicznych sieci, np. Netto, Lidl, Kaufland, Carrefour, Auchan – mówi Adrianna Sapińska, rzecznik prasowy Mlekovity. – Jest to raczej kwestia bardzo wysoko rozwiniętego w tych krajach patriotyzmu konsumenckiego – tłumaczy.

W wielu krajach Europy Zachodniej jest też nagonka na polskie firmy transportowe. – Mamy 500 członków z branży transportowej w Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. Większość z nich dojeżdża do granicy francuskiej, odpina przyczepę, którą przekazuje komuś innemu – szaleńcom, bo te szczegółowe kontrole wszyskiego co 50 km są nie do wytrzymania – opowiada prezes Cezary Kaźmierczak. Częste kontrole polskich kierowców potwierdza Jan Buczek, prezes Zrzeszenia Międzynarodowych Przewoźników Drogowych w Polsce. – Żeby kierowca mógł wykonywać pracę we Francji, Włoszech, w Niemczech czy Beneluksie, jego przejazd musi być wcześniej zgłoszony do zagranicznych organów odpowiedzialnych za kwestie socjalne i delegowanie pracowników; przedsiębiorca delegujący kierowcę musi mieć swojego przedstawiciela na miejscu, któremu trzeba przekazać elektronicznie całą dokumentację związaną z delegowaniem pracownika (potwierdzenie zapłaty płacy minimalnej, ewidencję godzin pracy w kraju przyjmującym, umowę o pracę itp.). Na dodatek kierowca jest zatrzymywany, gdy tylko policja zobaczy polską rejestrację – opowiada prezes Buczek.

Olivi do ognia niejednokrotnie dolewają politycy, szerząc czarny PR o polskich produktach. W 2013 r. Mette Gerskov, minister rolnictwa Danii, ostrzegała na Twitterze, że polskie produkty (chodziło o warzywa, owoce, mięso) to „więcej pestycydów, gorsze traktowanie zwierząt i niższe płace”. „W Danii argumenty i debata w mediach o rzekomym zalewie polską żywnością doprowadziły do ograniczenia

skali sprzedaży polskiej żywności w jednej z sieci handlowych” – podaje raport Warsaw Enterprise Institute z 2018 r. pt. „Bariery i utrudnienia dla polskich firm w Unii Europejskiej”.

Złą prasę mają także polskie produkty spożywcze w Czechach. W lutym br. Miroslav Toman, czeski minister rolnictwa, powiedział publicznie, że nie wierzy w polski system kontroli sanitarnej, i zaapelował do Czechów, aby unikali zakupu mięsa z Polski. Raport WEI wymienia także szereg innych działań uderzających w polskie firmy z tej branży: konieczność wieloletniego przechowywania dokumentów związanych z transakcją, i to na terenie państwa docelowego, konieczność zawiadamiania z wyprzedzeniem o transportach wraz z precyzyjnym określeniem asortymentu i wagi, obowiązki informacyjne o produkcie czy uciążliwe kontrole urzędników sprawdzających, czy opis produktu jest zgodny ze szczegółowymi wytycznymi dotyczącymi opakowań.

CZTERY SZCZURY W CARREFOURZE

Jak czytamy w przywołanym raporcie Fundacji Republikańskiej, „ten wolny i jednolity rynek europejski wcale taki nie jest, a dzieje się tak głównie poprzez stosowanie zarówno formalnych, jak i nieformalnych barier i obostrzeń w poszczególnych krajach. Ich celem jest uniemożliwienie bądź mocne ograniczenie ekspansji, a w niektórych przypadkach właściwie wręcz wyeliminowanie z lokalnego rynku firm konkurencyjnych wobec rodzimych podmiotów. W znacznej mierze dotyczy to polskich przedsiębiorców”.

„Polscy eksporterzy szacują, że ponad 30 proc. produktów eksportowanych do państw UE, stawiających bariery importowe, spotyka się z dyskryminacją. Średnio na ich pokonanie potrzeba więcej niż cztery dni robocze. Powstałe w wyniku dodatkowych działań koszty szacuje się na około 4 proc. całkowitej wartości eksportu” – informuje cytowany raport WEI. – Jeśli chodzi o ochronę swojego rynku, najbardziej agresywna jest Francja – uważa Kaźmierczak, podając przykład polskiej firmy, która dostarczała produkty spożywcze do sieci francuskich hoteli. Po anonimowym donosie zarządzono kontrolę i tamtejszy sanepid wstrzymał dostawy. Dochodzenie trwało pół roku, po czym nic nie stwierdzono. Firma została wypłukana z tego rynku. To również we Francji funkcjonuje tzw. klauzula Moliera

dyskryminująca pracowników niemówiących po francusku.

Co w tej sytuacji powinna robić strona polska? Ekspert Fundacji Republikańskiej uważają, że „polskie służby dyplomatyczne powinny być wyczulone na działania poszczególnych państw ograniczające funkcjonowanie wolnego, jednolitego rynku i odpowiednio szybko oraz mocno im przeciwdziałać, a w razie potrzeby eskalować problem na najwyższe poziomy struktury europejskich”. – Polska będzie skuteczna, jeśli będzie w stanie się temu przeciwstawić na poziomie politycznym. Robią z nami to, co robimy, bo nie stosujemy żadnych retorsji – mówi prezes Kaźmierczak. Na razie w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii powstaje „czarna księga”, która zbiera od polskich przedsiębiorców sygnały o protekcyjnych praktykach w krajach unijnych. Poseł Tomasz Rzymkowski z PiS radzi polskiej firmie, której ogranicza się próby ekspansji na rynki europejskie, by złożyła skargę do Trybunału Sprawiedliwości UE. – Znam kilkadziesiąt casusów, gdzie ETS stanął po stronie przedsiębiorców, którzy byli dyskryminowani na obszarze innego państwa członkowskiego – mówi dr Rzymkowski.

W maju br. duński Sąd Najwyższy uwolnił polską firmę BIC Electric od zarzutu nieujawnienia w rejestrze RUT wrażliwych informacji. BIC Electric argumentowała, że publikacja zawartych w rejestrze RUT wrażliwych danych może zostać nieuczciwie wykorzystana przez duńską konkurencję, której podobny rejestr nie dotyczy, co jest sprzeczne z unijną zasadą wolnego przepływu usług. Mniej szczęścia ma Fakro. Jak informuje Anna Korczyk z Fakro, firma od 2006 r. walczy na forum unijnym z firmą Velux o swoje prawa. Jednak do tej pory Komisja Europejska dwa razy zamknęła postępowanie, nie podejmując merytorycznego rozstrzygnięcia mimo przedstawionych ponad 400 dowodów w sprawie. Fakro odwołała się do Trybunału Sprawiedliwości UE. Postępowanie trwa. Inni sugerują bardziej radykalne rozwiązanie. – Gdyby sanepid znalazł cztery szczury w Carrefourze i zamknął na jakiś czas tę sieć do sprawdzenia, to gwarantuję, że skończyłyby się polowania na kierowców polskich ciężarówek we Francji – podpowiada polskim władzom jeden z przedsiębiorców znający realia.

Według szacunków minister rozwoju Jadwigi Emilewicz problem z dłużnikami, którzy ociągają się z regulowaniem płatności, dotyka nawet 80–90 proc. działających w Polsce firm. W jego rozwiązaniu pomóc ma ustawa antyzatorowa. Obowiązujące od 1 stycznia 2020 r. przepisy oznaczają m.in. skrócenie terminów na wywiązanie się ze zobowiązań finansowych między przedsiębiorcami do maksymalnie 30 dni od dnia doręczenia faktury w transakcjach handlowych, w których dłużnikiem jest podmiot publiczny (z regulacji tych wyłączone są podmioty lecznicze) oraz do maksymalnie 60 dni w tzw. transakcjach asymetrycznych. Innymi słowy, duzi kontrahenci będą musieli płacić mikro-, małym lub średnim przedsiębiorcom za towary i usługi nie później niż w ciągu 60 dni.

GOTÓWKA JEST KRÓLEM

Czy nowa ustawa może przyczynić się do wyeliminowania zatorów płatniczych? – Nie da się całkowicie zlikwidować zatorów płatniczych, bo powstają one z bardzo wielu przyczyn. Możemy jednak próbować eliminować pewne negatywne zjawiska, których rezultatem są zatory płatnicze – przekonywał podczas debaty „Do Rzeczy” wiceszef Ministerstwa Rozwoju dr Marek Niedużak. – Na przykład niektóre duże firmy stosują model biznesowy, który polega na wymuszaniu wydłużonych terminów zapłaty na swych słabszych kontrahentach, i ten proceder można ograniczyć – dodał.

Zgodnie z ustawą od nieterminowych płatników będzie można również żądać zapłaty wyższych niż obecnie odsetek ustawowych, które wzrosną z 9,5 do 11,5 proc. Finansowanie wymuszonym i nieoprocentowanym „kredytem kupieckim” ma dzięki temu przestać być tańsze niż finansowanie kapitałem własnym czy kredytem bankowym. Czy to rozwiązanie zadziała? – Trzeba poczekać, jak przyjmie to rynek. Niewykluczone, że część firm rzeczywiście uzna, że taniej będzie zapłacić wcześniej kontrahentowi – zauważył dr Konrad Trzonkowski, dyrektor zarządzający Agencji Rozwoju Przemysłu.

Ustawa antyzatorowa została dobrze odebrana przez przedsiębiorców. – Bardzo pozytywnie oceniamy zarówno proces konsultacji przed uchwaleniem nowych przepisów, jak i to, że wprowadzone w ustawie rozwiązania nie wiążą się z większym obciążeniem regulacyjnym dla



W debacie udział wzięli (od lewej): Piotr Palutkiewicz, Marek Niedużak, Konrad Trzonkowski oraz Wojciech Miedziński. FOT. JERZY DUDEK

Bat na dłużników



Jacek Przybylski

Zatory płatnicze to poważny problem dla polskiej gospodarki. Paraliżują działalność nie tylko poszczególnych firm, lecz także całych branż, ograniczając rozwój i zmuszając przedsiębiorców do podnoszenia cen. W rozwiązaniu tego problemu pomóc mają nowa ustawa antyzatorowa oraz takie instrumenty jak faktoring czy leasing zwrotny

przedsiębiorstw – zauważył Piotr Palutkiewicz ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. – Mamy już też dwa postulaty dalszych zmian. Pierwszy to walka z zakazem cesji, który bardzo często pojawia się w umowach między dużym a małym podmiotem. Drugi zaś to wprowadzenie instrumentu odsetek automatycznych, ponieważ mały podmiot często nie ma śmiałości naliczenia odsetek ustawowych. Wprowadzenie tej automatyczności ułatwiłoby egzekwowanie należnych odsetek – dodał Piotr Palutkiewicz.

RAPORTY, ULGI I KARY

Nowe przepisy zakładają również coroczne przekazywanie przez największych podatników podatku dochodowego od osób prawnych (chodzi o grupy kapitałowe i firmy, których dochód przekracza rocznie 50 mln euro) ministrowi ds. gospodarki sprawozdań o stosowanych przez siebie terminach zapłaty. Pierwsze sprawozdania

mają zostać opublikowane już w 2021 r. Chodzi o to, aby – podobnie jak było w przypadku agresywnej optymalizacji podatkowej – przedsiębiorcy zmienili stosunek do przeterminowanych zobowiązań i zaczęli chwalić się, że nie tylko uczciwie płacą podatki w Polsce, lecz także uczciwie traktują swoich kontrahentów.

– Do walki z zatorami ma posłużyć cała gama zawartych w ustawie rozwiązań. Jednym z moich ulubionych jest właśnie publikowanie sprawozdań o praktykach płatniczych dużych firm. Będzie to bowiem ważne źródło informacji dla kontrahentów, którzy będą mogli sprawdzić, jak dana firma traktuje swoje najbliższe otoczenie biznesowe. Po drugie to również pole dla CSR – firmy będą mogły chwalić się tym, że płacą w terminie. To bardzo dobre, miękkie narzędzie, które z powodzeniem funkcjonuje już np. w Wielkiej Brytanii – tłumaczył wiceminister Niedużak.

debata DO RZECZY



Ustawa antyzatorowa przewiduje również ulgi na złe długi w PIT i CIT. Na podstawie nowych przepisów wierzyciel będzie mógł zmniejszyć podstawę opodatkowania o kwotę wierzytelności, jeżeli nie zostanie ona uregulowana lub zbyta w jakiegokolwiek formie w ciągu 90 dni od dnia upływu terminu jej płatności. Dłużnik będzie miał zaś obowiązek podwyższenia przychodu do opodatkowania o kwoty niezapłacone wierzycielowi.

Na walkę z postawą dużych podmiotów, które systematycznie czynią z przeterminowanych należności u podwykonawców lub słabszych podmiotów podstawę darmowego finansowania, wpłynąć mają kary pieniężne nakładane przez prezesa UOKiK. – To najmocniejsze narzędzie przewidziane w ustawie. Kary mają być nakładane zwłaszcza na tych przedsiębiorców, którzy nadmiernie opóźniają się z płatnościami i tym samym generują największe zatory, czyli te podmioty, u których w ciągu trzech kolejnych miesięcy suma przeterminowanych należności przekroczy 5 mln zł, a począwszy od 2022 r. – 2 mln zł. Te podmioty, które nie płacą w terminie, ponieważ same są ofiarami zatorów płatniczych, nie będą karane – tłumaczył wiceminister Niedużak, wyjaśniając, że UOKiK będzie mógł sprawnie wychwycić firmy generujące największe zatory, korzystając z danych Krajowej Administracji Skarbowej.

FAKTORING CORAZ POPULARNIEJSZY

Dla większości polskich przedsiębiorców brak terminowego regulowania faktur stanowi największą przeszkodę w prowadzeniu działalności gospodarczej. Nieterminowe płatności wywołują

bowiem efekt domina: przedsiębiorcy-wierzyciele, którzy nie otrzymali zapłaty w terminie, z tego powodu sami zaczynają tracić płynność finansową i zalegają swoim kontrahentom oraz pracownikom.

– Dużym przedsiębiorcom łatwiej jest zarządzać swoją płynnością, ponieważ mają dużo silniejszą pozycję negocyjacyjną chociażby z instytucjami finansowymi. Dla małych nieterminowe wpłaty często oznaczają być albo nie być – tłumaczył dyrektor Trzonkowski, podkreślając, że ARP – znana wcześniej głównie z restrukturyzacji wielkich firm – w 2019 r. zainaugurowała strategię dla małych i średnich przedsiębiorstw.

– Oczywiście przedsiębiorcy mogą finansować się w bankach komercyjnych, ale jeśli nastąpi np. kolejny kryzys gospodarczy i problem z płynnością sektora finansowego, to na straży będzie stała Agencja Rozwoju Przemysłu. ARP jest płynna i nie podlega prawu bankowemu, dzięki czemu może być bardziej elastyczna – dodał dr Konrad Trzonkowski, podkreślając, że ARP chce nie tyle konkurować z bankami komercyjnymi, ile uzupełniać ich ofertę.

Jednym ze sposobów, który ułatwia rozwiązanie problemu zatorów płatniczych, jest faktoring. Ten znany od lat instrument był w ostatnich latach jedną z najszybciej zyskujących na popularności usług finansowych dla polskich firm. Wartość sfinansowanych przez branżę faktur tylko w pierwszym półroczu 2019 r. wyniosła ponad 130 mld zł. Ze statystyk Polskiego Związku Faktorów wynika, że za prawie połowę obrotów faktorów odpowiadają firmy produkcyjne, a za jedną trzecią dystrybucyjne, mniejsze udziały mają firmy transportowe czy budowlane.

– Faktoring to stworzone przez rynek narzędzie, które pozwala skracać terminy płatności i poprawia komfort funkcjonowania danego przedsiębiorcy. Atrakcyjność stosowania tego instrumentu jest oczywista: przedsiębiorca otrzymuje szybki zastrzyk finansowy, który chroni przed zatorem płatniczym. Usługa jest dostępna dla podmiotów niezależnie od branży, w której działają – zauważył podczas debaty dr Konrad Trzonkowski, podkreślając, że najczęściej przez klientów ARP wybierany jest faktoring pełny z zabezpieczeniem ryzyka kontrahenta, który gwarantuje bezpieczeństwo należności nawet w przypadku braku zapłaty przez odbiorcę. Faktoring to bardzo dobry produkt również, gdy współpracujemy z kontrahentami, którzy

opłacają swoje zobowiązania na czas. Instrument ten pozwala bowiem poprawić strukturę bilansu.

O faktoring w ARP mogą się ubiegać nie tylko duże przedsiębiorstwa, lecz także małe i średnie firmy, których roczne obroty przekraczają 4 mln zł, działają co najmniej dwa lata i prowadzą pełną księgowość. Z czasem Agencja Rozwoju Przemysłu ma też otwierać się również na mikroprzedsiębiorców.

– Ustawa „antyzatorowa” powinna być niejako symulatorem procesu budowania świadomości partnerów biznesowych w obrocie gospodarczym. Agencja Rozwoju Przemysłu, której misją jest wspieranie przedsiębiorców, jest dobrze przygotowana na czas dopasowania się rynku do nowych przepisów – podkreślił prezes ARP Leasing Wojciech Miedziński. – Naszym klientom oferujemy nie tylko faktoring, ale też leasing zwrotny, czyli kolejny instrument, który w bardzo istotny sposób odmraża zainwestowane wcześniej środki pieniężne i poprawia płynność finansową – dodał prezes Miedziński, przypominając, że każdy środek trwały, który podlega amortyzacji, może być przedmiotem leasingu w formule zwrotnej. – Ważne, że ARP już dziś oferuje pełen wachlarz instrumentów finansowych: od pożyczek wielocelowych poprzez leasing operacyjny i finansowy aż do faktoringu – podkreślał Wojciech Miedziński.

O tym, jak ważne są wspomniane instrumenty finansowe, przekonywał również wiceminister rozwoju. – W walce z zatorami płatniczymi rola faktoringu jako dostawcy płynności czy leasingu zwrotnego – który jest dziś chyba najtańszym źródłem kapitału dla małych firm – jest ogromna. Celem zarówno tych instrumentów, jak i ustawy antyzatorowej jest większa płynność przedsiębiorstw, a zwłaszcza małych i średnich firm – zauważył Marek Niedużak.

Z badań wynika jednak, że chociaż polscy przedsiębiorcy znają takie instrumenty jak faktoring, to i tak często wolą skorzystać z tradycyjnego kredytu. Dlaczego? – Pomimo że te instrumenty funkcjonują od lat, to i tak są relatywnie młode i nie wszyscy przedsiębiorcy zdają sobie sprawę z korzyści, które dają – tłumaczył Piotr Palutkiewicz, ekonomista ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, chwając jednocześnie ostatnie działania rządu, zmierzające do ułatwienia funkcjonowania małych i średnich firm.



Łukasz Zboralski

Ogromny skandal w zawodowym tenisie. Ponad 135 graczy podejrzewanych jest o ustawianie wyników meczów. Trwa śledztwo

Wielka ustawka



Tenis ziemny kojarzy się wciąż jeszcze z grą džentelmenów, „białym sportem”. Trudno o inne skojarzenia, gdy korzenie tej gry sięgają brytyjskich trawników z końca XIX w., czyli czasu, gdy słynny major Walter Clopton Wingfield opatentował grę „Lawn tennis” i rozpoczął sprzedaż zestawów zawierających gumowe piłki, siatki, rakiety i instrukcję. Mało kto jednak pamięta, że już wówczas w grze, którą zabawiali się najpierw ludzie z wyższych sfer, istotne mogły być emocje związane z pieniędzmi. Sama wygrana nie była tak ważna, gdyby nie szło o zakład. Te prawdopodobnie często zawierali zarówno sami zawodnicy, jak i – gdy dyscyplina stała się popularna – widzowie meczów. Pieniądz i hazard były więc obecne we współczesnych rozgrywkach od ich narodzin, nigdy chyba jednak na tę skalę, co teraz. Nigdy dotąd też nie były wykorzystywane do potajemnego zarabiania przez wielkie mafie. Nigdy wcześniej nie było takich narzędzi jak dziś. Internetowe zakłady bukmacherskie pozwalają w czasie rzeczywistym obstawiać za pieniądze nie tylko wyniki całych meczów, lecz także drobiazgi, takie jak to, czy zawodnik popełni podwójny błąd przy serwowaniu.

Zarabianie na tenisie wyszło poza krąg zawodników zgarniających wielkie nagrody (zaczęto je w tenisie przyznawać od lat 70. ubiegłego wieku) i wpadło w łapska mafii. Te – jak wskazuje najnowsze śledztwo opisanie przez niemieckie ZDF i „Die Welt” – potrafiły wciągnąć w to setki zawodników z męskiego rankingu ATP.

PŁOTKI I GRUBE RYBY

Jakkolwiek smutno to zabrzmiało, zawodowy tenis od dawna nie jest już czysty. Pokazują to wyniki prac antykorupcyjnej organizacji Tennis Integrity Unit. Tylko w ubiegłym roku zawiesiła ona ponad 20 zawodników. Ostatnie zawodniczki oficjalnie odsunięte od grania w związku z podejrzeniem o korupcję to Albina Khabibulina z Uzbekistanu (deblistka sklasyfikowana na 294. miejscu rankingu WTA) oraz Ksenia Palkina z Kirgistanu (693. w rankingu singlowym WTA i 496. w rankingu debla). Obie – do momentu zakończenia postępowania – w listopadzie 2019 r. odsunięto od jakichkolwiek rozgrywek.

Decyzje TIU oznaczają czasem zawieszenie na kilka lat, a czasem dożywotnią dyskwalifikację. Ostatnim dożywot-

nio usuniętym jest 31-letni Brazylijczyk Diego Matos. W ubiegłym roku zaliczył właśnie najwyższe miejsce w karierze w deblowym rankingu ATP (373.). Okazało się, że rok wcześniej manipulował wynikami 10 meczów w turniejach na poziomie ITF (to turnieje mniejszej rangi, dające szansę na przebicie się do głównych rozgrywek poziomu ATP i WTA) rozgrywanych w Brazylii, Sri Lance, Ekwadorze, Portugalii i Hiszpanii. Brazylijczyk nie chciał współpracować z antykorupcyjnymi śledczymi. Ostatecznie musiał oddać 12 tys. dol. wygranych dzięki ustawianiu meczów na turnieju w Ekwadorze, oprócz tego zapłacić też 125 tys. dolarów kary oraz odłożyć raketę na zawsze. Nigdy już nie wystąpi w zawodowych rozgrywkach.

W ustawkach mieliśmy też polski wątek. Pięć lat temu na ustawianiu meczów zostali przyłapani Piotr Gadomski i Arkadiusz Kocyła. Pierwszy z nich został wykluczony z grania na siedem lat, drugi na pięć lat i w tym roku powinien wrócić już na kort. Obaj musieli też zapłacić po 15 tys. dol. kary. TIU zachował dyskrecję i nie podał, o które mecze chodziło i co zeznali w postępowaniu polscy dwudziestoparolatkowie. Nieoficjalnie mówiło



czy chodzi o singlistów czy deblistów). Postępowanie dotyczące ustawiania meczów pod wygrane bukmacherskie obejmuje wiele krajów – m.in. USA, Belgię, Hiszpanię czy Francję.

Zastępca prokuratora generalnego w Belgii dał do zrozumienia, że tym „biznesem” zarządzała mafia z Armenii. Jej sieć oplotła siedem krajów. Tak jak w innych organizacjach przestępczych funkcjonowała pewna struktura. Są więc i zarządzający tym bossowie, którzy mają ludzi od specjalnych zadań. Jedni są odpowiedzialni za masowe zakładanie pojedynczych kont w serwisach bukmacherskich, za pomocą których obstawiane są zakłady. Inna część mafii zajmowała się praniem pieniędzy uzyskanych w ten sposób. Jeszcze inni działali z „klientami”. To panowie w garniturach, którzy pojawiali się u graczy, oferując im szybkie i duże pieniądze w zamian za określony wynik gry.

Zwykle wybierają zawodników na początku kariery albo takich, którzy nie zarabiają jeszcze dużo i borykają się z ogromnymi kosztami. Ich pokusa przyjęcia łapówki jest wówczas duża. To właśnie tacy panowie przyszli do członków zespołu Serba Novaka Djokovicia na wczesnym etapie jego kariery. W zamian za ustawianie meczów na turnieju w Sankt Petersburgu oferowali 200 tys. dol. Djokovic powiedział o tym tuż przed turniejem Australian Open w 2017 r. Dodał, że wówczas tej oferty nie przyjął i w ogóle wycofał się z turnieju w Rosji.

Ormiańska mafia kontroluje ustawianie meczów tenisowych i zarabia na zakładach bukmacherskich w wielu krajach

Tacy sami panowie przyszli też do Argentyńczyka Marco Trungellitiego. Opowiedział o tym federacji tenisa. I surowo ocenił swoje środowisko. – Są zawodowcy w światowym top 50, którzy majstrowali przy grach. Nie można powiedzieć, że to tylko oszukiwanie na niskich poziomach. Nie, to się dzieje na wszystkich poziomach – stwierdził. O takich spotkaniach powiedziała też prezenterka ZDF i tenisistka Andrea Petković.

Po umówieniu wyniku gry mafia obstawia setki niewielkich sum z wielu kont w serwisach bukmacherskich. To pozwala za każdym razem zgarniać tysiące euro lub dolarów.

Wiadomo, że wśród zamieszanych w obecny skandal jest m.in. niemiecki tenisista Max H. Potwierdził, iż rozpoczął wobec niego procedurę dochodzenia, ale nie chciał wypowiadać się dla mediów na ten temat.

SKRADZIONA PRZYJEMNOŚĆ

Tenis jest dobrym celem bukmacherskiej mafii. Jest bowiem sportem indywidualnym, łatwiej więc ustalić wynik gry, a zarazem jest sportem wielkich wygranych.

Na początku ubiegłego roku tenisową siatkę przestępczą rozbił Europol. W Hiszpanii zatrzymano aż 83 osoby w związku z manipulacjami przy wynikach meczów w turniejach z cyklu Future i Challenger. Przeszukano wówczas 11 mieszkań i skonfiskowano setki tysięcy euro, karty kredytowe, luksusowe samochody i broń. Zamrożone zostały 42 konta bankowe. Wśród 68 przesłuchanych w tej sprawie było 28 zawodowych tenisistów.

Okazało się, że na czele ustawek stał Marc Fornell, 37-letni tenisista (najwyżej notowany w rankingu ATP na 236. miejscu w 2007 r.). Najpierw sam dla siebie ustawiał własne mecze. Potem zaczął współpracować z ormiańską mafią, która zarabiała na tym na dużą skalę. Fornell miał być łącznikiem między gangsterami a ludźmi wykonującymi czarną robotę – czyli wręczającymi łapówki oraz chodzącymi na mecze, by mieć oko na wykonanie „umowy”.

Gang działał co najmniej od 2017 r. i na ustawianiu meczów na kortach poprzez bukmacherskie zakłady zarobić miał miliony euro. W proceder zamieszani byli nie tylko przekupywani zawodnicy, lecz także ich rodziny oraz „inwestorzy”, którzy w ten nieopodatkowany sposób pomnażali swój majątek.

Najnowsze śledztwo wskazuje, że macki ormiańskiej mafii sięgały dalej, niż się wszystkim wydawało.

O tym z pewnością będą pamiętać miłośnicy tenisa, którzy już 20 stycznia zaczęli śledzić wielkoszlemowy Australian Open. Trudno będzie wyzbyć się pytania o to, czy któryś z meczów nie został wcześniej ustalony.

się, że sprawa mogła dotyczyć turniejów w Chinach w 2012 r., gdzie obaj występowali w deblu.

Podobnych spraw jest dużo więcej. I choć nie można takiego zachowania tenisistów wytłumaczyć ani wybaczyć, można wskazać ich motywacje. Tenis to sport wielkich pieniędzy, nie tylko tych wypłacanych w nagrodach. Kosztowne są też wyjazdy na turnieje – a bez udziału w tych niższych rangą nie ma co marzyć o wejściu na inny poziom czy o światowych sukcesach. To dlatego czasem tenisiści decydują się na taki „zwrot kosztów”. Jadą grać, ale ostatecznie wolą chociaż do tego nie dopłacać. Dlatego za pieniądze godzą się ustalać wyniki spotkań, w których biorą udział.

To, co namierzył ostatnio Tennis Integrity Unit, jest sprawą dużo bardziej mroczną. Tam chodziło już tylko o chciwość, a zawodnicy byli jedynie pionkami w grze. Tej toczącej się o miliony dolarów.

CZY ZAGRA PAN DLA MAFII?

Śledczy przyglądają się dziś ponad 135 graczom tenisowym z rankingu ATP. Wśród nich ma być nawet jeden z topowej trzydziestki (nie wiadomo jednak,



Katarzyna Pinkosz

Terapie genowe, retransplantacja serca, pierwsze zastosowania komórek CAR-T – to tylko niektóre sukcesy polskiej medycyny w ubiegłym roku. Co czeka nas w 2020 r.?

Zwykle o polskiej ochronie zdrowia mówi się w kontekście braku pieniędzy, lekarzy, pielęgniarek. Warto jednak zauważyć, że mimo tych braków w wielu dziedzinach polska medycyna to poziom światowy. A w ostatnim roku miała też sukcesy, które warto docenić.

PRZEBUDZENIE

Profesor Mirosław Ząbek, kierujący Interwencyjnym Centrum Neuroterapii Mazowieckiego Szpitala Bródnowskiego, pokazuje filmy z dziećmi poddanymi terapii. Przed zabiegiem nie ma z nimi kontaktu, nie potrafią chodzić, mówić, siedzieć, nie reagują na polecenia, nie uśmiechają się. Po terapii widać, jakby to były zupełnie inne dzieci: zaczynają trzymać głowę prosto, siadać, wykonują polecenia, uśmiechają się. Ten „cud” stał się możliwy dzięki współpracy prof. Mirosława Ząbka z prof. Krzysztofem Bankiewiczem, neurologiem i neurochirurgiem, który od wielu lat prowadzi w Stanach innowacyjne badania nad terapią genową.

Dzieci z filmów prof. Ząbka chorują na rzadką chorobę genetyczną: zespół niedoboru dekarboksylazy aminokwasów aromatycznych (AADC). Na świecie rozpoznano ok. 200 chorych, w Polsce – zaledwie dwoje, jednak może być ich więcej, tylko niezdiagnozowanych (wszystkie dzieci mające podobne objawy mają zwykle stawianą diagnozę mózgowego porażenia dziecięcego). AADC to ciężka choroba: z powodu braku genu nie ma enzymu niezbędnego do wytworzenia dwóch podstawowych neuroprzekaźników – dopaminy i serotoniny. Stąd objawy: dzieci mają obniżone napięcie mięśniowe, są niesamodzielne, często nie potrafią nawet połykać, mają napady padaczkowe. Najczęściej umierają w drugiej dekadzie życia.

Terapia genowa polega na przeniesieniu za pomocą wektorów wirusowych kopii

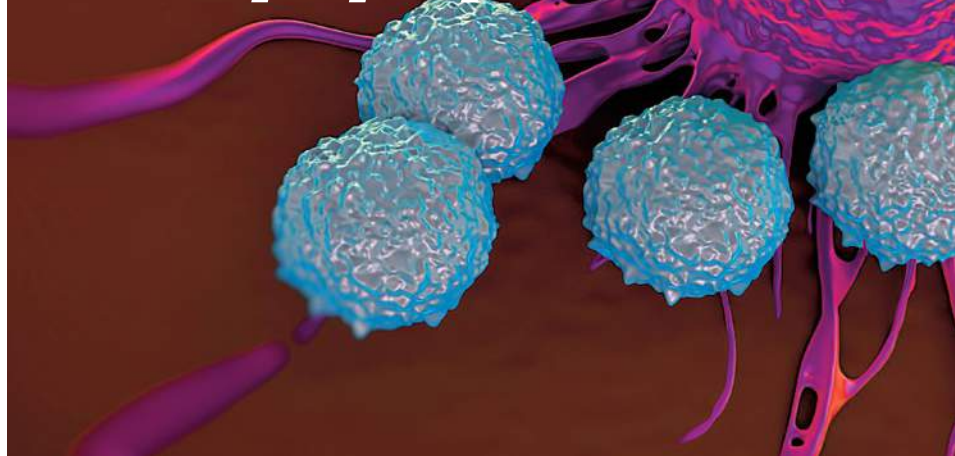
brakującego genu, wyprodukowanego dzięki inżynierii genetycznej. Operacja jest wykonywana pod kontrolą rezonansu magnetycznego, dzięki czemu jest możliwe obserwowanie na bieżąco zarówno podania terapii, jak też tego, w jaki sposób rozprzestrzenia się ona w mózgu. To niezwykle ważne, ponieważ „lek” musi trafić precyzyjnie w odpowiednie miejsce w mózgu.

– Trudno uwierzyć, że takie „przebudzenie” może nastąpić dzięki jednej ope-

świata. – Pierwszy raz można mówić o „turystyce medycznej” nie z Polski, tylko do Polski. Operacje relacjonują media z krajów, z których przyjeżdżają do nas dzieci. Piszą, że „drugi raz urodziły się w Polsce” – mówi prof. Ząbek.

Na razie terapię dostają tylko dzieci z AADC, są jednak plany leczenia w podobny sposób innych schorzeń, np. choroby Huntingтона. W 2020 r. mają rozpocząć się duże badania kliniczne w chorobie Parkinsona (terapia genowa również

Sukcesy polskiej medycyny



racji i podaniu jeden raz terapii genowej. Wygląda, jakby te dzieci urodziły się na nowo. Zaczynają się ruszać, trzymać głowę, przekręcać się, siadać, reagują na polecenia, uśmiechają się. Jeden z chłopców po operacji pierwszy raz zawołał mamę po imieniu. Dziewczynka z Hiszpanii zaczyna już chodzić – cieszy się prof. Ząbek.

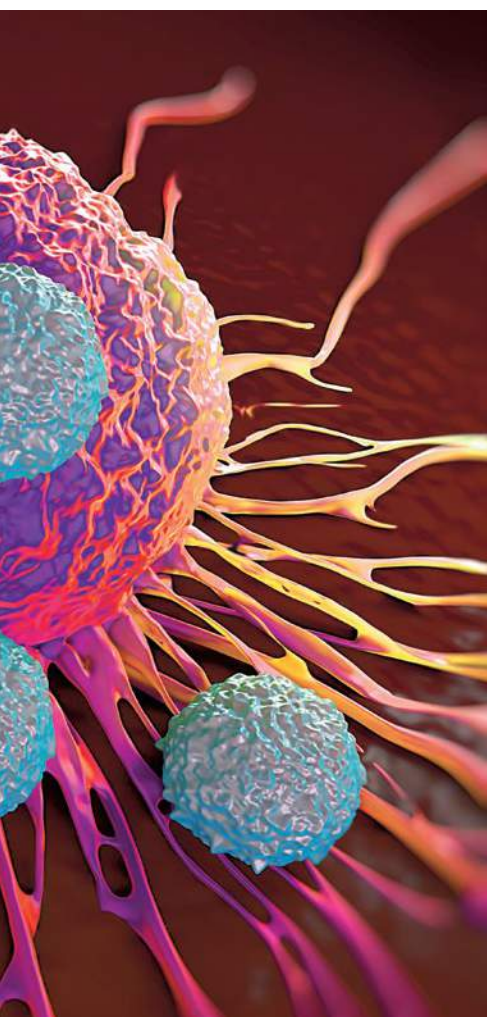
Do ośrodka w Bródnie już dziś przyjeżdżają rodzice z dziećmi z całego

została opracowana przez prof. Krzysztofa Bankiewicza). – Wydaje się, że będzie można cofnąć tę chorobę o 20–30 lat. Chcemy też w podobny sposób leczyć chorobę Alzheimera. Przyszłość leczenia to terapie genowe – dodaje prof. Ząbek.

ŻYWY LEK W ONKOLOGII

Powoli zmienia się w Polsce organizacja leczenia onkologicznego: w dwóch

województwach – dolnośląskim i świętokrzyskim – w 2018 r. trwał pilotaż krajowej sieci onkologicznej. Nowością jest m.in. utworzenie funkcji koordynatora leczenia, który ma doradzać pacjentowi, gdzie może się badać i leczyć. Sukcesem jest też to, że powstał projekt Narodowej Strategii Onkologicznej – takie strategie od wielu już lat mają takie kraje jak USA czy Francja. Wdrożenie NSO ma spowodować zmniejszenie zachorowalności na nowotwory (lepsz



w Polsce (w Poznaniu, Gliwicach i we Wrocławiu) otrzymały akredytację uprawniającą do wykonywania zabiegów podawania komórek CAR-T. Pierwszy pacjent w Polsce miał już tę terapię podaną, dla dwóch kolejnych szykowane są zmienione genetycznie limfocyty T.

Technologia CAR-T to obecnie nadzieja onkologii. – Z krwi pacjenta pobiera się komórki odpornościowe: limfocyty T. Następnie są one w odpowiednich warunkach przewożone do laboratorium, w którym dokonuje się ich przeprogramowania (w naszym przypadku jest to laboratorium w Kalifornii). Wprowadza się do nich gen, który umożliwia im rozpoznawanie komórek nowotworowych. Stymuluje się też je, by były jak najbardziej aktywne, agresywne i żeby się namnażały – tłumaczy prof. Sebastian Giebel, kierownik Kliniki Transplantacji Szpiku i Onkohematologii Instytutu Onkologii w Gliwicach.

Po około trzech tygodniach zmodyfikowane limfocyty T (komórki CAR-T) wracają do pacjenta. – Rozmrażamy je i podajemy dożylnie. Gdy napotkają komórki nowotworowe, rozpoznają je i niszczą. Ten proces najbardziej intensywnie zachodzi w pierwszych dniach, jednak trwa nawet kilka miesięcy, dlatego komórki CAR-T są nazywane żywym lekiem – mówi prof. Giebel.

CAR-T to spełnienie marzeń immunologów i onkologów, by nowotwory były zwalczane nie tyle przez leki, ile przez nasz własny układ odpornościowy. – Komórki odpornościowe na co dzień nas skanują i usuwają zaczynające się tworzyć komórki nowotworowe. Czasem jednak ten proces zawodzi i nowotwór się rozwija. Wtedy komórek odpornościowych jest zbyt mało, żeby sobie z nim poradzić. Trzeba go zaprogramować i pobudzić, by podjął walkę – mówi prof. Giebel.

Na razie na świecie terapia CAR-T została zarejestrowana tylko w ostrej białaczce limfoblastycznej (u dzieci i młodych dorosłych) oraz w chłoniaku rozlanym z dużych komórek B. Dla pacjentów, którzy zaczęli je przyjmować, nie było już innych opcji leczenia, tymczasem po podaniu CAR-T u ok. 40 proc. z nich dochodzi do całkowitego wyleczenia choroby. W wielu krajach toczą się badania zmierzające do doskonalenia tej technologii i zastosowania w innych chorobach onkologicznych. Zdaniem ekspertów

w przyszłości jest możliwe opracowanie również w Polsce nowych terapii CAR-T, dzięki czemu byłyby tańsze niż obecnie oferowane. Wspomóc te badania mogłaby Agencja Badań Medycznych. – Mamy kompetencje, by tę technologię opracować, jednak nie stanie się to wcześniej niż za pięć–sześć lat. Dzisiaj pozostaje nam bazować na terapiach firm oraz brać udział w badaniach klinicznych – mówi prof. Giebel.

SERCE: WYJĘTE, WYLECZONE, WŁOŻONE

Polska kardiologia interwencyjna i kardiochirurgia już od wielu lat jest na poziomie światowym. W interwencyjnym leczeniu zawałów serca przodujemy w Europie. – Jeśli chodzi o kardiochirurgię, to nie ma takiego zabiegu, którego nie potrafilibyśmy w Polsce wykonać – mówi prof. Michał Zembala, kierownik i koordynator Oddziału Kardiochirurgii w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu.

Jedną z takich wyjątkowych operacji była wykonana w listopadzie 2018 r. w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu autotransplantacja serca. 31-letni pacjent miał bardzo rzadki guz serca. Wypełnił on już w całości lewy przedsionek serca, uniemożliwiał odpływ krwi z lewego płuca, co powodowało, że pacjent miał trudności ze złapaniem oddechu. Zgłosił się na SOR (szpitalny oddział ratunkowy) z objawami krwiotłucia i braku sił, praktycznie nie mógł już chodzić. – Lewe płuco już u niego właściwie nie pracowało. Groziła mu śmierć z powodu zatrzymania akcji serca nawet w ciągu najbliższej doby – mówił dr Roman Przybylski, kardiochirurg z Centrum Chorób Serca w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym, którego zespół przeprowadzał operację.

Nie można było wykonać transplantacji serca, gdyż po niej pacjent musiałby do końca życia przyjmować leki immunosupresyjne, zapobiegające odrzutowi. A to mogłoby spowodować, że choroba nowotworowa wróci. Dlatego zdecydowano się na wycięcie serca, usunięcie guza, rekonstrukcję przedsionka i ponowne wszczepienie „naprawionego” serca. Poza organizmem serce było ok. godziny, a pacjent zniósł zabieg bardzo dobrze.

Eksperti podkreślają, że aby te sukcesy nie zostały zmarnowane, pacjenci po takich operacjach muszą być pod równie dobrą opieką.

profilaktyka, wprowadzenie nowych szczepień, m.in. przeciw wirusowi HPV), wcześniejsze ich wykrywanie oraz lepsze leczenie.

Sukcesem 2018 r. jest na pewno udostępnienie wielu nowych terapii (m.in. w raku piersi, płuca, hematoonkologii), dzięki czemu leczenie części nowotworów zbliżyło się do średniej europejskiej. Cieszy też to, że trzy pierwsze ośrodki



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Murzyn pana Fredry

W XVII w. Murzyn był luksem; sługą, na którego mogli pozwolić sobie tylko najwięksi panowie. Egzotyczny sługa był częścią tej epoki. Niezbadane są do dziś losy czarnych rękodajnych; nie trafiali jednak do Rzeczypospolitej jako niewolnicy – raczej jako słudzy; można przypuszczać, że nawet jeśli kilku było niewolnikami u Turków, to zostali schwytani przez naszych przodków w czasie wojen i zamienili niewolę na dworską służbę. Byli bowiem zbyt cenną zdobyczą, aby zmuszać ich do pracy. Murzyni wiedli beztroskie życie na dworach i używani byli raczej do osobistych posług – towarzyszenia panu,

fałny wjazd do stolicy. Został zabity w czasie rzezi Polaków w maju 1606 r.

Sługę Murzyna – zwanego Józefem Holendrem – miał Jan III Sobieski, niestety nieszczyśny pacholek zginął w bitwie pod Parkanami, kiedy Turcy nie dawali pardonu jego osobistym sługom. Być może August II Sas miał murzyńską kapelę i innego sługę – małego Murzyna. Na pewno czarnych pokojowych trzymał na dworze Stanisław August Poniatowski – jednym z nich był Jean Ledouc, który pojawia się na obrazie Bernarda Bellotta Canaletta. Innym, być może także czarnym sługą, był – jak podają źródła – „Turek nazwiskiem Kirkor”.

Murzyni zwykle polonizowali się i osiadali na stałe w naszym kraju; za dobrą służbę mogli spodziewać się nagrody od pana. Niektórzy nawet podawali się za szlachciców. Tak było w przypadku Aleksandra Dynisa, sługi biskupa krakowskiego, którego znajdujemy w „Liber choramorum” Waleriana Nekandy Trepi. Pacholek przed 1633 r. ożenił się z nieślubną córką pana Chlewickiego, miał z nią dwóch synów i dziewczkę. Sam uważał się za szlachcica, co więcej – służył u niego (u Murzyna, sic!) bratanek jego małżonki, który też nieprawnie „udawał się” za szlachcica.

Z kolei Andrzej Fredro, syn Andrzeja z Chodnowic, znany warchoł z ziemi przemyskiej, miał czarnego sługę, który razem z nim uczestniczył w licznych swawolach i awanturach. Szlachcic wraz z bratem Janem w roku 1599 napadli na niejakiego Mikołaja Ornowskiego, który stał w gospodzie w Przemyślu. Fredrowie porabiali go szablami, gdy leżał w łóżku, a potem kazali wywlec na ulicę, gdzie rozsiekali go ich słudzy i pacholce. W roku 1603 te same warchoły usiekiły Teodora Tarnawskiego, a w trzy lata później – swego krewnego – Jana Orzechowskiego,

którego napadli w Boże Narodzenie modlącego się w kościele.

A ndrzej Fredro i jego Murzyn znani byli szeroko. Czarny sługa, jak podaje Władysław Łoziński w „Prawem i lewem”, przejął szlacheckie obyczaje, chadzał w żupanie i „był graczem na szable, w burdach swego pana brał czynny i wybitny udział”. Pewnego razu, kiedy Fredro przechadzał się ulicami Przemyśla wraz z gromadą czeladzi i wspomnianym Murzynem, natknął się na prawosławną orszak pogrzebowy. Nie będąc w stanie precyzyjnie się przez tłum, razem z kompanem, Stanisławem Jaksmanickim, dobył szabli i począł przepłaszac uczestników pogrzebu. W trakcie zamieszania Murzyn oberwał w łeb czy też po boku, a uniósłszy się gniewem, wpadł z dobytą bronią do cerkwi i począł siec nią na wszystkie strony zgromadzonych wiernych. Kiedy zaś z pomocą przyszedł mu niejaki Wijowski, w świątyni doszło do paniki i przelewu krwi. Jeden z Rusinów odniósł ranę, inni pouciekali z cerkwi, porzuciwszy trumnę i katafalk. Jednak uchodzący księża zatrzasnęli i zamknęli na klucz drzwi, zamykając w środku Murzyna i Wijowskiego, a potem co tchu popędzili do zamku, po starościńskich hajduków!

Obydwa słudzy Fredry znaleźli się w nader przykrym położeniu. Nie mogli ująć z cerkwi przez okna, te bowiem były zbyt małe. Jednak na szczęście dla nich, już wkrótce przybył z odsieczą sam Fredro, a wraz z nim Jaksmanicki. Zanim księża ruszyli powrócić z zamku ze strażą, pan Andrzej i jego towarzysze wyłamali drzwi, uwolnili kompanów i uciekli z miasta. Do dziś nie wiadomo, jaki był finał całej sprawy – niechybnie trafiła do sądów, zapewne jednak Fredro, który z gorszych terminów wychodził obronną ręką, zdołał wykupić się i załagodzić oskarżycieli. ©



FOT. WIKIPEDIA

otwierania drzwi, zabawiania towarzysztwa. Często do wykonywania jednej wyspecjalizowanej czynności – np. nabijania fajki. Stąd wzięło się powiedzenie: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść” – kiedy już usłużył panu.

O czarnych służących znajdujemy wiele wzmianek, nie wiadomo jednak, czy mówią o prawdziwych mieszkańcach Afryki, czy też o pomalowanych na czarno-białych pacholkach. Małego Murzynka miała na dworze caryca Maryna Mniszchówna, zabrała go do Moskwy, gdzie odbywał z nią trium-

DORADA MASTERCHEFA ZAWIERUCHY

Nazywam się Grzesiek Zawierucha i jestem zwycięzcą programu „MasterChef 2019”. Powiedzieć, że gotowanie to moja pasja, to jakby nic nie powiedzieć. Oprócz mojej rodziny i żeglowania to jest właśnie moja miłość. Budzę się i gotuję, a gdy zasypiam, w głowie układam sobie różne przepisy i ciekawe połączenia smakowe... To jest moje życie. W programie „MasterChef” miałem okazję i szansę pokazać, co potrafię, oraz dzielić się ze wszystkimi radością gotowania. Starałem się zarażać ludzi miłością do jedzenia, kreatywnością i poczuciem humoru.

W kuchni fascynuje mnie wiele rzeczy, ale chyba największą wagę przykładam do produktu. Czasami zdarza się, że przez kilka dni gotuję tylko dania, w których króluje pomidor... Czy to monotonne? Nic z tych rzeczy. Jeśli jest na nie sezon – dlaczego nie? Przepis, którym chciałem się z wami podzielić, jest inspirowany moimi podróżami. Po godzinach spędzonych w kuchni powstała moja wersja, która, mam nadzieję, trafi w gusta wszystkich. Zapraszamy do prawdziwej zawieruchy w kuchni!

Dorada w stylu tajskim (składniki):

- 1 dorada lub inna biała ryba w całości
- 5 ząbków czosnku

- 5 ostrych papryczek chilli
- duża łyżka cukru palmowego (można zastąpić zwykłym)
- 4 łyżki pasty tamaryndowca
- 4 łyżki sosu rybnego
- sól
- mąka

Przygotowanie:

Rybę oczyszczamy, a następnie nacinamy skórę po obydwu stronach. Solimy, tak aby sól dostała się również w miejsca nacięte. Następnie obtaczamy w mące bardzo dokładnie i smażymy na głębokim oleju po ok. 3 min z każdej strony lub w zależności od wielkości ryby, aż widzimy, że jest chrupka. Wyciągamy i odsączamy na papierowym ręczniku.

Sos do ryby: na patelni rozgrzewamy dwie łyżki oleju, wrzucamy posiekany czosnek oraz chilli pokrojoną w plasterki. Podsmażamy delikatnie, uważając, żeby nie spalić czosnku. Następnie wrzucamy cukier, pastę tamaryndowca oraz sos rybny. Zmniejszamy ogień i delikatnie podsmażamy aż do połączenia się smaków. Możemy dodać więcej cukru lub sosu rybnego aż do uzyskania idealnego smaku.

Rybę układamy na talerzu i z wierzchu polewamy ją naszym sosem. Możemy serwować z ugotowanym ryżem jaśminowym. ©©

oprac. raw



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ile ryby w rybie

Zagadka, którą próbowałam wyjaśnić dwa tygodnie temu: dlaczego ryba po rozmrożeniu waży jedną trzecią tego, co przed, została wyjaśniona. Okazało się, że nie tylko ja mam problem z odkryciem, że ryby w drodze ze sklepu do garnka ubywa dwie trzecie. Nad problemem pochylił się Urząd Ochrony Konsumenta i Konkurencji, ostatnia deska ratunku dla klienta, którego prośby, skargi i reklamacje odbijają się od ściany.

Być może kiedy po trzech dniach rozpadną się nam buty kupione za 300 zł, idziemy na użerkę ze sklepem, producentem itp., nawet jeśli szanse zwycięstwa są niewielkie. Ale kto będzie latał do sądu z dorszem? Nad rozpadającą się i niedoważoną rybą przechodzimy do porządku dziennego. Trochę tylko popsiojemy i o sprawie zapominamy.

Ilekoć kupuję dorsza, halibuta, łososia, tylekoć się zastanawiam, ile właściwie ryby powinno być w rybie. W laboratoriach zbadano zawartość „glazury”. Glazura to jest właśnie ta otoczka lodowa, która sprawia, że płacisz za kilogram ryby, a w środku jest jej 35 dag. „Ryby spotykane w sklepach potrafią zawierać jej nawet ponad 40 proc.” – donosi raport. Zbadano ilość masy ryby w 13 próbkach ryb mrożonych w opakowaniach jednostkowych. Cytuję raport: „Zaniżenie masy stwierdzono w czterech próbkach. W trzech próbkach stwierdzono niewłaściwe cechy organoleptyczne”.

„Ryby okazały się rozmiękczone, gąbczaste, maziste, po ugotowaniu/usmażeniu rozpadały się na kawałki. Zauważono duży wyciek wody. Miały intensywny zapach lekko mdły. Po obróbce cieplnej wykazały miękką, galaretowatą teksturę niewyczuwalną strukturę mięśniową i wyraźnie słony smak, nieczysty zapach swoisty dla ryby z dodatkami stabilizatorów.

Laboranci UOKiK opisali to wyjątkowo sugestywnie, ale jako że zdjęcie warte jest tysiąc słów, wrażenie robi dopiero widok sfotografowanego szarawego, rozlazłego zewłoka, którym ma być filet z dorsza. Dla porównania:



FOT. ANDRZEJ STOK

na zdjęciu obok zamieszczono białe i jędrne filety, w których nie stwierdzono powyższych problemów.

Nie lepiej jest z konserwami rybnymi. Chciał państwo poczytać o tuńczyku w puszcze?

„Zawiera strzępy tworzące konsystencję pasty, ości i zmieloną skórę [...], barwa jest niejednolita od beżowej do brunatnej, zbyt miękka, maziasta rozpadająca się tekstura”.

No to chyba starczy. Nie wiem, czy państwo jeszcze kiedyś kupią rybę. A potem lekarze i dietetycy dziwią się, dlaczego Polacy jadają tak mało ryb. ©©

NAJDROŻSZE ELEKTRYKI Z DOPŁATAMI OD RZĄDU

Zgodnie z nowymi przepisami rząd zwróci przeciętnemu Kowalskiemu maksymalnie 30 proc. kosztu zakupu nowego samochodu elektrycznego. Warunek: jego cena nie może przekroczyć 125 tys. zł brutto w przypadku samochodu elektrycznego (maksymalny zwrot może więc wynieść 37,5 tys. zł) lub 300 tys. zł brutto w przypadku aut napędzanych wodorem (maksymalny zwrot to 90 tys. zł). Aby otrzymać dofinansowanie, trzeba kupić nowe

auto za gotówkę lub na kredyt (wykluczono wynajem długoterminowy czy leasing konsumencki) dopiero po ogłoszeniu oficjalnego naboru wniosków – ma on ruszyć w pierwszym kwartale obecnego roku.

Do wniosku trzeba dołączyć kopię faktury zakupu na osobę fizyczną, kopię dowodu rejestracyjnego, kopię dokumentu ubezpieczenia OC + AC na rok, zobowiązanie do wykupienia takiego ubezpieczenia na rok kolejny oraz

oświadczenie o nieprowadzeniu działalności gospodarczej. Na łamach „Do Rzeczy” prezentujemy auta, które spełniają kryteria rządowego dofinansowania. W poprzednim wydaniu opisaliśmy już takie modele jak Škoda Citigo e iV, Volkswagen e-Up!, smart EQ fortwo, smart EQ forfour, smart EQ fortwo cabrio czy Nissan Leaf. W tym numerze przyglądamy się najdroższemu modelom, znajdującym się tuż poniżej granicy uprawniającej do dopłaty.



OPEL CORSA-E

Podawany przez producenta zasięg maksymalny w cyklu mieszanym wynosi 337 km. Moc silnika to 136 KM. Przyspieszenie od zera do 100 km/godz. zajmuje 8,1 s, ale sprint od zera do 50 km/godz. – zaledwie 2,8 s. Podczas jazdy do wyboru są dwa tryby: sportowy (dla frajdy) oraz regeneracyjny (który umożliwia przejechanie większej liczby kilometrów na jednym ładowaniu). Producent podaje, że aby doładować akumulator o pojemności

50 kWh do 80 proc., wystarczy zaledwie pół godziny. Najniższa cena katalogowa Opla Corsa-e wynosi 124 490 zł (po odjęciu dopłaty koszt zakupu wyniesie więc 87 143 zł). W cenie są m.in.: klimatyzacja, tempomat, reflektory halogenowe oraz kamera Opel Eye, czyli system rozpoznawania znaków drogowych i wykrywania pieszych. Niestety, nie można marzyć o dodaniu drogiej opcji, bo przekroczymy maksymalną cenę kwalifikującą do otrzymania dopłaty. Auto w salonach ma pojawić się na wiosnę.



PEUGEOT E-208

Podawany przez producenta zasięg maksymalny w cyklu mieszanym wynosi 340 km. Moc silnika to 136 KM, a przyspieszenie od zera do 100 km/godz. zajmuje 8,1 s.

Ładowanie akumulatora o pojemności 50 kWh szybką ładowarką o mocy 100 kW zajmuje 30 minut (do 80 proc.). Za pomocą klasycznego gniazdka w domu lub w pracy i przewodu dostarczonego w pakiecie z samochodem ładowanie baterii zajmuje 24 godziny.

W podstawowej wersji Active otrzymujemy m.in. 16-calowe felgi stalowe, reflektory LED, a w kabinie dotykowy ekran o przekątnej 7 cali, Bluetooth oraz system multimedialny kompatybilny z Apple Carplay/Android Auto. Najniższa cena katalogowa to 124 900 zł, po odjęciu dopłaty koszt zakupu wyniesie więc 87 430 zł.



RENAULT ZOE

Podawany przez producenta zasięg maksymalny w cyklu mieszanym wynosi aż 395 km, czyli zdecydowanie najwięcej ze wszystkich samochodów opisywanych w naszym zestawieniu.

Moc silnika to 135 KM, a przyspieszenie od zera do 100 km/godz. zajmuje 9,5 s.

Jak podkreśla Renault, dzięki możliwości szybkiego ładowania prądem stałym nowe ZOE odzyskuje ponad 150 km zasięgu w ciągu zaledwie 30 minut.

W cenie wersji kwalifikującej się do dopłaty otrzymujemy m.in.: 16-calowe aluminiowe felgi, światła LED do jazdy dziennej, centralny zamek, system utrzymywania pasa ruchu, Bluetooth oraz system multimedialny z 7-calowym ekranem, który jest kompatybilny z Apple Carplay/Android Auto oraz 10-calowy wyświetlacz wskaźników i zegarów. W cenie brakuje jednak automatycznej klimatyzacji (jest tylko manualna), a aby skorzystać z rządowej dopłaty, nie możemy w zasadzie dokupić żadnych dodatkowych opcji (chyba że uda nam się coś wynegocjować z salonem).

Najniższa cena katalogowa to 124 900 zł, po odjęciu dopłaty koszt zakupu wyniesie więc 87 430 zł. ☹☹



**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LIŚCIKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD
SZURKOWSKI
- WYŚCIG”

~~337~~ zł



136,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
201 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Pogryziona łydka szczęścia

Tak mi przyszło do głowy, żeby o tym napisać, ale potem pomyślałem, że to drugie dużo lepsze, soczyste i pouczające, a to pierwsze to w sumie interesujące jak chomika podróże w kołowrotku.

Otóż to pierwsze to miał być taki przepis na współczesnego coś jakby inteligenta wytworzonego na kursie eksternistycznym.

Jest jakaś taka potrzeba w narodu częstecze, że ona, ta cząstka, bardzo by chciała być inteligencją na skróty skrócone. I ona, no ta częsteczka, myśli sobie, że się wywyższy i wywyższona będzie poprzez poniżenie tego, co się ludowi demokratycznie podoba. No weźmy takiego Zenona z Gredeli (coś jak Don Kichot z La Manchy) znanego z songu „Przez twe oczy zielone”, który to skoczny hit przypadł ludowi do upodobania. Ja tu nie chcę do „de gustibus” nikogo przekonywać, stwierdzam, że się Zenon z Gredeli podoba, bo ma rynkowy sukces gigantyczny. Więc ta niedoszła jeszcze inteligencja do boju, że jaki ten Zenek pozbawiony wartości i oraz że w ogóle obciach. Na tych kursach eksternistycznych powinni ich uczyć takiego zohydowania koniecznie i jeszcze miałbym parę punktów dla takich głów, może zaczę takie kursy dla głupek organizować?

Tymczasem inteligencja prawdziwa zdaje sobie po prostu sprawę, że dzieła Zenka przynależą do określonego gatunku, który ma wywoływać określone reakcje w określonej szerokiej grupie. Tyle. Ludzie przy tym podska-

kuja, gdyż ta muzyka ludziom służy do zabawy. Tyle.

A teraz to ważniejsze, czyli drugie: pogryziona łydka szczęścia. Otóż słynna Ilona Felicjańska pogryzła na Florydzie męża w łydkę. Niestety nie żartuję. Pani Ilona, piękna modelka, od prawie 10 lat publicznie przekonuje opinię publiczną, że straszna jest choroba alkoholowa, i żeby to pamiętać oraz uświadamiać, zażywa jej regularnie. Że choroba jest straszna, wiemy po różnych nowych ekscesach pani Ilony. Teraz np. organizowała z mężem z Ameryki kampanię „Nie piję, bo lubię żyć” i w jej trakcie po pijanemu pogryzła męża w łydkę, za co zostali aresztowani ona oraz jej mąż, gdyż za spektakularny był to melanz w tamtejszym hotelu.

Pani Ilona promuje swoją książkę „Niezniszczalna”, o której mówi, że jest rodzajem poradnika psychologicznego dla osób, które mają problem, ale potrafią go przezwyciężyć. Tytuł jest dobry, pani Ilona rzeczywiście wydaje się niezniszczalna. Dodać należy, że po wyjściu z aresztu pani Felicjańska i pan Montana bardzo się kochają, a pogryziona łydka dodała temu związkowi nowego, że się tak wyrażę, smaku. Tak do końca nie wiem. Ale może warto spróbować? Jeśli twojemu związkowi zagraża wypalenie albo nuda, czyli kryzys, to może kochana nadrinuj się i ciach męża w łydkę? Być może jest to klucz do odnowienia namiętności?

Ani redakcja, ani autor nie biorą odpowiedzialności za eksperymentalną terapię. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Dziwadło Europy

Ani się obejrzymy, a schlebienie niskim gustom, podziwianie głupoty, tolerowanie bezprawia, adorowanie chamstwa, owczy pęd za widzimisię ludu, gnojenie elit, wyśmiewanie, panie tego, ynteligentów będzie należało do dobrego tonu na prawicy i na lewicy. Jak rewolucja, to rewolucja!” – wyznał niedawno pełen żalu Przemysław Szubartowicz. „Popularność Zenków i Sławomirów jest wyznacznikiem upadku kultury w tym kraju. PiS wychowuje kolejne pokolenie posłusznych Wołaków. Króluje »500+«, disco polo, tani patriotyzm i udawany katolicyzm. Tak Prezes sprawuje rząd dusz” – dodał jeden z internautów. Magdalena Środa z kolei, składając noworoczne życzenia czytelnikom „Gazety Wyborczej”, ubolewała, że Polska przypomina jej „wilgotną piwnicę, do której z rzadka dochodzi słońce” i rację ma Jarosław Kurski, nazywając ją dodatkowo dziwadłem na peryferiach Europy.

Nie wiem, czy zastanawiają się państwo, jak to jest żyć w kraju, którego generalnie się nie lubi? Z którego wyborami się nie zgadza, a większość społeczeństwa uważa za niewydukiwaną, banalną w upodobaniach, zamkniętą na inność i opresyjną? To nie jest łatwe zadanie. Swego czasu podobne traumy malowniczo opisała Agata Młynarska, wspominając horror wakacji nad Bałtykiem i sielankę zakłócaną przez brzuchatych januszy, zajądających się rybami sma-

żonymi na starej fryturze. Zamiast zostać w swoich Sosnowcach, Koszalinach i Skawinach, wsiedli w pasaty w diesle i zasmrodzili jej Juratę, przeszkadzając w uprawianiu jogi.

Wiele się od tego czasu nie zmieniło, może poza lekkim poczuciem emancypacji, gdy zamiast o Zenku Martyniuku i „Sylwestrze Marzeń” w TVP świat mówił o książkach Olgi Tokarczuk. Bez nich nie dałoby się pokazać, że istnieje lepsza Polska. Taka, która dopiero czeka na swój świt i wyjście z piwnicy na salony Europy. Gdzie szukać nadziei? „Polska, podobnie jak Stany Zjednoczone, jest politycznie podzielona na pół. Zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości są równoważeni przez postępowców – często młodszych, mieszkających w mieście i w zachodniej części kraju – którzy szukają tolerancji, wielokulturowości i prawdziwego rozliczenia z polską przeszłością. To są czytelnicy Tokarczuk” – mogliśmy przeczytać niedawno w artykule opublikowanym w prestiżowym „New Yorkerze”. Czy nie robi się cieplej na sercu? Czy mroki nowego średniowiecza nie pryskają? Jeśli dodać do tego krzepiące serca orędzie marszałka Tomasza Grodzkiego, apelującego o rozmowy ponad podziałami Szymona Hołownię, pełną taktu i „prezydencckich genów” Małgorzatę Kidawę-Błońską? Jeszcze będzie pięknie, jeszcze będzie normalnie. A już na poważnie, to właśnie tej normalności państwu w 2020 r. życzę. Reszta się poukłada. ©©

PROGRAM TV REPUBLIKA

PONIEDZIAŁEK

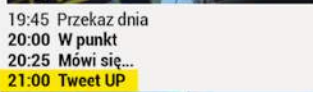
07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy



Codziennie pon. - piąt.

09:40 Salonik polityczny
11:00 Polityczna kawa
12:15 Gwiazdy w Republice
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz

19:00 Dziennikarski poker - A. Stankowski



19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...

21:00 Tweet UP



21:30 Starcie cywilizacji
Tomasz Terlikowski
22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

PIĄTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Otwartym tekstem
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:05 10.04.2010. Fakty
19:25 Rozmowa ściśle jawna



19:45 Magazyn filmowy Piotra Gočka



20:30 Geopolityczny tygiel
dr Jerzy Targalski



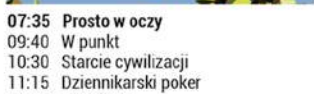
21:00 Specjaliści od wszystkiego



21:30 Kulisy manipulacji

WTOREK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy



09:40 W punkt
10:30 Starcie cywilizacji
11:15 Dziennikarski poker
12:10 Tweet UP
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash

18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji



Codziennie informacje
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - T. Sakiewicz
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Koniec Systemu



22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel



23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

SOBOTA

08:00 Polska na dzień dobry. Weekend
09:35 Gwiazdy w Republice



10:00 Podsumowanie polityczne tygodnia
11:00 Kalendarz historyczny
12:15 Kulisy manipulacji
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 Film na sobotę



19:35 Wywiad z chuliganem
20:35 Ocalenie Ojczyzny
Maciej Rosalak Ryszard Gromadzki
Program historyczny



21:00 Za siódmą górą
Program podróżniczy
21:20 Koniec systemu
22:00 Poland Daily
22:30 Gry tajnych służb - powtórki



ŚRODA

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - D. Kania
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...



21:00 Pilnujmy Polski!
Antoni Macierewicz Ryszard Gromadzki



21:30 Na pomoc!
program interwencyjny
22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport



Program ekonomiczny
pon. - piąt.
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel



07:00 Transmisja Mszy Świętej
08:10 Kalendarz historyczny
09:06 7x24



10:06 Studio prasowe
Adrian Stankowski



11:00 Salonik polityczny
Rafał Ziemkiewicz
12:00 Polityczna kawa
Tomasz Sakiewicz

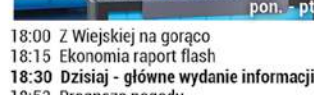


17:30 Salonik polityczny
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 7x24
20:10 Polityczna kawa
21:30 Analfabet III RP

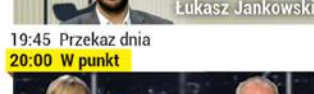


CZWARTEK

07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Na pomoc!
10:55 Ekonomia raport
11:25 Dziennikarski poker
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie



18:00 Z Wiejskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz



19:00 Oddaje Państwu głos
zadaj pytanie naszym gościom
22 649 12 62
Łukasz Jankowski
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt



20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Otwartym tekstem



22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel



OGLĄDAJ



www.telewizjarepublika.pl



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Putin o odszkodowaniach

Na progu nowego roku prezydent Putin autorytatywnie stwierdził, że polskie władze współpracowały z III Rzeszą w celu przeprowadzenia eksterminacji Żydów. Przy okazji nazwał – przywołanego jako dowód w tej sprawie – ambasadora II RP w Berlinie, Józefa Lipskiego, bydlakiem i antysemicką świnią. Podejmując ten właśnie wątek z ust Wodza Narodu, przewodniczący Dumy, Wiczesław Wołodin, dodał, że Polska powinna przestać przerzucać odpowiedzialność za Holocaust na innych i przeprosić wreszcie za swoje zbrodnie. To wszystko w ramach przygotowań do zbliżających się ważnych rocznic: 75-lecia wyzwolenia przez Armię Czerwoną obozu zagłady w Auschwitz, 80-lecia Katynia, nieco bardziej kłopotliwego, wreszcie: 75-lecia samej, nieskażonej żadnym błędem Pobjedy, 9 maja.

Opowieść o kluczowej roli Polaków w ludobójstwie Żydów otrzymała solidne wsparcie ze strony maszyny propagandowej KGB/FSB/FR. Teraz, przy okazji rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz, będzie można postawić tezę, że w istocie wyzwoleni (oczywiście byli tam tylko Żydzi, innych ofiar Auschwitz nie było) winni wdzięczność Armii Czerwonej za uwolnienie od zbrodniczego polskiego antysemityzmu,

z którego wyrósł ten obóz. Kropkę nad i postawił już prezydent Federacji Wspólnot Żydowskich Rosji, rabin Aleksander Boroda. Stwierdził on, że Lipski – który w roku 1938 miał przyklasnąć pomysłowi Führera, by wysłać Żydów do Afryki, w istocie „zainspirował Hitlera do zabójczych decyzji, poparł śmiertelny plan w jego samym zarodku, tym samym dając mu siłę i energię”. Skoro to Polacy wymyślili Holocaust oraz dali „siłę i energię” złowrogiemu dziełu, to zupełnie inaczej wygląda sprawa Katynia. Taką interpretację przedstawił już wcześniej rosyjski krytyk literacki, Kuniajew, który w obszernym esej wywiódł, że władze sowieckie rzeczywiście eksterminowały część polskich elit, ale były to elity do szpiku kości antysemickie – i dzięki operacji katyńskiej po prostu ubyło potencjalnych wykonawców Holocaustu (to rozwinięcie myśli Stalina, który po likwidacji Polski na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow stwierdził sucho: „O jedno państwo faszystowskie mniej”). Teraz, po słowach Putina, Wołodina i rabina Borody, można już trzymać się tej wersji jako oficjalnej.

Wypowiedź ta tworzy jednak kilka kłopotów. Najpierw dość głośnym w naszej prawicy wyznawcom Putina jako zbawcy Polski narodowej i katolickiej. Podkreślali dotąd, że umiłowany Przywódca to jedyna tarcza przed „żydowskim spiskiem”, którego głównymi narzędziami są Waszyngton i Trump. Czy taka opowieść jest nadal do utrzymania? Kłopot drugi sprawia Putin wyznawcom Tuska, gromiącego ostatnio z taką swadą „kłamstwo smoleńskie”. Były premier podkreśla, że największym kłamstwem w naszej polityce jest sam sceptycyzm wobec prawdy objawionej w raporcie gen. Anodiny na temat katastrofy 10 kwietnia 2010 r. Czy można bronić konsekwentnie gestu przyjaźni z 2009 r. wobec

tak życzliwego premiera Putina, a potem oddania temu prawdomównemu politykowi wszystkich narzędzi dochodzenia w sprawie tragedii smoleńskiej? Przecież Putin nie kłamie. Kłamią tylko Kaczyński i „pisiory”... Czy tak?

Kłopot trzeci może pojawić się, gdy zechcemy skorzystać z rady przewodniczącego Dumy, który wezwał Polaków, by – jeśli nie wierzą słowom Putina – zapoznali się z dokumentami, które ma Moskwa. Otóż to! A jakim prawem Moskwa posiada polskie dokumenty? Prawem rabusiów, bandytów, współników Hitlera, którzy najechali bez wypowiedzenia wojny na Polskę 17 września 1939 r. Wysłali do obozów, wedle własnych, zaniżonych danych, minimum 350 tys. obywateli II RP, zabili nie mniej niż 60–100 tys., do więzień wtrącili, wedle raportu Berii do Stalina, ponad 400 tys. A, niejako przy okazji, niszczyli i rabowali, co się dało. W tym polskie skarby kultury i archiwalia. Do Rosyjskiego Archiwum Wojskowego wcielono na tej zasadzie kilkanaście tysięcy jednostek archiwalnych z Polski (jednostka taka obejmuje od jednej do kilkunastu teczek), m.in. archiwalia Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, Komendy Głównej Policji Państwowej, II Oddziału (wywiadowczego) Sztabu Generalnego, polskich organizacji niepodległościowych (m.in. Związku Walki Czynnej, Strzelca, Legionów – w tym archiwum I Brygady), polskich poselstw i konsulatów, Sejmu RP, Rady Ministrów, KOP, BBWR, a nawet Kancelarii Prymasa Polski... Może warto, w odpowiedzi na apel Putina i Wołodina, zażądać wreszcie od Moskwy zwrotu tych dokumentów. A przede wszystkim odszkodowań za gigantyczne straty, które Polsce i jej obywatelom (także żydowskim) przyniosła okupacja sowiecka, będąca wynikiem nie wymyślonej, ale prawdziwej zmywy Stalina z Hitlerem. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



fol. Jerzy Gumowski



Remanent 2019

Idzie, rzecz prosta, nie o obiektywny remanent minionego roku (ciekawe kto mógłby go uczciwie zrobić, bo przecież ani „Zjednoczona Prawica”, ani „Totalna Opozycja”), tylko o mój prywatny — moje osobiste podsumowanie. Dokonane przez człowieka, który nie istnieje, bo jak słusznie zwerbalizował powszechną opinię Jan Maciejewski: „Nie masz konta na Facebooku, Instagramie, Twitterze, to jakbyś nie istniał” (2019). Ubiegłego roku internet sukcesywnie powiększał swoje władztwo nad globem, ku uciesze inwigilatorów, ekshibicjonistów i filantropów (jak te małe dziewczynki modlące się: „— Kochana Boziu, ześlij ubranka tym wszystkim biednym paniom w komputerze tatusia”).

Rok żałoby, zwłaszcza „smutek jesieni”. Przy końcu września zmarło dwóch ludzi mających bardzo ciepłe miejsca w moim sercu — Kornel Morawiecki i Jan Kobuszewski. Polski bohater narodowy, antykomunista, i polski Stańczyk/Falstaff, facecjonista. Z oboma znałem się osobiście (z Jankiem mieszkaliśmy prawie „plot w plot”), i choć była to nie tyle przyjaźń, ile raczej bliskie koleżeństwo pokrewieństwo świadomości patriotycznej, tożsamości ojczyźnianej rebelianckiej (w pierwszym przypadku), oraz symetryczne poczucie humoru, mające wszelkie cechy sarkazmu, plus głęboka wiara religijna (w przypadku drugim) — przeżywałem ich odejście niby dubeltową utratę kogoś bardzo bliskiego, ważnego.

Jeśli chodzi o politykę, nie było A. D. 2019 rzeczy dla rodaków istotniejszej niż parlamentarne wybory. PiS być może osiągnąłoby sejmową „większość konstytucyjną”, gdyby tuż przed wyborami nie strzeliło sobie w stopę (jak mówią Amerykanie), przegrzewając swą rozdawniczą politykę „świadczących społecznych” promocją sowej „pensji minimalnej”, która odrzuciła od PiS rzeszę przedsiębiorców, a także lekceważąc osontacyjnie Konfederację, co prawem „na przekór” przyciągnęło do tejże tłumek młodych. Humorystycznym elementem fłokowania Konfederacji było nazywanie jej przez Rafała Ziemkiewicza „pojebikiem” (polskim Jobbikiem) i „ruską onucą” (szef „Najwyższego Czasu!”), Tomasz Sommer, miał to bardzo za złe Ziemkiewiczowi), wulgo: czołowy prawiński neoendek ze wszech sił gnoił paczkę neoendeków (tych waszych wzajemnych przyszywań „bez wódki nie razbieriosz”, towarzysze endeki).

Komentarze zachodnich salonowych mediów dotyczące naszych wyborów parlamentarnych dostarczyły mi zeszłego roku pierwszorzędnej lektury satyrycznej. Media owe

gremialnie ubolewały, że rezultat elekcji nad Wisłą „jest porażką demokracji”, uzasadniając ten sąd opresywnością pisowskiego reżimu wobec sądownictwa i pisowskim zamordyzmem wobec mediów. Dwa przykłady. Holenderski politolog Cas Muddle orzekł na łamach brytyjskiego lewicowego „Guardiana”, że „zwycięstwo partii PiS to dzwonek alarmowy dla demokracji całego globu”, a francuski dziennikarz Clément Danie z wyraził w goszysowskim tygodniku „L'Express” opinię Salonu międzynarodowego, czyli „lewicowych liberalów” (jakkolwiek oksymoronicznie to brzmi): „Efekt polskich wyborów parlamentarnych świadczy, iż żadna demokracja nie jest bezpieczna na zawsze”. To prawda — od czasu do czasu tu i tam „demos” (elektorat, społeczeństwo, lud) głośnie wbrew dyrektywom Salonu, negując jedynie prawidłową (salonową) demokrację.

W polityce światowej miniony rok był zły dla naszego głównego sojusznika militarnego. Na arenie wewnętrznej Trump (biznesmen z kilkudziesięcioletnią rutyną) się sprawdził, gospodarka Stanów kwitła, lecz na forach zewnętrznych „Duży Donald” kompromitował się jak głupiutki Dumbo. Jesienią wbił gwóźdź do trumny amerykańs-

Ubiegły rok

kiej polityki bliskowschodniej — Putin ograł go w Syrii, rozgrywając po mistrzowsku partię kurdyjską, więc teraz wszyscy tam (sami Kurdowie, Turcja, Iran, Syria) są mu wdzięczni za rozwiązanie problemu. Nie optymalne, lecz bezkrwawe i mniej lub bardziej korzystne dla każdej ze stron. Ergo: Trump się zbliżył na bliskowschodniej szachownicy.

Nazwisko Trump każe mi wspomnieć najciekawszy dla mnie moment sportowy roku ubiegłego. Wieczorem 10 listopada, podczas finału snookerowych zmagani Champion of the Champions, toczący kilkunastominowy mordczą walkę z Australijczykiem Neilem Robertsonem lider światowego rankingu snookerzystów, Anglik Judd Trump, przy stanie 9:9 kończył decydującą 19. partię zwycięską, mając dla wygrania całego meczu (i zarazem całego turnieju) już tylko jedną czerwona bilę do wbicia. Stała ona na pozycji bardzo łatwej, początkujący junior nie miałby z nią żadnych kłopotów. Tymczasem arcymistrz Trump „skusił” (szok widowni był ogromny) i przegrał wszystko. Taki właśnie jest sport — samo życie.

Spośród wydarzeń kościelnych roku minionego najważniejszy okazał się październikowy Synod Amazoński, który mocno zasmutcił konserwatystów i uradował salonowców. Powszechnie cytowano sąd katolickiej gazety „La Croix”, że ten synod to „schy-

lek Kościoła trydenckiego”. Ja natomiast proszę uprzejmie wszystkich, którym nie podobają się „amazońska poganizacja wiary katolickiej”, by nie zapominali, iż drogę ku temu wytyczył Jan Paweł II podczas sławnego „ekumenicznego” spotkania/bratania się przezeń z egzotycznymi kacykami w Asyżu (1986). Manipulacje Franciszka są prostą kontynuacją owego mitingu, krytykowanego przez kardynała Ratzingera jako grube nadużycie, gdyż pełno było tam i w trakcie tropikalnych peregrynacji JP II pseudoekumenicznych obrzędów, takich jak „namaszczenie” krowim łajnem, szamańskie okadzanie, plemienne zaklęcia, czy też inne „tropikalne hece paraliturgiczne”. JP II umieścił posążek Buddy na ołtarzu Bazyliki Św. Piotra, a małpujący go Franciszek zrobił to samo z indyjską boginią Pachamamą. Krytycy „ekumenicznych szaleństw Wojtyły”, tudzież podobnych (wręcz plagiatorynych) Franciszka, usłyszeli na ich obronę, że te spektakularne komitowy obu z przedstawicielami kultów tropikalnych to wcale nie było i nie jest równanie katolicyzmu z wierzeniami pogańskimi, tylko działalność misjonarska. Co mi przypomina, że sławny XIX-wieczny przywódca brytyjskich liberałów, premier William E. Gladstone, miał jako człowiek pobożny manię włóczenia się wieczorem „zakazanymi ulicami” i brania prostytutek do domu, gdzie czytał im Biblię i perswadował, by wróciły na drogę cnoty niepokalanej chucią.

Minione 12 miesięcy było też pełne „okrągłych” rocznic (Leonardo, Rembrandt, Napoleon, itd.), z których najbardziej cieszyło 30-lecie wolności odzyskanej po czasach komunizmu. Bredzenia opozycyjne, że nie ma u nas wolności, bo „pisowski faszyzm” trzyma za mordę całe społeczeństwo, dowodzą jedynie schizofrenii salonowców. Gdy na koncertach zespołu „Boys” gigantyczne rzesze młodych ludzi śpiewają euforycznie hymn tej kapeli zatytułowany „Wolność” („— Niech żyje wolność! Niech żyje swoboda!...”) — wiadomo, że ma to dubeltowe znaczenie: prócz radości z młodzieńczego „imprezowania” także radość, iż żyjemy w wolnym kraju, gdzie pełnymi piastami można oddychać swobodą, bo nie ma tu żadnych kajdan, żadnych nahałek czy Hakenkreuzów, zero tyranii. Jedyne, jaka nam dziś grozi, to ta, którą chce zaprowadzić Salomon — despotcja „poprawności politycznej” oraz kult zboczeń.

Dwaj znani satyrycy, Robert Górski i Mariusz Cieślak, opublikowali zeszłego roku tekst „Podkarpacie w Warszawie”. Przeczytawszy ów tytuł zostałem olśniony auto-refleksją, że to mogłoby być o mnie, całkowicie bowiem odpowiadam światopoglądowo tej definicji. Wszystkim życząc szczęśliwego Nowego Roku. ©©

Waldemar Łysiak

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA
MONIKA BARTOSZEWICZ
„FESTUNG
EUROPA”

~~330~~ zł



134,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
196 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl